

STAN WOJENNY I OKOLICE

ZESZYT NR 1

KONIN 2020



STOWARZYSZENIE
REGION KONIN

STOWARZYSZENIE
REPRESJONOWANYCH
W STANIE WOJENNYM

KONIN 2020

Redakcja, projekt okładki:

Lech Stefaniak

Opracowanie komputerowe:

Lech Stefaniak

ISBN

Wydawca:

**Stowarzyszenie Represjonowanych
w Stanie Wojennym w Koninie**

przy finansowym wsparciu

**Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych**



Druk:

Drukarnia

Na okładce:

str. I – pomnik „Ludziom „Solidarności” w Koninie,
odsłonięty w grudniu 2010 r. (fot. Marcin Stefaniak);

str. IV - Tymczasowy Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność”
w Koninie, zebranie na parafii św. Wojciecha, Morzysław, luty 1989;
od lewej: Jerzy Żurawiecki, Czesław Gajewski, Tadeusz Kubiak,
Tomasz Sędkak, Ryszard Stachowiak, Paweł Kotlarski

SPIS TREŚCI

Wstęp	3
Wspomnienia	7
Franciszek Romaszko.....	9
Tomasz Piasecki	19
Teresa Irena Wysocka-Wielg	27
Roman Sakowski	35
Wacław Rogoziński	48
Lech Stefaniak	55
Janusz Kukiela	73
Michał Kachel – Tujdowski	87
Strajk w Hucie Aluminium	92
Andrzej Krzyżański, Zdzisław Nowakowski – rozmowa	94
Paweł Pluta	101
Jerzy Jarzyński	105
Adam Cieluch	110
Wybory 1989	117
Rozmowa z w-ce Przewodniczącym TZR „S”, Pawłem Kotlarskim	124
Przewodniczący TZR „S” Ryszard Stachowiak – list otwarty do Stefana Bratkowskiego.....	129
Ewa Zaleska, członek TZR – list otwarty do Bronisława Geremka.....	132
Dokumenty	144
Protest i pacyfikacja internowanych w Kwidzynie	178
Zbigniew Okoński - relacja	179

Zmarli odchodzą niedaleko

Za ścianą w szparze drzwi
bije źródło ich głosu

bezsenny legion Traugutt z siną szyją
Łukasiński zapomniany młodziutki Okrzeja
na półkach wśród kompotów butelki z benzyną

ci w noc apuchtinowską niosą iskrę światła
ci zaklinają by nie drażnić cara

Ojczyzna z ust nie schodzi
głupcom i łajdakom

Gdy zawodzące tłumy proszą czarno-złotą
na kościelnych odrzwiach ktoś cicho przykleja
pietę niepomszczonych
Matkę Boską katyńską z przestrzeloną głową

wszystko jest dzisiaj
a najdalej wczoraj

Stan wojenny i okolice – bowiem dla nas, ludzi „Solidarności”, stan wojenny nie kończył się z chwilą jego administracyjnego zawieszenia, zakończenia, czy nawet podpisania porozumień Okrągłego Stołu.

Nasze działania i decyzje miały swoje korzenie w okresie legalnej działalności Związku, a w wielu przypadkach były wynikiem jeszcze wcześniejszej działalności opozycyjnej, niezależnej, czy po prostu wychowania w rodzinie.

Konsekwencje działalności podziemnej, okazało się, były dalekosiężne, za-
ważyły na wyborach i czynach po 1989 r., niektóre sięgnęły i w XXI wiek, tak
w życiu prywatnym jak i publicznym.

Przyjmując więc czas od 13 grudnia 1981 do 1989 jako rdzeń, centrum za-
interesowania, otwieramy jednocześnie łamy dla materiałów pokazujących
zdarzenia wcześniejsze, jak kształtowały się postawy i charaktery, oraz dla
historii późniejszych, budowania nowego ustroju, społeczeństwa, nowej Pol-
ski, w przerażająco szybko zmieniającej się Europie i świecie.

NSZZ „Solidarność” regionu konińskiego ma już stosunkowo bogatą bibliografię. Chronologicznie pierwszą jest obszerna książka Zakazana „Solidarność”: rzecz o podziemnej „Solidarności” w regionie konińskim w okresie 13 XII 1981 – 17 IV 1989, opracowana przez Ewę i Wojciecha Zaleskich, w której obok kalendarium wydarzeń zamieszczono liczne fotokopie dokumentów, prasy podziemnej, zdjęcia itd.

W 2012 r. ukazał się I, a w 2016 II tom NSZZ „Solidarność” Region Konin. Wybór dokumentów, wydawnictwo z inicjatywy Stowarzyszenia Represjonowanych w Stanie Wojennym w regionie konińskim opracowane przez IPN Oddział w Poznaniu, pod redakcją Konrada Białeckiego (t. I i II) oraz Waldemara Handke (t. I). Istnieją opracowania dotyczące podregionów, np. I. Freta NSZZ „Solidarność” w Turku w latach 1980 – 1990, Ewy Kapiszewskiej „Solidarność” w Kłodawie 1980 – 1989 czy w formie elektronicznej Romana Kotwy o „Solidarności” słupeckiej, a także osób czy wydarzeń: o Ewie Zaleskiej Zakazana Ewa Krzysztofa Dobreckiego czy Grupa 1. Sierpnia czyli ekspropriacja Małgorzaty Klundery. Wspomnieć wreszcie trzeba o pracy Piotra Gołdyna Z pół do wolności o dziejach opozycji wiejskiej na ziemi konińskiej. Zwiększa się ilość artykułów czysto naukowych, takich jak obszerny rozdział Elżbiety Wojcieszek i Przemysława Zwiernika w IV tomie NSZZ „Solidarność” 1980 – 1989 (red. Ł. Kamiński, G. Waligóra, Warszawa 2010), czy opracowania Rafała Kościańskiego dotyczące zasobów archiwalnych IPN związanych z regionem konińskim.

Oczywiście wszystkie wydawnictwa, łącznie z monograficznymi, mają charakter mniej lub bardziej wybiórczy, co jest zrozumiałe, bowiem pomijając przyczyny obiektywne, jak wynikające z wymogów konspiracji braki np. materiałów zdjęciowych czy niedostępność pewnych archiwów, materia jest tak bogata i skomplikowana, że wymusza wręcz selekcję. Ofiarą trudnych decyzji padały więc najczęściej działania i struktury luźniej związane z podziemną „Solidarnością”, słabiej reprezentowane w zasobach archiwalnych.

Zeszyty Stan wojenny i okolice konińskiego Stowarzyszenia Represjonowanych w Stanie Wojennym mają wypełnić lukę, jaka w obrazie przeszłości nieuchronnie tworzy się, gdy oglądamy ją tylko poprzez wydawnictwa naukowe i wybory dokumentów. Zresztą i w nich znajdujemy trudne do wytłumaczenia luki. Przykładowo uderza brak w dokumentach, także tajnych, sporządzanych przez Służbę Bezpieczeństwa czy pracowników Komitetu Wojewódzkiego PZPR, relacji czy choćby informacji o jedynym przecież w Wielkopolsce strajku okupacyjnym w Hucie Aluminium „Konin”. Zakończył się on ok. 19.00 w poniedziałek 14 grudnia, a uderzenie i pacyfikacja zakładu przez siły ZOMO około godz. 22.00 trafiło właściwie w próżnię, choć nie obyło się bez przemocy, brutalnych pobić i szykan wobec pracowników Huty w następnych dniach.

Jednocześnie na opracowania monograficzne zasługują bez wątpienia podregiony, poszczególne nawet miejscowości i zakłady pracy, zapisujące często niezwykle karty w oficjalnej, a później podziemnej działalności „Solidarności”. To dziesiątki wspaniałych, barwnych postaci, anegdot i opowieści. Bardzo wielu z nich już odeszło z tego świata, postaramy się, by pozostali z nami chociaż jak zdjęcie w albumie, ujmujące przecież tylko ułamek sekundy czyjegoś życia, często jednak piękne, budzące wspomnienia i wzruszenia.

Autorytety

Autorytetów moralnych
cała partia

Z dobra powszechnego wielkie transparenty,
tak ogromne, by widoczne były - aż z Brukseli.

Blask z góry spływa, naród edukuje
pycha i pogarda.

Gdy purpuraci pouczają
jak się cieszyć i za co
Panu Bogu dziękować
własne przyklepawszy bagno,

a sędziowie wieszają sobie Orła
niby kocie łajno
- biada, wołać! Ale komu biada?

Nam wszystkim po społu. Zawsze widać lawa
po wierzchu parszywieje i ziębnie.

Miną lata, znów ktoś jako nowe
odkryje i zachwyci Słowo
„Solidarność”

Konin 2005
Lech Stefaniak

WSPOMNIENIA

Solidarność

FRANCISZEK ROMASZKO



FRANCISZEK ROMASZKO

Franciszek Romaszko 1983 r.

Franciszek Romaszko 1983 r. Urodziłem się 11.05.1949 r. w Wyszanowie (obecnie woj. lubuskie), do szkoły podstawowej uczęszczałem w Nowej Soli. Pracę podjąłem w 1964 r., jednocześnie ucząc się w ZSZ, a następnie w Liceum Ogólnokształcącym, które ukończyłem w 1972 r. W tym roku przyjechałem do Konina i zatrudniłem się w Konińskich Zakładach Naprawczych, a od 1976 roku pracowałem w WPHW w Koninie. W tym zakładzie pracy tworzyłem struktury związkowe NSZZ „Solidarność”. W pierwszych wyborach do władz Związku zostałem wiceprzewodniczącym komisji zakładowej oraz delegatem na I Walne Zebranie Delegatów Regionu Konin, gdzie zostałem wybrany członkiem Zarządu Regionu (6-7.11.1981).

Parafia w Morzysławiu była centrum

Wprowadzenie stanu wojennego zaskoczyło wielu Polaków, zdezorientowany byłem i ja. Niedziela i pierwsza Msza święta, a po niej rozmowy z tymi, co nie zostali internowani, kogo aresztowano i co się dzieje w naszym Regionie. W styczniu 1982, z inicjatywy Ryszarda Stachowiaka, Przewodniczącego Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” i księdza Stanisława Waszczyńskiego, zaczęliśmy nadawać pomocy internowanym i ich rodzinom formy zorganizowane. Zaczęliśmy od bazy danych. Przychodziło wielu ludzi, chcących pomagać, coś robić. Przede wszystkim osoby wybrane na I Zjeździe, delegaci.

W okresie stanu wojennego przy parafii św. Wojciecha w Koninie, do której należałem, skupiała się konińska opozycja. Poznałem tam między innymi: Ryszarda Stachowiaka, Adama Cielucha, Pawła i Małgorzatę Modelskich, Krzysztofa Buszko, Krzysztofa Dobreckiego, Janusza Kukiełę, Jarosława Krzywiaka, Ewę Zaleską, Leszka Millera, Lecha Stefaniaka, Grzegorza Ziółkowski i wielu innych.

W okresie późniejszym większość z nich należała do Konfraterni im. ks. Jerzego Popiełuszki.

Przychodziliśmy do kościoła św. Wojciecha nie tylko modlić się za naszą Ojczyznę, ale po wsparcie duchowe, wierząc, że kiedyś będziemy wolni. W tym gronie kolegów, których wymieniałem, powstała myśl, aby wydawać czasopisma w strukturach konspiracyjnych i organizować kolportaż. Sławek Czajkowski wypróbowywał różne techniki druku.

Pierwszy druk podziemny w Regionie ukazał się 30 grudnia 1981 z ręcznie pisanym tytułem „Solidarność”.

Związałem się z grupą wydającą „Azyl wojenny”. Dla czasopisma wykonałem dwa stemple nagłówkowe. Któryś z numerów „Azylu Wojennego” ukazał się ponoć na znakowanym papierze, który dostarczył Waldek Piotrowski, bliższych szczegółów niestety nie znam. Od tego też czasu wykonywałem stemple dla wielu osób, a wytwarzałem je z gumy i gumolitu metodą rytu.

W styczniu zostałem na trzy miesiące oddelegowany na szkolenie Obrony Cywilnej. Po jakimś czasie otrzymaliśmy mundurki i pilnowaliśmy Liceum na Mickiewicza. Było to wszystko groteskowe i trochę śmieszne, np. nasze drugie miejsce na zawodach w Turku za bieg z noszami, ale miało też nieprzewidziane przez organizatorów tych represji dobre strony. Dzięki posiadanej przepustce mogłem poruszać się nocą, stałem się więc cennym kolporterem podziemnych druków.

8 marca 1982 jak co dzień rano szykowanie śniadania. Żona włożyła mi do torby pączka zawiniętego w folię aluminiową. Wyszedłem na przystanek i pojechałem do Starego Konina. Pracę rozpoczynałem o godz.10, w tym dniu dojechałem trochę wcześniej i postanowiłem złożyć życzenia z okazji Dnia Kobiet koleżance Małgorzacie Modelskiej.

Sklepy były pozamykane, nie mogłem kupić kwiatka, postanowiłem więc ofiarować pączka. Wchodząc do biura, gdzie Modelska była księgową, zobaczyłem wiele znajomych twarzy. Zaskoczenie było absolutne – z tych co pamiętam byli to funkcjonariusze SB m.in. Dworak i Traciłowski.

Poproszono mnie do pomieszczenia obok, przeprowadzono rewizję osobistą i znaleziono w torbie podejrzany przedmiot zawinięty w folię. Widziałem zadowolone twarze esbeków, że wreszcie wpadłem, że łapali mnie na przekazywaniu zakazanych informacji i przedmiotów. Takie padały słowa z ich strony.

Kazano mi czekać pod strażą w jeszcze innym pomieszczeniu. Za parę minut przyszedł sbek Dworak i wręczył mi posiekanego pączka mówiąc, że teraz mogę poczęstować koleżankę i szybko spier...ać, bo oni tu pracują.

SB nękało działaczy „Solidarności”, których nie aresztowano na mocy Dekretu z 13 grudnia 1981, na różne sposoby, a to wezwaniami na milicję, a to niespodziewanymi wizytami w zakładach pracy, zabieraniem bez nakazu aresztowania. Spotkało to moją żonę w trakcie kolejnej akcji SB. Nalot był na „Sanepid”, akcję przeprowadzono na początku kwietnia 1982. Zabrano kilku członków „S” z tego zakładu. Ktoś dał mi cynk o aresztowaniach, postanowiłem dowiedzieć się co z moją żoną i udałem się na komendę MO przy Przemysłowej.



Dyżurny milicjant powiedział mi, że nie ma dla mnie żadnych informacji, a żona się znajdzie. W takich przypadkach najważniejsze było poinformowanie kolegów o zajściach i sytuacji. Postanowiłem złapać taksówkę i jechać na Spokojną13, gdzie jako sublokator mieszkał Ryszard Stachowiak. Dojeżdżając do ul. Spokojnej kazałem zatrzymać się na rogu. Już miałem wysiadać, gdy przy domu Modelskich zauważyłem milicyjny samochód, a na schodach funkcjonariuszy SB szarpiących się z Pawłem Plutą... Krzyknąłem do kierowcy UCIEKAJMY! Ruszył natychmiast, objechaliśmy oś. Glinkę dookoła. Zatrzymał się, kazał mi wysiąść i odjechał nie biorąc pieniędzy. Chyba był nieźle zszokowany.

Żonę zobaczyłem nazajutrz, była przetrzymywana i przesłuchiwana 24 godziny.

Aresztowanie

11.05.1982 zostałem aresztowany na mocy dekretu o stanie wojennym. Aresztowanie nastąpiło 11 maja 1982 r. przy ul. Błaszaka, w punkcie napraw drobnego sprzętu AGD. Tuż przed otwarciem, około godziny 10.00, pod drzwiami punktu podjechał nieoznakowany Fiat-125 z pięcioma funkcjonariuszami SB. (m.in. Dworak, Traciłowski). Skuli mnie kajdankami i zakomunikowali, że jestem aresztowany. Zawieziono mnie na komendę przy ulicy Przemysłowej.

Okazało się, że akcja była większa, wprowadzono mnie do pokoju, w którym już byli inni aresztowani. Wśród nich: Ryszard Stachowiak, Adam Ciełuch, Wiesław Wysocki, Małgorzata Modelska, Ewa Zaleska i inni, których nazwisk nie pamiętam. Zakomunikowano nam, że będziemy osadzeni w więzieniu na mocy dekretu o stanie wojennym z dnia 13.12.1981 r.

W godzinach popołudniowych mężczyzn wyprowadzono na dziedziniec komendy, gdzie czekał na nas samochód – więźniarka, było nas tam około dziewięć osób. Więżniarka nie miała okien, w środku wąska ławka, po

bokach podobne. Siedziałem plecami do ściany samochodu, skuty z Wiesławem Wysockim jednymi kajdankami. Wieziono nas nie wiadomo dokąd. Po kilku długich godzinach dojechalśmy, szcęk zamykanych bram, pokrzykiwanie strażników, szczekanie psów milicyjnych. Wypuszczono nas na dziedziniec więzienia. Nastąpiło przeszukanie osobiste, po czym skierowano nas do cel na blok więzienny.

KOMENDA POWIATOWA
MILICJA OBYWATELSKA
w Koronie
30 L. G. 4. 1981

CC 00221

DECYZJA NR 49/82
o internowaniu

Uważając, że postawiane na widoku obywatela
nazwisko i imię Romanisko Franciszek
imięna rodziców Ignacy i Zofia Mielczarek
data i miejsce urodzenia 11.05.1949 Wyszynów
zawód (zajęcie) i miejsce pracy WPHM Koronin
miejsce zamieszkania Koronin ul. Wyzwolenia 7/14

sądząc, że bezpieczeństwo Państwa i porządkowi publicznemu przeszkadza, że jest
podejrzany o prowadzenie działalności podległej w podstawowym
interesy Państwa

na zasadzie art. 42 dekretu z dnia 12.12.1961 o ochronie bezpieczeństwa
Państwa i porządku publicznego w czasie obowiązywania stanu wojennego

postanawia się:

I. internować ob. Romanisko Franciszka
i umieścić go w ośrodku odosobnienia w Wrocławskim Mielęcinie
II. wykonanie decyzji zlecić WPHM w Koronie

KOMENDANT WPHM KORONIN

Koronin, dnia 10.05.1982 r.

Od współwięźniów dowiedziałem się, że przebywam w więzieniu w Mielęcinie. (poniemiecki obóz przejściowy). Mnie „zakwaterowano” w celi, w której byli Krzysztof Buszko, Grzegorz Musidlak, Kazimierz Brzeziński, Jarosław Krzywiak, Zbigniew Malida, Jan Chmielewski z Płocka i druga osoba z Płocka, której nazwiska nie pamiętam.

Rozpoczął się okres odsiadki bez wyroku i wyraźnego określenia czasu trwania odosobnienia. Zostałem osadzony w Mielęcinie, a później w Kwidzynie. Zarówno w Mielęcinie jak i w Kwidzynie wykonywałem różne, oczywiście

nielegalne, prace. Wydawaliśmy „bibułę” bardzo prostą, ale pracowitą metodą „kujona”. Metoda ta opisana jest w „Małym psotniku okupacyjnym”. Były to prace zbiorowe. Najlepszymi „kujonami” okazali się: Adam Cieluch, Ryszard Stachowiak, Krzysztof Buszko i ja. W Kwidzynie metodą tą wykonaliśmy kilka książek i ulotek, takich jak: „Jak z ubka zrobić głupek”, „Śpiwnik internowanego”, „Mały psotnik okupacyjny”.



Zakład karny Kwidzyn 1982 – zdjęcie wykonano w celi. Od lewej Adam Cieluch – Konin, Jan Jankowski - Poznań, Franciszek Romaszko – Konin

W więzieniu powróciłem również do swojego hobby, tj. wykonywania płaskorzeźb. Rzeźbiłem w drewnie przemyconym od więźniów lub odwiedzających. Do rzeźbienia wykonałem małe dłutka, łatwe do ukrycia przed „kipiszem”, ze sprężyn łóżka. Wykonałem wiele drzeworytów m.in.: „Czarna Madonna”, „Matka Boska z orłem na piersi”, „Piłsudski z orłem” oraz wiele wersji orła w koronie. Obecnie narzędzia te oraz kilka powstałych wówczas dzieł znajduje się w Muzeum Okręgowym w Koninie, w zbiorze „Archiwum Solidarności”.

Do perfekcji dopracowaliśmy inną technikę – rzeźby w chlebie. Kolega z Gorzowa rysował, ja robiłem z tego płaskorzeźbę, z której wyłaczało się formę używając starannie przeżutego chleba. Taka forma suszyła się około 2 tygodnie, aż nabierała twardości kamienia.

Razem z grupą konińską (Krzysztof Buszko, Ryszard Stachowiak, Adam Cieluch) z internowania zostałem zwolniony 8.12.1982 r.

Po zwolnieniu z internowania nadal działałem w opozycji. Wykonałem wiele stempli okolicznościowych. Czynnie włączyłem się do prac Polskiej Organizacji Harcerskiej (złożyłem ślubowanie instruktorskie na obozie w Krzywogórcu), Działłem w Konfraterni im. Ks. Popiełuszki, między innymi

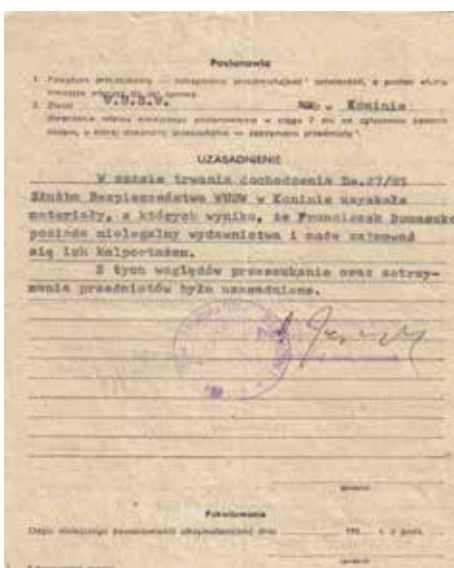
pomagałem organizować wystawy „Sztuka uwięziona”, na której prezentowano przedmioty artystyczne i druki wykonane w ośrodkach internowania i więzieniach, czy też „Ksiądz Jerzy”, poświęconą postaci księdza – męczennika.

Pielgrzymka

Spośród wielu pielgrzymek najburzliwsza była chyba Pielgrzymka Świata Pracy na Jasną Górę 30 września 1984 r. Przejazd na plac odbył się bez żadnych zatrzymań po drodze, dojechało też wielu innych pielgrzymów z całej Polski. Chcieliśmy wejść na teren klasztoru zorganizowani, więc po wyjściu z autobusów zaczęliśmy rozkładać i montować transparenty, poczty sztandarowe poszczególnych zakładów pracy przebierały się w mundury gallowe, na czele pojawił się krzyż a za nim transparent „Solidarność Konin z Maryją” i inne patriotyczno-religijne.

Kiedy uformowana nasza kolumna ruszyła, na czele z pocztami i zespołem muzycznym (zdjęcia w „Zakazanej „Solidarności” oraz w II t. „NSZZ „Solidarność” Region Konin, Wybór dokumentów) nagle pojawiła się Nyska pełna milicjantów. W pierwszym rzędzie próbowano wciągnąć do niej Lecha Stefaniaka, robiącego zdjęcia, wrywano mu aparat fotograficzny, rzucono się też na niosących transparenty. Tłum gęstniał, napierał coraz mocniej, zaczęła chwiać się Nyska. Zdecydowana postawa pielgrzymów, zwłaszcza Ewy Zaleskiej „uzbrojonej” w planszę ze sklejki, Leszka Millera i innych, pozwoliła uwolnić wszystkich, których usiłowano zatrzymać i legitymować.

Nasz pochód ruszył dalej witany przez tłum oklaskami.



WOJEWÓDZKI URZĄD
SPRAW WEWNĘTRZNYCH
(z siedzibą w Warszawie 1401)
28 IX 85

Konin, dn. 28.08 1985 r.

Pokwitowanie

ppow. Franciszek Romaszko
(płoch, imię i nazwisko funkcyjnie MO)

z Wł. Sł. MO w Koninie
Niniejszym stwierdzam, iż w dniu 28.08 1985 r.
przy przeszukaniu dokonanym u ob. Romaszko
zam. Franciszka
zabrałem następujące przedmioty:

- 1/ kalendarz typograficzny przez
Solidarności Wł. Sł. na 1985 r. str. 1
- 2/ kalendarz typograficzny przez
Nono Solidarności na 1985 r. str. 1
- 3/ Druk typograficzny Banknot
sta 200 zł z literami
7 Wł. Sł., oznaczony jako
100 wł. Sł. str. 1
- 4/ 12 str. druków ulotkowy
z napisem "Solidarności"

Ms-22, Drukarnia Nr 1, W-wa, Zam. 666/80/5.

WOJEWÓDZKI URZĄD
SPRAW WEWNĘTRZNYCH
(z siedzibą w Warszawie 1401)
28 IX 85

Ob. Romaszko Franciszek
zam. Konin
ul. Uzwoleń 7/14
p-12

Data 1985 r.
W odpowiedzi należy
podać datę z L. 82.

gmina 18.08 1982 r.

WEZWANIE

Wzywa się (z wyjątkiem) do osobliwych świadectwa
w dniu 28.08 1982 r. o godz. 9:00
w lokalu 15.0 MO w Koninie
przy ul. Przemysłowej 7 pokój nr 120
w charakterze Reprezentacji 13.02.81
w sprawie nr 13.02.81
Stwierdzenia obc. (z wyjątkiem)

Ms-13, Drukarnia Nr 1, W-wa, Zam. 966/80/5.

URZĄD MIEJSKI
62-510 Konin
Terenowy Oddział Obrony Cywilnej
nazwa organu Wydającego Wezwanie

IOCK-org/5
Nr 9/83

WEZWANIE
do odbycia służby
w terenowym oddziale obrony cywilnej

Na podstawie art. 123 ustawy z dnia 21 listopada 1967 r. o powszechnym obowiązku obrony Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (Dz. U. Nr 44 poz. 220) oraz stosownie do decyzji

Komendanta T.O.O.C
z dnia 20. 4 19 83.
Ob. Romaszko Franciszek
(stopień wojskowy) (nazwisko i imię)
Ogmały rocznik 1949
(imię ojca)
zgłosi się w dniu 28.29.30.4 19 83 r. godz. 8:00
T.O.O.C Konin
(miejsce stawienia)

w celu odbycia służby w terenowym oddziale obrony cywilnej w PL 1-go Maja 18

KOMENDANT
TERENOWEGO ODDZIAŁU
OBRONY WILNEJ
podpis [Signature]
st. chor. rez. Jerzy Wozniak

mp.

Pouczenie na odwrocie

MON-IOCK-org/5. WDL, zam. 310 z 81.23. WKP XV-57

URZĄD MIEJSKI
Sądzi, nadzorca
granicz MO
Konin

11.08.83

Ob. ROMASZKO Franciszek
zam. Konin
ul. Wyzwolenia 7/14
p-la _____

Data 11.08.1986 r. Miesiąc _____ Woj. _____
W odpowiedzi należy
podać datę i L. dz. Termin data 11.08.1986 r.

WEZWANIE
Wzywa się Obywatelkę do osobistego stawiennictwa w dniu
11 września 1986 r. o godz. 14:00
w lokalu WUSW w Koninie
przy ul. Przemysłowej 2 pokój nr 417
w charakterze _____
w sprawie nr _____
Słownictwo, obywatelskie.
[Signature]

Ms-12. Drukarnia Nr 1, W-wa. Zam. 762/13/5

Do stajania
Do skłaniania

Odr. ROMASZKO
 Zami. FRANCISZEK
 ul. Konin 62-540
 p-co ul. Wyżwolenia 7/14
 Data 1985 r.
 W odpowiedzi należy podać datę 4 L. dz.
 Termin data 2804 1985
WEZWANIE
 Wzawa się Opatulskiej do osobistego stawiennictwa
 w dniu 29.04 1985 r. o godz. 9.00
 w lokalu NSZZ MO w Koninie
 przy ul. Wyżwolenia 2 pokój nr 402
 w charakterze Przewodniczącego
 w sprawie nr RSD 9/85
 Stawiennictwo obowiązkowe.
 Me-13, Drukarnia Nr 4, W-wa. Zam. 884008.

Brałem udział w wykonaniu krzyża, na motywach Krzyży Gdańskich, poświęconego stoczniovcorn.

Działania rozpoczęto bez projektu, w tej grupie inicjatorką była również Ewa Zaleska. Ze względu, jak się okazało, na rozmiary przedsięwzięcia, po zgromadzeniu drewna musieliśmy szukać pomieszczenia, pomógł nam w tym Józef Demski, pracownik Huty Aluminium, mieszkający na Glince; to w jego garażu rozpoczęliśmy wykonywanie krzyża, współpracował z nami Paweł Modelski, więcej nazwisk nie pamiętam.

To była ogromna i ciężka praca fizyczna, bo elementy były wykonywane z surowego drewna - podstawa z topoli, przywieziona z zakładu, który wyrabiał fornir. Bez narzędzi profesjonalnych, do tak dużego przedsięwzięcia, trzeba było użyć siekiery i dużych dłut stolarskich, a ja amatorsko rzeźbiłem małe formy...

Ze względu na swoją wagę i wysokość, krzyż musiał być rozkładany, to dawało możliwość przenoszenia go. Była to praca zbiorowa. Lista współtwórców jest umieszczona pod „cytatem” na podstawie Krzyża. Krzyż został wykonany na rocznicę otwarcia Konfraterni w parafii św. Wojciecha w Morzysławiu i poświęcony przez biskupa Romana Andrzejewskiego, a był to rok 1985. Obecnie Krzyż znajduje się w siedzibie Zarządu Regionu NSZZ „S”, w Koninie.

W KWB „KONIN” zostałem zatrudniony w 1996 r. i od tej pory jestem członkiem zakładowej organizacji związkowej NSZZ „Solidarność”.

25.03.1998 zostałem honorowym członkiem Niepodległościowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, koła w Koninie, otrzymałem w m - cu wrześniu 1998 r. odznakę „Za Zasługi na Rzecz Związku”. Członkiem byłem do końca 2003 r.

MOZ NSZZ „S” KWB „Konin” uchwałą 111/ 2003 przyznał mi Kordzik – Honorowe Odznaczenie Nr 56.



Stemple tytułowe prasy podziemnej wykonane przez Franciszka Romaszko

Za swoją postawę, obronę i szerzenie idei NSZZ „S” 25 września 2009 r. otrzymałem najwyższe odznaczenie Solidarności Regionu Konin – medal im. Ryszarda Stachowiaka. Jestem członkiem założycielem Stowarzyszenia Represjonowanych w Stanie Wojennym i jego wieloletnim skarbnikiem.



Płaskorzeźby wykonane w czasie internowania (1982)

*Franciszek Romaszko
Lipiec 2019*

Zabawa w konspirację

13 grudnia 1981 roku miałem 28 lat, żonę Danutę i dwoje dzieci: Anię 4 lata i Jakuba 3 lata. Teraz, 28 lat później, poproszono mnie, abym opisał czasy stanu wojennego, naszą działalność konspiracyjną, to co się działo w środowisku Solidarności, zwłaszcza Solidarności Kopalni „Konin”. Muszę przyznać, że patrząc w przeszłość na podstawie wielu, teraz już znanych wydarzeń, działo się dużo. W tamtych czasach wiedziałeś tylko to, co robiłeś sam lub osoby z najbliższego otoczenia. Nie było możliwości uzyskania pełnej wiedzy o wszystkich działaniach.

Wiedziałeś, że jest coś drukowane w Koninie jak dotarł do ciebie egzemplarz bibuły, wiedziałeś, że zbierane są pieniądze dla rodzin internowanych lub aresztowanych, jeśli ktoś zwrócił się do ciebie o pomoc, wiedziałeś o spotkaniach w parafiach, jeśli byłeś w kręgu ludzi zainteresowanych, wiedziałeś że dostarczane są pisma i książki bezdebitowe, czyli nielegalne, z innych regionów, jeśli udało się jakąś zdobyć. Jeśli miałeś trochę szczęścia i byłeś spostrzegawczy, zdążyłeś zobaczyć na liniach wysokiego napięcia wiszącą flagę Solidarności lub napisy wymalowane na rurach ciepłowniczych, murach i ścianach. Odpowiednie służby szybkiego reagowania dość sprawnie likwidowały te przejawy anarchii i „chuligaństwa”.

Żeby to wszystko mogło się odbywać potrzebni byli ludzie i tacy znajdowali się. Jedni mieli kontakty z aktorami, inni mieli dostęp do osób z Polski, rozprawdających nielegalne materiały. Ktoś przygotował materiał do druku, inni drukowali, a jeszcze inni je rozdawali.

Działania te nie miałyby sensu, gdyby nie trafiały do wielu zainteresowanych osób. Nie wszyscy byli organizatorami tych zdarzeń, ale byli uczestnikami, popierali naszą działalność, wspierali nas, a my wszyscy wspieraliśmy się nawzajem, tworząc jedną wielką Solidarność. To było bardzo ważne i dopingowało nas do dalszej pracy konspiracyjnej.

Dzisiaj wiemy, że jakaś bardzo mała część z tych ludzi współpracowała z SB. Dlatego część wydarzeń, do których wtedy podchodziliśmy entuzjastycznie i z wielką nadzieją, obecnie oceniamy zupełnie inaczej, bardziej chłodno i z pewną rezerwą. Jednak klimat konspiracyjny tamtych dni był wspaniały, zwłaszcza oceniając go z dzisiejszej perspektywy, bez strachu i zagrożenia...

wtedy różnie bywało.

Mój udział w działalności konspiracyjnej zaczął się 13 grudnia 1981 roku, gdy po mszy w Morzysławiu pojechaliśmy do Kleczewa, do siedziby Komisji Zakładowej „Solidarności”. Nikt nas nie zatrzymał i mogliśmy zabrać pewne dokumenty, sztandar, materiały do drukowania.

Będąc sekretarzem Komisji Zakładowej odpowiadałem za drukowanie komunikatów dla członków NSZZ „Solidarność” Kopalni Konin. Nie było jeszcze powielaczy. Technika drukowania była następująca: na zwykłej maszynie do pisania, na specjalnej matrycy, pisało się treść, następnie matrycę mocowało się w ręcznym powielaczu i odbijało się 100 — 200 sztuk. Dlatego też 13 grudnia ja zająłem się pakowaniem do samochodu maszyny do pisania, matryc i farby drukarskiej. Zabrałem to wszystko do Konina i w mieszkaniu mojego kolegi, Wojtka Zielińskiego, zacząłem odbijać pierwsze ulotki.

Jakość nie była najlepsza, ale bez powielacza każdą kartkę trzeba było pojedynczo układać na matrycy i wałeczkiem odbijać. Tym sposobem, przykładając pieczętkę „Azyl Wojenny”, wykonaną przez Franciszka Romaszko, powstały dwa pierwsze numery.

Później przekazałem maszynę i ktoś inny pisał matryce. Jednocześnie inni opanowali lepszą technikę druku i to oni zaczęli drukować kolejne numery „Azylu Wojennego”. Nagłówkową pieczętkę „Azyl Wojenny” przekazałem według zasad konspiracyjnych. Przyszła nieznajoma kobieta pożyczyć kilogram mąki, a w środku była właśnie pieczętka. W tym czasie przeszukano też moje mieszkanie, nic nie znaleziono, mimo że byli w piwnicy i między kompotami w słoiku stała farba drukarska. Dobrze, że puszkę po farbie kilka dni wcześniej zatopiłem w kanale Warta – Gopło, będąc na pieszym rajdzie PTTK.

Jedno z tajnych spotkań Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność Kopalni Konin odbyło się w Klubie Żeglarskim w Pątnowie. Wypłynęliśmy dwoma jachtami żaglowymi typu Carina, zacumowaliśmy gdzieś przy brzegu w trzcinach i omawialiśmy bieżące sprawy. Jeśli dobrze pamiętam to żeglarzami byli: Ryszard Gościński, Ryszard Skoczylas, Edward Okoń, Tadeusz Malinowski, Wojciech Chojnacki, Stanisław Flasiński.

Inne spotkanie, albo nawet dwa, odbyły się także w Pątnowie, w domu Kazimierza Sochy, pracownika Zakładu Robót Górniczych. Mało kto miał samochód, większość jeździła autobusami i dlatego trzeba było podzielić się na grupy, żeby wszyscy nie jechali razem.

Pamiętam też spotkanie przedstawicieli większych zakładów, ja i jeszcze ktoś reprezentowaliśmy kopalnię. Na tym spotkaniu byli także ci, co wieszali flagi na liniach wysokiego napięcia i tłumaczyli jak to robią. Ale był też ktoś, dzięki któremu wszyscy mieliśmy piękne zdjęcia, pokazywane później na przesłuchaniu przez funkcjonariuszy SB.

Działalność każdego z nas uzależniona była także od tego, w jakim kręgu znajomych przebywaliśmy. Moja żona pracowała akurat z Ewą Zaleską w dekoratorni Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Rolniczych w Koninie. Zналиśmy się od dawna, jeszcze przed powstaniem „Solidarności”, a później „Solidarność” stała się dla Ewy sensem życia i dla niej gotowa była poświęcić wszystko.

Swym zaangażowaniem, najpierw przy powstawaniu Związku, a później w jego obronie, w czasie stanu wojennego, inspirowała wszystkich znajomych do aktywnego działania. Znała bardzo wielu działaczy podziemnej Solidarności w całej Polsce i to dzięki niej do Konina docierało tak wiele różnorodnych, zakazanych materiałów. W tym czasie pracowałem w zaopatrzeniu Zakładu Robót Górniczych Kopalni „Konin”, jeździłem na delegacje i czasami Ewa prosiła mnie, żebym coś przywiózł z Poznania, Warszawy czy Wrocławia.

Aresztowanie.

W dniu 10 lutego 1984 roku w piątek, około godz. 20.00, ja i kierowca Wojtek Kałużny zostaliśmy zatrzymani przez służby SB.

Tydzień przed aresztowaniem mija spokojnie, mimo że plany mamy napięte. W sobotę 11 lutego wybieramy się do „Oskardu” na kolejny karnawałowy Bal Żeglarzy Klubu Żeglarskiego Kopalni „Konin”. Będąc członkiem Zarządu Klubu jestem jednym z organizatorów.

W niedzielę 12 lutego planujemy razem z Danusią pierwszy wspólny wyjazd na narty do Karpacza. Wyjazd organizowany jest przez PTTK Konin, mamy jechać pociągiem, a noclegi mamy zarezerwowane w schronisku Strzecha Akademicka. Wyżywienie organizujemy sobie sami, dlatego wiedząc o delegacji do Wrocławia i okolic Karpacza, postanawiam zawieźć już teraz kopalniane puszki z zupami, kilka zgrzewek dla wszystkich.

Jeszcze przed wyjazdem na delegację idziemy w odwiedziny do Zaleskich. Ewa opowiada, że nie może jechać do Wrocławia po materiały, ponieważ cały czas jest obserwowana przez SB. Pisz na kartce adres i prosi mnie o przywiezienie. Materiał ma być „pierwsza klasa” i już dawno powinien być odebrany.

Wyjeżdżamy w czwartek. Kierowcą wynajętego z PKS-u samochodu marki Żuk jest Wojtek Kałużny, który jeździ w ZRG już od dawna. Załatwiam sprawy służbowe, zostawiam puszki w Karpaczu, odbieram materiały dla Ewy. Śpimy we Wrocławiu, rano jeszcze jeden temat i możemy wracać do domu. Martwi mnie tylko jedno, gdy wychodziłem z bloku niosąc materiały, błysnęło coś, jak gdyby lampa błyskowa, ale tłumaczę sobie, że to może tylko przypadek.

Wracając, gdy jesteśmy gdzieś za Zbierskiem, Wojtek mówi, że moglibyśmy pojechać trochę inną drogą, ma jakaś sprawę do załatwienia, ale ja się nie zgadzam, ponieważ jest już późno. Gdybyśmy skręcili, to sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej.

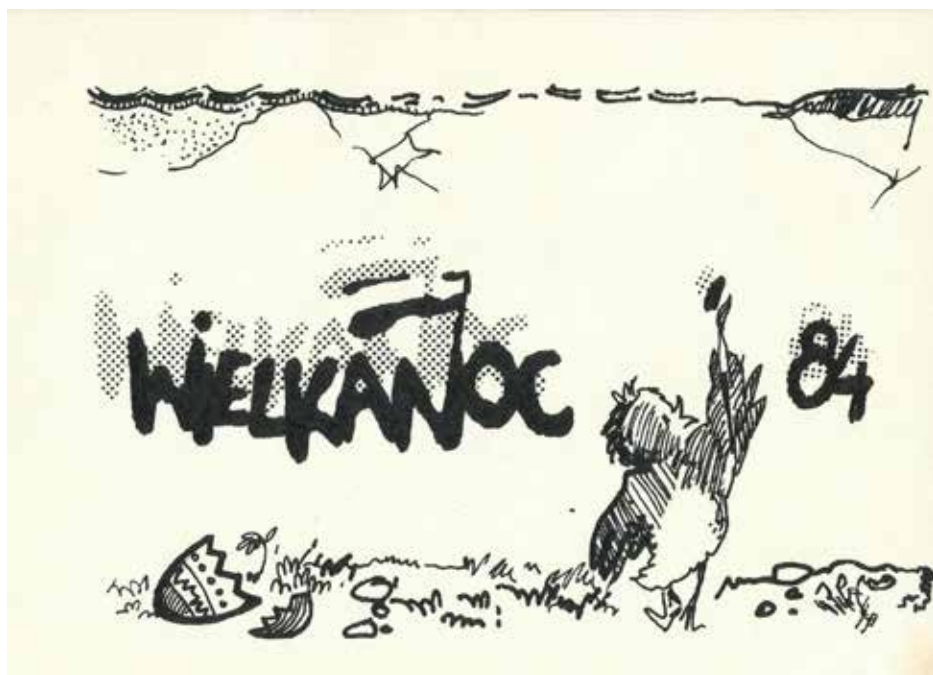
Mijając szpital w Starym Koninie zauważam przy drodze dużego Fiata, który rusza zaraz za nami. Teraz już wiem, że czekali na nas, jeszcze kombinuję jak pozbyć się materiałów, ale jest tego zbyt dużo, a oni jadą zaraz za nami. Na ulicy Armii Czerwonej (teraz 3 Maja) wyprzedzają nas zajeżdżając drogę i musimy się zatrzymać. Jeden wsiada do Żuka, mnie biorą do Fiata i jedziemy na Komendę, na ulicę Przemysławą.

Z dzisiejszej perspektywy muszę przyznać, że SB-ecy zadziałali perfekcyjnie, idąc korytarzem w kajdankach spotykam Wojtkę i Ewę Zaleskich siedzących przy stoliku, czyli wpadka całkowita, o wszystkim wiedzą i teraz cieszą się z sukcesu. A może tylko grają, mają podejrzenia i próbują nas psychicznie wytrącić z równowagi?

Wchodzimy do biura, funkcjonariuszy jest zbyt dużo, jak na takie małe pomieszczenie, wszyscy uśmiechnięci, zadowoleni po udanej akcji. Samochód już przeszukali, ja muszę wyjąć wszystko z kieszeni. Jeden z nich mówi: „trzeba mu jaja wsadzić do szuflady i zamknąć, to zaraz wszystko wyśpiewa”.

Później się okazało, że szukali dolarów, które prawdopodobnie miałem też przewozić. Trochę mam stracha, jednocześnie szlag mnie trafia, że zlekceważyłem ten błysk i nie pojechaliśmy inną drogą.

Jedziemy do sądu, do prokuratora, na pierwsze przesłuchanie. Moja wersja: adres dostałem od nieznajomego na spotkaniu w kościele i ktoś miał się zgłosić po odbiór, nic więcej nie wiem. Błąd młodego konspiratora, na pytanie: czy trafiłbym do tego bloku we Wrocławiu, odpowiedź: raczej tak. Nawet nie pomyślałem, że w poniedziałek rano będę z powrotem we Wrocławiu, w asyście SB.



Wiceprokurator Andrzej Jędrzejczak postanawia zastosować w stosunku do mnie środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztu, w terminie od dnia 10 lutego 1984 roku do 10 maja 1984 roku.

Pobyty w areszcie.

Po przesłuchaniu zawieźli mnie i Wojtka do aresztu w Starym Koninie, na ul. Żwirki i Wigury, słyszę jeszcze polecenie: „tylko do oddzielnych cel”. Jednak jesteśmy razem w jednej dużej, sześćoosobowej celi i możemy swobodnie rozmawiać. A może to było celowe, o podsłuchach mało wiedziałem, a może tam właśnie były. Jest luty, nawet dość mroźny, cele ogrzewane są piecami węglowymi, zajmują narożnik a wysp węgla jest na korytarzu. W naszej celi jest już jeden aresztant, trochę wyglądający na bezdomnego i to właśnie on zatrudniany jest przez strażnika do dokładania węgla. „Bezdomnego” wypuszczono w sobotę, teraz my musimy palić w piecu. Dobrze, że jest więcej łóżek, to mamy po kilka kocy dla siebie.

Siedzę w celi i tak sobie myślę, że mieszkając od urodzenia w starym Koninie na ulicy Podgórznej, bardzo często przechodziłem obok posterunku milicji i aresztu na ulicy Żwirki i Wigury i nigdy nie pomyślałem, że osobiście doświadczę losu ludzi przetrzymywanych w takim ponurym miejscu. Wątpliwa satysfakcja z pobytu to taka, że byliśmy jednymi z ostatnich osadzonych w tym areszcie, chwilę później areszt zlikwidowano. Muszę przyznać, że jeszcze teraz, gdy wchodzę do sklepów powstałych w tym budynku, czuję się dziwnie i ciarki chodzą mi po plecach.

W poniedziałek Wojtka wypuścili, odebrał samochód i pojechał do domu. Po mnie przyszedł funkcjonariusz Witzberg, myślę że jedziemy na przesłuchanie, ale w samochodzie siedzi jeszcze dwóch i z rozmowy wynika, że jedziemy do Wrocławia. Szlag mnie trafia po raz drugi, że też musiałem pochwalić się znajomością planu miasta.

Przyjechaliśmy do Komendy Miejskiej i z całą ekipą pojechaliśmy na osiedle zrobić parę zdjęć przy bloku, z którego odbierałem materiały. Jestem zdruzgotany i przygnębiony, same błędy, to porażka, dla nich kolejny sukces.

Wróciliśmy do Konina, ale do aresztu na ulicy Przemysłowej. Przynajmniej ciepło. Cele trzyosobowe, w narożniku „bardacha” czyli WC — taka mniejsza beczka z dekle. Rzadko używana, raczej w sytuacjach awaryjnych, bardzo krępująca, można też było zapukać i wtedy wyprowadzano do WC ogólnego, ale nie zawsze strażnicy mogli, ponieważ obowiązuje zasada, że żaden z osadzonych nie może spotkać innego nawet na korytarzu.

W celi, do której ja wchodzę, jest już dwóch lokatorów, jeden około 40 lat, recydywista z wyrokiem 12 lat za napady i kradzieże, dobrze wysportowany, codziennie robi pompki i przysiady, drugi młody około 19 lat, oskarżony o jazdę bez prawa jazdy kradzionym samochodem i spowodowanie kolizji. Z

tym młodszym zrobiliśmy z widokówek karty do gry (mam je do dzisiaj) i gramy w oczko lub tysiąca. Mając pieniądze w depozycie mogłem kupować widokówki, gazety lub książki.

Każdy dzień podobny, o godz. 6.00 pobudka, słysząc buczer brykietowni, każda cela kolejno idzie do łazienki. Na umywalkach tubką od pasty wypisanych jest pełno różnych wiadomości.

Już wiem, że w areszcie jest Wiesiu Wysocki, jego żona Irena i Ewa Zaleska, dlatego wyszukuję wiadomości do mnie. Czasami odpisuję, chociaż wiem, że zanim wejdzie następna cela, to najpierw funkcjonariusze przeczytają i zapiszą co ciekawsze informacje. Część wymażą, część zostawiają, a sami też coś dopiszą, taka zabawa...

Dotyczy to zarówno politycznych jak i innych aresztantów. Kto nie wie, to łatwo da się wmanewrować w pozyskiwanie wiadomości, zwłaszcza jeśli przestępcy działali w grupie i teraz chcą uzgodnić zeznania. Inny sposób wyciągnięcia informacji to „kapuś”, którym jest kolega z celi współpracujący z służbami śledczymi. W każdej celi jest jeden, a nieraz i dwóch.

O godz. 8.00 śniadanie i oczekiwanie na ewentualne przesłuchanie, później obiad, wyjście na spacerownik, tylko celami, kolacja i o godz. 22.00 cisza nocna, znowu słysząc buczer brykietowni. W ciągu dnia nie wolno leżeć na łóżkach, można tylko siedzieć, co pewien czas strażnik cichutko podchodzi do judasza i jeśli ktoś leżał, to wpadał do celi z krzykiem. Raz w tygodniu w piątek kąpiel. W każdy poniedziałek zmiana celi i pobyt z innymi aresztantami.

Poznałem ich wielu: był marynarz i oficer Wojska Polskiego, był syn mojego znajomego aresztowany za niepłacenie alimentów, byli złodzieje, którzy torturowali staruszką, bo nie chciał powiedzieć, gdzie ma schowane pieniądze, był też jeden oskarżony o molestowanie małych dziewczynek. I byliśmy my, polityczni. Ciekawe, ilu było „kapusiami”.

Wiesia Wysockiego wywieziono do więzienia w Ostrowie. Ewa siedziała sama w celi i jak później mówiła, to było najgorsze. Często późnym wieczorem słyszeliśmy, jak śpiewa jakieś pieśni kościelne i głośno się modli. Strażnicy uspakajali ją, a ona zaczynała od nowa.

Pewnego dnia, gdy przechodziłem korytarzem, nie było strażnika, uchyliłem judasza do celi Ewy, siedziała na łóżku i pisała, chciałem coś powiedzieć, ale pojawił się wzburzony strażnik i myślałem, że mnie uderzy, ale powstrzymał się. Teraz spotykam go czasami na ulicy, no cóż, taką miał pracę.

Na przesłuchaniach trzymam się pierwszej wersji. Śledczy Dworak i Wiktor organizują mi spotkania, które mają to zmienić. Wzywają teścia, który jest pułkownikiem Wojska Polskiego i brata Józka, który pracuje w drogówce, i straszą ich konsekwencjami służbowymi jeśli nie namówią mnie do zmiany zeznań. Trudne to były rozmowy.

Pewnego dnia późnym wieczorem jestem prowadzony na przesłuchanie, idziemy po tym wielkim gmachu gdzieś na piętro, cisza i spokój, nie spotykamy nikogo na korytarzu. Jest szaro i przerażająco. W pomieszczeniu biurowym jeden nowy śledczy siada za biurkiem i zadaje pytania, drugi, też nowy, spaceruje i co pewien czas niespodziewanie uderza mnie kilka razy w brzuch. Taka miła pogawędka..., teraz można się śmiać, ale wtedy było strasznie.

Następnym wydarzeniem w śledztwie była konfrontacja, gdy wprowadzono mnie do pomieszczenia, w którym stało w szeregu kilka kobiet, a ja miałem rozpoznać tę, która przekazała mi materiały we Wrocławiu. Nie wskazałem na nikogo, mimo że poznałem Panią Krystynę Ziółkowską.

Czas mija powoli, otrzymuję listy, oczywiście cenzurowane, od rodziny i znajomych i dzięki temu czuję się lepiej, wiedząc że koledzy z „Solidarności” pamiętają.

W dniu 14 marca 1984 roku Komandor Klubu Żeglarskiego Andrzej Pietrzyk w imieniu całego Zarządu złożył wniosek do Prokuratury z prośbą o zamianę środka zapobiegawczego i zwolnienie z aresztu tymczasowego za poręczeniem. Jednak wiceprokurator Tadeusz Grzechowiak nie wyraził zgody. Dopiero w dniu 20 kwietnia 1984 roku uchylono w stosunku do mnie areszt tymczasowy i zastosowano dozór policyjny, polegający na obowiązku zgłaszania się dwa razy w tygodniu w Rejonowym Urzędzie Spraw Wewnętrznych w Koninie i zakaz opuszczania miejsca zamieszkania.

Wolność

Wróciłem do domu, dzieciom powiedzieliśmy, że tak długo byłem na nartach, były za małe żeby więcej zrozumiały. Wróciłem także do pracy, ale nie do zaopatrzenia. Decyzją dyrektora Stefana Kucharskiego zostałem przeniesiony do Oddziału Urządzeń Maszynowych SM-1 Zakładu Robót Górniczych, na stanowisko ślusarza. Kierownikiem oddziału był Juliusz Szkudlarek, a zastępcą Wojtek Zieliński, i to dzięki nim zostałem w ZRG.

Będąc w areszcie otrzymywałem zmniejszone pensję, ale koledzy pomogli zbierając pewną kwotę pieniędzy. Wcześniej ja też zbierałem pieniądze i w ten sposób pomagaliśmy rodzinie Krzyśka Buszki, który był najdłużej internowanym działaczem konińskiej Solidarności.

W dalszym ciągu brałem udział w różnych spotkaniach i nie zrezygnowałem z działalności w strukturach Solidarności.

Teraz tak sobie myślę, że o konspiracji wiedzieliśmy tylko tyle co z książek i filmów, mnie osobiście bardzo pomogła książeczka podziemnej Solidarności p.t. „Jak z ubka zrobić głupka”. A mimo to nie ustrzegłem się kilku błędów, ale to nie były takie proste sprawy.

W dniu 28 czerwca 1984 roku zapoznałem się z aktem oskarżenia przeciwko mnie, Ewie Bugno - Zaleskiej, Krystynie Ziółkowskiej i Wojtkowi Zaleskiemu.

Do rozprawy jednak nie doszło, ponieważ postanowieniem Sądu Rejonowego w Koninie, II Wydział Karny, z dnia 26 lipca 1984 roku, postępowanie karne zostało umorzone na podstawie amnestii z dnia 21 lipca 1984 roku.

Oceniając teraz całą działalność muszę przyznać, że w obronie „Solidarności”, w naszym regionie zrobiono bardzo dużo. Nie podobało mi się tylko to, że dwa duże ośrodki skupiały ludzi z tej samej Solidarności, ale przy dwóch różnych kościołach (ciągle mieli do siebie jakieś pretensje i nie mogli się dogadać, i coraz mniej z tego rozumiałem).

Moja Solidarność rozpoczęła się w sierpniu 1980 roku, gdy brat Józek będąc w szkole milicyjnej w Szczytnie, został przeniesiony do Gdańska i to on przywiózł do domu pierwsze ulotki Komitetu Strajkowego. Później włączyłem się w działania organizacyjne przy tworzeniu struktur „Solidarności” w Kopalni „Konin”.

Będąc członkiem Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” jeździłem na odkrywki najpierw przekonując pracowników do wstępowania, a później przeprowadzając wybory do poszczególnych struktur Związku.

Zostałem wybrany do pierwszej Komisji Zakładowej i pełniłem obowiązki sekretarza.

Dzisiaj jest 10. lutego 2009 roku, od dnia aresztowania minęło właśnie 25 lat.

*Tomasz Piasecki
Aktualizowane w grudniu 2019 r.*

TERESA IRENA WYSOCKA-WIELK

Wspomnienia

Sobota, 12 grudnia 1981r. Świetnie się bawimy. Mamy wielu gości, bo właśnie Wiesiek obchodzi swoje imieniny. Goście zaczęli rozchodzić się bardzo późno. Mąż i Jurek poszli spać, ja wzięłam się za sprzątanie. Nad ranem byłam już bardzo zmęczona. Usiadłam na chwilę i włączyłam telewizor. Coś mi nie pasowało, bo grana była jakaś muzyka poważna, ale po chwili ukazał się Jaruzelski ogłaszając, że w Polsce został wprowadzony stan wojenny. Nie bardzo rozumiałam o co chodzi, ale wiedziałam, czułam instynktownie, że jest to coś bardzo złego, wręcz okropnego. Postanowiłam obudzić męża. Szarpałam go i krzyczałam: wstawaj, w kraju jest wojna! Nic nie pomagało. To samo było z Jurkiem, który mieszkał wtedy u nas. Dopiero koło ósmej obudził się Wiesiek. Zszokowany ubrał się prędko i pobiegł do Zarządu Regionu, gdzie wtedy pracował. Czekaliśmy na jego powrót z niepokojem. Wrócił dopiero wieczorem. Co się wydarzyło w tym czasie – nie bardzo pamiętam...

Późnym wieczorem zapukało dwóch mężczyzn prosząc, bym otworzyła drzwi, bo chcą porozmawiać z mężem. Mają mu przekazać jakieś bardzo ważne dokumenty. Byłam skłonna ich wpuścić, ale powstrzymała mnie teściowa. Okazało się, że byli to panowie ze Służby Bezpieczeństwa.

W poniedziałek rano poszłam jak zwykle do pracy. Nastrój był bardzo przygnębiający, wszyscy byli przerażeni i nie bardzo wiedzieli, o co chodzi. PKO było zamknięte dla interesantów. Dobrze, jeśli ktoś był zaopatrzony w gotówkę, znacznie gorzej, jeśli komuś zabrakło pieniędzy, gdyż na polecenie władz, kasy nie urzędowały. Pracowałam jako kasjer i byłam jednocześnie przewodniczącą Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w PKO. Zostałam wezwana do dyrektora, który nakazał mi zanieść do depozytu całą dokumentację wraz z książeczką czekową. Nasze konto zostało zablokowane, a na nim pozostało około 40 tys. zł. Jako jedna z kasjerek miałam w czasie pracy przydzieloną broń. Przechodziłyśmy wszystkie przeszkolenia i ćwiczenia w strzelaniu – żadnej innej ochrony nie było. Oczywiście odebrano mi broń i upoważnienie do jej posiadania w czasie pełnienia obowiązków służbowych. Byłam przecież człowiekiem niebezpiecznym. Po pewnym czasie zostałam przeniesiona do pracy na inną placówkę, do ekspozytury przy ul. Błazaka. Pracowało nas tam tylko kilka osób, więc i kontakt z całą załogą był mniejszy.

Zaczęły się prześladowania przez SB. Pierwszy raz zostałam wezwana zaraz na początku stanu wojennego. Na korytarzu Komendy było wielu ludzi. Nie wszystkich znałam, ale było tam także wielu znajomych, przynajmniej z widzenia. Po wielu godzinach oczekiwania i denerwowania się wezwano mnie do jednego z pomieszczeń. Jakiś funkcjonariusz starał się mnie przekonać, jakie stanowię zagrożenie dla siebie samej i dla innych, no i oczywiście co mi grozi w przypadku nie zaprzestania działalności związkowej.

Przeczytano mi jakieś pismo, jak sobie przypominam było w nim coś o lojalności i nie szkodzeniu PRL. Myślę, że była to tak zwana „lojalka”. Nie bardzo wiedziałam, co to znaczy. Kazano mi podpisać i o ile pamiętam, podpisałam. Oczywiście w tym czasie nie odbyło się bez rewizji w miejscu pracy i w domu, często bez nakazu prokuratora. Zabierano wszystko, co im wpadło w ręce: gazetki, książki, zrywano z maty proporczyki i plakietki „Solidarności” oraz różne znaczki. Mieliśmy dosyć dużą kolekcję i prawie wszystko przepadło.

Także częste były wezwania na Komendę – średnio co dwa tygodnie. W czasie jednego z przesłuchań Traciłowski zaczął dyskusję. Przeważnie tylko słuchałam unikając mówienia czegokolwiek, ale tym razem nie wytrzymałam. Stwierdził: „a co wy tam zrobicie, ze sto gazetek rozdacie między siebie, a przecież chodzi Wam, żeby gazetki dotarły do jak największej liczby ludzi”. Nie wytrzymałam i odpaliłam: „o tak, właśnie o to chodzi. Macie papier, macie dobry sprzęt, macie ostatni numer gazetki. Wystarczy tylko powielić i rozdać między ludzi. Wtedy rzeczywiście dotrze do mas”. Wściekł się tak bardzo, że prawie przeskoczył biurko. Znalazł się koło mnie z ręką wyciągniętą do uderzenia, ale rękę wstrzymał. Czerwony na twarzy krzyknął: „to my z tym walczymy, a Pani nam proponuje powielać i kolportować?”. Odpowiedziałam jeszcze: „skoro uważacie, że jest tego zbyt mało...”. Przesłuchanie zostało przerwane...

Następnym razem chodziło o nawiązanie współpracy. „My Pani nie namawiamy do współpracy. Wystarczy, że stworzymy takie warunki, że każdy będzie przekonany, że Pani z nami współpracuje. Możemy Panią wzywać przynajmniej raz w tygodniu”. Nie skomentowałam tego.

W maju 1982 r. aresztowano grupę osób z zarzutem kolportażu i produkcji pism zakazanych, szkalujących władzę PRL. Znalazłam się wśród nich. Miałam konfrontację z Ewą R. Byłam wściekła, bo od SB-ków dowiedziałam się, że zwała wszystko na mnie. Przeszło mi, gdy ją zobaczyłam. Wyglądała strasznie, chyba cały czas płakała. Zrobiło mi się jej bardzo żal i cała złość minęła. Podczas konfrontacji jednak niczego nie potwierdziłam, do niczego się nie przyznałam. Zwolniono nas po 48 godzinach. Ten pierwszy areszt był dla mnie jednak wspaniałą szkołą na przyszłość. Przynajmniej wiedziałam już, jak w takich sytuacjach trzeba się zachować.

10 maja 1982r. następna tura internowań. Wszyscy mężczyźni (w tym mój mąż) zostali przewiezieni do Mielęcina koło Włocławka i dołączeni do internowanych w grudniu 1981 r. Rodziny zostały o tym poinformowane dopiero po tygodniu, stąd wiele niepokoju o nich, bo przeżywaliliśmy koszmar nie wiedząc, co się z nimi dzieje. Na początku sierpnia zostali przewiezieni do Kwidzyna, gdzie można ich było odwiedzać bez specjalnych zezwoleń z SB, stąd jeździliśmy tam prawie co tydzień. Jeden z takich wyjazdów zapamiętałam w sposób szczególny.

Było lato, połowa sierpnia 1982 r., piękna pogoda, mnóstwo odwiedzających z dziećmi. Jechałam tym razem sama, więc męczyłam się prawie całą noc w pociągu, by rano być na miejscu. Przed więzieniem było już prawie 30 osób. Zaskoczyła nas wszystkich dziwna atmosfera; odmawiano widzeń, wzywano pojedyncze osoby na rozmowę z naczelnikiem, ludzie wchodzili, wychodzili, część odjeżdżała bez widzenia z internowanymi. Kiedy przyszła kolej na mnie, weszłam do gabinetu naczelnika. Pozwolono mi usiąść i naczelnik czy komendant, trudno mi spać, pamiętała nomenklaturę, zaczął mnie przekonywać, że mój mąż należy do grupy niepokornych, a przecież władze więzienia starają się stworzyć im jak najlepsze warunki pobytu, dlatego mam nakłonić męża do zmiany postawy i odrobiny pokory. Gdy odmówiłam, usłyszałam, że nie dostanę widzenia. Wstałam z krzesła i wyszłam trzaskając drzwiami. Usłyszałam za sobą: „nie trzaskać, nie jesteście w domu!”.

Przed więzieniem zaczynało się rzeczywiście robić gorąco. Czekaliśmy na przyszłe wydarzenia w milczeniu. Zza bramy słychać było skandowanie: "wpuścić rodziny". Kazano nam odejść od bramy i wracać do domów. Grupa około 30 osób nie usłuchała polecenia. Zostaliśmy i czekaliśmy, co się dalej wydarzy.

Niewiele widzieliśmy, co dzieje się na terenie więzienia, choć dochodziły stamtąd okrzyki i śpiewy. Po około dwóch godzinach nadjechał samochód opancerzony i zbliżył się do bramy. Stanęliśmy wszyscy w szeregu, chwyciliśmy się za ręce i zasłoniliśmy sobą bramę. Strażnicy szarpali nas i odciągali, a samochód zbliżał się w naszym kierunku, wręcz czuliśmy ciepło silnika. Zatrzymał się zaledwie trzydzieści centymetrów przed nami. Z samochodu wysypali się milicjanci w kaskach, z pałkami i tarczami. Były też psy. Później dowiedzieliśmy się, że była to specjalna grupa milicyjna ze Sztumu. Otworzono im bramę i wbiegli na teren więzienia. Dobiegały stamtąd tylko krzyki. Nie wiedziałam jeszcze, co wydarzyło się wtedy w więzieniu. Po chwili musiałam odejść stamtąd, by zdążyć na pociąg do domu. Dopiero kilka dni po tym dotarła do Konina informacja, że internowani zostali dotkliwie pobici. A wielu znalazło się w szpitalu.

Życie toczyło się dalej – praca, dom, wyjazdy do męża. Po przebytej głodówce w ośrodku internowania znalazł się w szpitalu. Dlatego jeździłam te-

raz do szpitala w Kwidzynie. Jeden z kolegów, który leżał z Wieskiem, robił wspaniałe, malutkie stemple, którymi stemplowaliśmy banknoty dziesięcio- i dwudziestozłotowe. Rozmieniałam w PKO banknoty na takie właśnie i stemplowaliśmy je. Pamiętam tylko jeden ze stempli: „WRONA KRACZE, NARÓD PŁACZE”. Podczas pracy w kasie często z gotówką, którą ludziom wypłacałam, dokładałam taki banknot. Nigdy się to nie wydało i nikt z prensjami się nie zgłosił. Był tylko jeden przypadek, że taki ostemplowany banknot wrócił w moje ręce i po prostu wymieniałam go na czysty. Zostawiałam też ostemplowane banknoty w pociągu czy w autobusie.

Po wyjściu ze szpitala mąż jeszcze na krótko musiał wrócić do więzienia. Większość internowanych została zwolniona, Wiesiek wreszcie też. Cały czas działaliśmy w opozycji. Nadal trwały rewizje w domu i wezwania na przesłuchanie. Zmieniłam znowu miejsce pracy, tym razem przeniesiono mnie do ekspozytury PKO na Alejach 1 Maja.

Któregoś dnia 1983 r. zjawili się trzech SB-ków. Najpierw zrobili szum i popłoch, przeszukali moje biurko i kazali mi się ubrać, bo zabierają mnie ze sobą. Rozpoczyłam moją zmianę i nie mogłam zostawić stanowiska pracy bez zastępstwa. Po telefonach do Oddziału PKO i zabezpieczeniu mojej kasy pozwolono mi iść z nimi. Byłam trochę wystraszona, bo nie wiedziałam co się dzieje i gdzie mnie zabierają. Przypadkowo w tym czasie w PKO była Pani Elżbieta Buszko i zdążyłam jej powiedzieć, by przekazała, jeżeli nie wrócę, że zabrało mnie SB. Po wyjściu na ulicę darli się na mnie, że robię sensację z niczego. Odpowiedziałam: "Co, ja robię sensację? Kto tu kogo zabiera, ja was, czy wy mnie?" Okazało się, że to znowu rewizja w domu. I znowu znikały kolejne nasze „skarby” z maty i kolejne książki. Nic szczególnego znowu nie znaleziono, lecz przeszukanie było uzasadnione. Potem odwieźli mnie na moje życzenie do pracy.

Wraz z mężem braliśmy nadal udział w życiu konińskiej opozycji. Byliśmy członkami Konfraterni im. Ks. Jerzego i udzielaliśmy się w Bractwie Trzeźwości w parafii św. Maksymiliana. Odbýwały się tam wykłady dotyczące wychowania w trzeźwości, braliśmy udział w pikietach sklepów monopolowych, które skutecznie usuwała milicja. Każdego trzynastego dnia miesiąca braliśmy czynny udział w mszach św. za Ojczyznę w parafii św. Wojciecha w Morzysławiu. W Konfraterni też odbywały się spotkania z ciekawymi ludźmi, wykłady, pokazy zabronionych przez cenzurę filmów.

Miałam kontakt z Kłodawą, a konkretnie z Czesiem i Grażyną G. Co dwa tygodnie jeździłam do nich autobusem lub okazją. Odbierałam do kolportażu książki, bibułę z innych Regionów, znaczki poczty podziemnej. Nigdy z tym nie było kłopotów, ani żadnej wpadki.

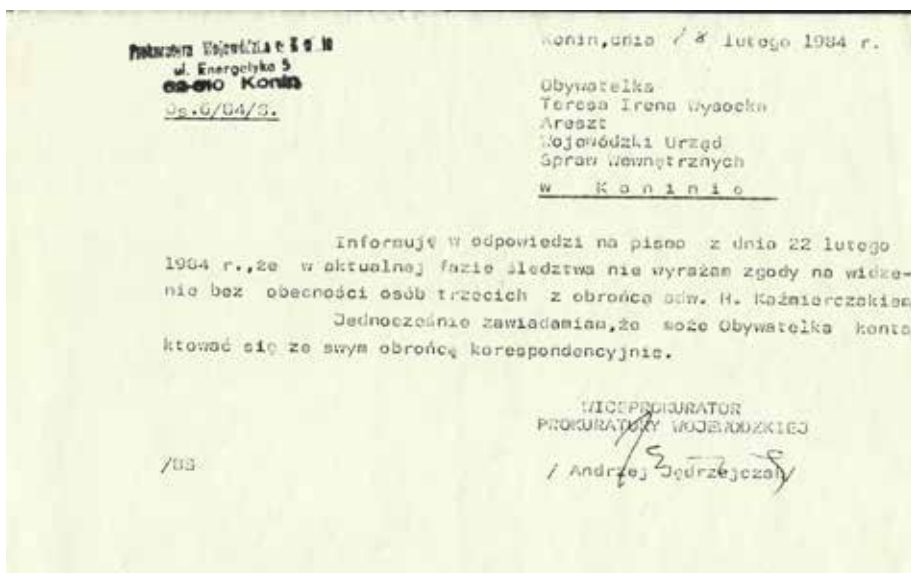
Nadszedł rok 1984. Powstał pomysł wydawania w Koninie gazetki „Solidarności Walczącej”, ale brakowało sprzętu i papieru. Podjęliśmy się z Wieskiem

jej produkcji. Od Grażynki z Kłodawy dostałam w słoikach gotową specjalną galaretkę. Jej składu nie pamiętam, ale z pewnością była tam żelatyna zabarwiona czymś na zielono. Podobno ta metoda znana była już w czasach powstania styczniowego. Przystępując do pracy trzeba było tę substancję rozgrzać do płynnej konsystencji, następnie wylać na blachę do ciasta, poczekać do ponownego ostygnięcia. Matryce wykonywało się na kalce hektograficznej.

Był feralny dzień 9 lutego 1984 r. Do pracy szłam na popołudniową zmianę, wyjechałam z domu jednak znacznie wcześniej, bo miałam odebrać od Wojtka gotowe matryce. Jak pamiętam, do Wojtka w tym samym czasie przyszedł Waldek. To była niespodzianka, więc sytuacja była trochę napięta – takie to były czasy. Od Wojtka z czterema matrycami pojechałam prosto do pracy. W tym czasie ponownie pracowałam w Oddziale PKO w Starym Koninie. Rozpoczęłam pracę jak każdego dnia. Kiedy po kilku godzinach wstałam na moment i przechodziłam koło mojej szefowej (Pani Helenka – tak ją nazywaliśmy), usłyszałam od niej szeptem: „Uważaj Irena, jesteś śledzona”. Pracowałam dalej, jakby nic się nie stało, dyskretnie tylko rozglądałam się, czy nie ma w pobliżu kogoś ze znanych mi SB-ków, ale nic nie dostrzegłam. Po rozliczeniu kasy na końcu pracy Pani Helenka zaproponowała, że odwiezie mnie do domu swoim samochodem. Byłam bardzo zadowolona, bo wiem, że do domu autobusem w tym dniu bym nie dojechała, chyba że panowie z SB czekali jeszcze na coś więcej.

Po kolacji wraz z mężem zabraliśmy się do pracy. Wychodziło nam około 30 gazetek i następnie trzeba było zmyć kalkę gąbką i płynem do naczyń. Oczywiście wszystko musiało dobrze wyschnąć i można było robić następną trzydziestkę. Zrobiliśmy łącznie 120 egzemplarzy – 240 arkuszy dwustronnych. Skończyliśmy około godz. trzeciej nad ranem. Wiesiek złożył gazetki odkładając trzy egzemplarze. Schowałam je w pokrowiec fotela sądząc, że w fotelu nikt tego nawet w czasie rewizji szukać nie będzie. Po godzinie 5.00 Wiesiek wyszedł do pracy i zabrał wydrukowane gazetki, a ja sprzątnęłam wszystko po pracy. Zostały tylko niezbyt dokładnie umyte gąbki, blacha po galaretkę stała w piekarniku, a stoiki z nią w lodówce. Gdy Wiesiek wychodził spałam spokojnie. Obudził mnie dochodzący z dołu hałas. Szybko się ubrałam. Do mieszkania weszło pięciu SB-ków z przygotowanym nakazem rewizji. I tak to się zaczęło.

Zaczęli od naszego mieszkania. Szukali wszędzie bardzo dokładnie. Odnosiłam wrażenie, że wiedzą, czego mają szukać. Później podzielili się na dwie grupy. Jedna zeszła do piwnicy i mieszkania teściów, druga sprawdzała szopę na podwórku, gdzie był stos węgla, który też trzeba było przerzucić. Pojechali także po wykrywacz metali i sprawdzali nim ogródek i plac przed domem. Nie znaleźli zupełnie nic. Byłam zadowolona, ale kierujący rewizją kpt. Dworak zdecydował, że zaczynają wszystko od nowa.



Znowu nerwy, choć starałam się nie okazywać tego po sobie. Zjadłam śniadanie, wypiałam kawę, a cała zabawa trwała już około pięciu godzin. W pewnym momencie Dworak kazał zdejmować pokrowce z kanapy i foteli. W ten sposób znaleźli to, czego szukali, choć odniosłam wrażenie, że liczyli na znacznie więcej. Zabrali znalezione w pokrowcu fotela gazetki „Solidarności Walczącej” wykonane w nocy oraz schowane tam także trzy egzemplarze poprzedniego numeru robionego miesiąc wcześniej. Zabrali także gąbki do ekspertyzy. Zaglądali wszędzie, nie omijając kuchenki elektrycznej, gdzie w dochówce stała nasza „drukarka” i lodówki, gdzie były stoiki z galaretką do druku. Nie zwróciło to jednak ich uwagi.

Pozwolono mi zabrać trochę rzeczy. Wzięłam coś z ubrania, dwie książki (Pismo Święte i jakąś powieść, którą akurat zaczęłam czytać). Zabrali mnie do miejsca pracy i tam powtórzyli dokładną rewizję. Tam jednak nic nie znaleziono. Musiałam jeszcze się rozliczyć, przekazać szefowej kasetkę z gotówką i innymi wartościami. Pozostało mi tylko pożegnanie z koleżankami. Niektóre płakały, a ja byłam zupełnie spokojna.

Zawieziono mnie na komendę, prosto do biura płk Nowaczewskiego. Przywitał mnie uprzejmie, zaproponował kawę, ale odmówiłam. Starał się spokojnie nakłonić mnie do złożenia zeznań. Gdy odmówiłam, zaczęło się... „Ty k.....” – nie przebierał w słowach. Groził, straszył, próbował mnie łżyć, wręcz zeszmacić. Po około trzech godzinach kazał mnie wyprowadzić. Wiedziałam już, że Wiesiek też został zatrzymany w pracy, ale nic przy nim nie znaleziono.

Wyprowadzono mnie z budynku. Na zewnątrz czekała milicyjna „suka”. Było już ciemno. Kazano mi wsiąść do niej. Samochód odjechał w nieznanym mi kierunku. Gdy zatrzymał się okazało się, że jestem przewieziona do aresztu w Słupcy. Byłam zmęczona i głodna, dlatego zaraz położyłam się. Zabrali mi

wszystkie rzeczy do depozytu, w tym także Pismo Święte. Przez zamknięte drzwi słyszałam jak czytali jego fragmenty, chyba Pieśń nad Pieśniami. Bardzo się przy tym śmiali, co mnie doprowadzało do szału. Długo nie mogłam zasnąć, ale gdy usnęłam, spałam bardzo dobrze. Rano mogłam się umyć, zjadłam chleb z margaryną i wypłam trochę aresztanckiej, zbożowej kawy. Kazano mi się ubrać, wydano moje rzeczy z depozytu, zapakowano ponownie do „suki” i odwieziono do Konina, prosto do Sądu Wojewódzkiego.

Tam spotkałam czekającego na korytarzu na przesłuchanie Tomka P. Pilnował nas Traciłowski i nie pozwolił rozmawiać, ale i tak zamieniliśmy kilka zdań. Tomek prosił mnie o powiadomienie żony, jeżeli zostanie zatrzymany, a ja prosiłam, jeżeli wyjdzie, o powiadomienie moich teściów. Wiedziałam, że gdzieś w pobliżu jest mój mąż, lecz nie miałam możliwości go zobaczyć. Po około dwóch godzinach oczekiwania wprowadzono mnie do gabinetu prokuratora Andrzeja Jędrzejczaka. Wskazał mi krzesło, więc spokojnie usiadłam. Rutynowe pytania: imię, nazwisko, data urodzenia i wreszcie – co mam do powiedzenia? Odpowiedziałam: *„przepraszam, może mnie najpierw pan pouczy o przysługujących mi prawach”*. Był zaskoczony i wyraźnie wściekły moją reakcją, stał się niezbyt przyjemny, ale odpowiedział: *„może Pani kłamać, nie przyznawać się do zarzucanego czynu, może pani odmówić odpowiedzi”*. Moja odpowiedź brzmiała: *„dziękuję, korzystam z możliwości odmowy odpowiedzi i nie będę odpowiadała na żadne pytania”*. Prokurator z wściekłością odpalił: *„to będzie pani siedziała!”*. *„Tak, zdaję sobie z tego sprawę, jeżeli jest taka konieczność, będę siedziała”*. Jego decyzja była natychmiastowa. Dostałam sankcję na trzy miesiące, a uzasadnienie oparte było na mojej odmowie zeznań. Tak zakończyło się pierwsze przesłuchanie, a przede mną była odsiadka.

Tomka i mnie wsadzono do milicyjnej „suki” i odwieziono na komendę w Koninie. Wprowadzono nas na czwarte piętro i ustawiono po dwóch stronach korytarza. Zaczęliśmy trochę rozmawiać. W tym momencie gwałtownie wbiegł między nas funkcjonariusz SB Traciłowski – *„cicho, spokój, nie rozmawiać, pod ścianę...”* Uzupełniłam: *„...i ręce do góry”* – i tak zrobiłam. Traciłowski doskoczył do mnie z ręką podniesioną do uderzenia w twarz, ale nie odważył się uderzyć i ręka mu opadła. Po chwili odprowadzono mnie do aresztu. Nie wiedziałam, co dalej działo się z Tomkiem ani z moim mężem.

Wprowadzono mnie do gabinetu naczelnika aresztu, zabrano mi tam wszystko do depozytu, zostawiając tylko papierosy, przeszukano dokładnie odzież i książki, które wzięłam z domu. Czekala mnie jeszcze rewizja osobista. W tym celu wprowadzono mnie do innego pomieszczenia, gdzie po chwili weszła młoda dziewczyna i kazała mi się rozebrać. Rozłożyłam ręce i stwierdziłam: *„niech mnie pani rozbiera, bo sama tego nie zrobię”*. Zaczęła

płakać. Zrozumiałam, że dziewczyna mocno to przeżywa i powiedziałam: „jeżeli ta praca pani nie odpowiada, to co pani tu robi?”. Płakała nadal, ale odpowiedziała: „wszędzie pracują ludzie..., niech pani zdejmie choć jeden but”. Zdjęłam, ale ona nawet na niego nie spojrzała. Posiedzialiśmy chwilę w milczeniu i na tym rewizja osobista się skończyła.



Po spisaniu depozytu odprowadzono mnie do mojego „M-3”: trzy prycze zbite z desek, jeden taboret, w kącie kocioł przykryty blaszanym dekle. Na obiad oczywiście nie zdążyłam i musiałam czekać na kolację – kubek czarnej kawy zbożowej, chleb z margaryną. Wypiłam tylko kawę. Jakoś się rozłokowałam, poukładałam swoje rzeczy i wreszcie po ogłoszeniu ciszy nocnej mogłam położyć się spać. Tak samotnie w celi minęło kilka dni. Dziwiło mnie, że nikt nie wzywa mnie na przesłuchania. Wreszcie się doczekałam. Przyszedł sam kapitan Wiktor. Wyprowadzono mnie z celi tylko po to, by zdjąć mi odciski palców i zrobić zdjęcia do kartoteki kryminalnej -zdjęcia, jak wszystkich przestępców – z trzech stron. Po tym wróciłam do celi. Za kilka dni doczekałam się towarzystwa – doszły dwie kobiety – Jadzia ze Ślesina i Krysia z Koła. Nie interesowało mnie co zrobiły, ważne było, że już nie byłam sama.

Warunki były okropne, brak było też ciepłej wody, którą odkręcano tylko raz w tygodniu do kąpeli. Do mycia w korycie była tylko zimna woda. Trzeba było bardzo prosić kogoś z „klawiszy”, by umyć się w ciepłej wodzie lub zrobić przepierkę. Bardzo nam także dokuczało zimno, w celi było raptem 13°C. Na moją skargę otrzymałam odpowiedź, że do tej temperatury musimy się przyzwyczaić.

Nawiązałyśmy kontakt z sąsiednimi celami z jednej i z drugiej strony. Dostałyśmy informację, żebyśmy szukały w łazience, bo tam jest coś dla nas. Jadzia znalazła w kiblu zawinięty w folię alfabet Morse'a oraz instrukcję, jak mamy się tym posługiwać. Wystarczył nam jeden wieczór na opanowanie całego alfabetu. Tak zaczęłyśmy „dzięciołkować”, bo tak w gwarze więziennej nazywano pukanie w ścianę. W ten sposób dowiedziałam się, w której celi siedzi mój mąż. Odtąd przechodząc koło drzwi Jego celi pukałam w nie, czym oczywiście narażałam się reagującym na to klawiszom.

Przez dwa dni miałam za to zakaz spaceru. Natychmiast też dowiedziałam się, kiedy został wywieziony z Konina (okazało się, że przeniesiono go do więzienia w Ostrowie Wlkp.). Wkrótce zaczęłam odczuwać dolegliwości zdrowotne dostałam niedotlenienia mięśnia sercowego, a choroba pozwoliła mi na leżenie na pryczy w czasie dnia. Dzięki temu mogłyśmy w celi leżeć, zmieniając się co jakiś czas. Raz wpadł klawisz z krzykiem: „co to za leżenie, pozwolenie na leżenie ma tylko jedna z was”. Odpowiedziałam spokojnie, że leży przecież tylko jedna. Popatrzył na mnie złym wzrokiem, ale wyszedł i dał nam spokój.

Co godzinę można było zapalić papierosa. Wchodził klawisz mówiąc „palenie” i przypalał wszystkim chętnym papierosa. Za „dzięciołkowanie” odbierano nam także wypiski, paczki lub widzenia. Pisałam skargi, które po sprawdzeniu i „dochodzeniu”, nie były potwierdzane.

Zaczęły się przesłuchania. Zawsze w ten sam sposób: imię, nazwisko, itd... . Kończyły się odmową przeze mnie odpowiedzi i podpisem. Ze względu na złe warunki panujące w areszcie zorganizowałam strajk głodowy. Do strajku przystąpiły ze mną obie moje współwięźniarki. O przystąpieniu do strajku poinformowałam wszystkich klawiszy. Piłyśmy tylko kawę. Nasz strajk trwał siedem dni. Z chwilą rozpoczęcia strajku zabrano mi leki, bez których czułam się jeszcze gorzej. W niedzielę moje współtowarzyszki miały widzenia z rodzinami. Po powrocie oświadczyły mi, że przerywają głodówkę. Byłam załamana. Prosiłam – wytrzymajmy jeszcze trzy dni, jak się nic nie zmienia, zaczniemy jeść. Nie dały się przekonać. Chyba popełniłam błąd nie dając tej informacji na piśmie. Po prostu nie wiedziałam, że tak się to powinno odbywać.

Czas upływał. Każda niedziela była dniem pisania listów. Dostawałyśmy kartki papieru i każda kawałek ołówka. Pisałam do przyjaciół, męża. Krysia i Ja-

dzia prosiły, bym im też pisała listy do rodzin. Robiłam to z przyjemnością, a one tylko przepisywały swoim charakterem pisma. Na moje listy do męża nie otrzymywałam żadnej odpowiedzi, co mnie bardzo przygnębiało, ale z czasem z tym się pogodziłam. Wieczorem, po zgaszeniu światła, opowiadałam współwięźniarkom przeczytane książki lub bajki.

Po pewnym czasie przenieśli nas za „dzięciołkowanie” do celi na samym końcu korytarza (nr 13). Cella ta została właśnie zwolniona. Przedtem siedział w niej mój mąż. Tam pewnego dnia usłyszałam śpiewane pieśni religijne. Rozpoznałam głos Ewy Z. Jej śpiew podtrzymywał nas na duchu, słuchaliśmy go w skupieniu i ciszy, a czasami jej wtórowałam. Klawisze usiłowali ją uspakajać, lecz Ewa na ich krzyk nie zwracała uwagi i śpiewała nadal. Któregoś dnia usłyszałam głos Ewy na korytarzu, a później już jej śpiewu nie słyszeliśmy. Zrozumiałam, że chyba została przewieziona do innego aresztu. Tak też było. Przewieźli ją wtedy do Grudziądza.

Koleżanki z celi też zostały wywiezione z Konina do Poznania, ale do ostatniej chwili nie wiedziały, dokąd je wywożą. Po prostu wchodził do celi klawisz i kazał się pakować. Każda z nich była bardzo wystraszona. Zostałam znowu sama, trochę spokorniałam, ale swojej postawy nie zmieniałam. Miałam przy sobie Pismo Święte, które pozwolono mi zabrać z domu. Czytałam, jak długo pozwalał mi wzrok. W celi panował ciągły półmrok, maleńka żaróweczka 25V za siatką nad drzwiami nie dawała wiele światła, a na oknach matowa szyba zasłonięta siatką i kratą – to wszystko stwarzało nieustanny półmrok w celi, a cała cella była w kratę (tak odbijała się kratka okienna i kratka wokół żarówki). W tym ciągłym półmroku zaczęły mnie boleć oczy, źle widziałam, czytanie musiałam ograniczyć do kilku godzin porannych.

Wreszcie doczekałam się pierwszych odwiedzin mojej teściowej. Udało mi się w czasie widzenia przekazać karteczkę z informacją, że nic nie powiedziałam. Widzenie trwała zaledwie 15 minut. Teraz musiałam czekać dalej. Zrozumiałam, że trzeba sobie zorganizować jakoś życie, by nie było zbyt męczące i monotonne. Przysługiwały nam spacer – spacerownik miał 8x12 kroków. Często rezygnowałam ze spacerów. Ciągłe było mi zimno. Z kożucha rozbieierałam się tylko do spania, a w tym czasie służył mi on do przykrycia.

Przesłuchania trwały nadal, choć nie tak często. Doskonale pamiętam jedno z nich. Przyprawdzono mnie do oficera SB nazwiskiem Wiatrak. Kiedy usiadłam przed jego biurkiem, Wiatrak zdjął marynarkę, pod którą był przepasany szerokim pasem podtrzymującym kaburę z pistoletem. Po chwili wyjął pistolet, bawił się nim przez chwilę, kręcił na palcu, a po kilku obrotach wymierzył w moim kierunku celując w głowę. Znałam tę broń, kiedyś uczyłam się nawet z takiego pistoletu strzelać. Był bardzo zaskoczony, kiedy patrząc na pistolet powiedziałam: „o, P-64”. Zapytał, czy naprawdę znam tę broń, a ja odpowiedziałam: „trafiam z niej zawsze w 10-tkę”. Zmieszał się, szyb-

ko schował pistolet i ubrał marynarkę. Kazał mi podpisać protokół mówiąc: „znam pani odpowiedź, więc zadawanie pytań nie ma sensu”. Zostałam odprowadzona do celi.

Dostałam paczkę z domu – trochę słodczy, owoce, masło i nieco wędliny. Nie było tego gdzie trzymać i wszystko się szybko psuło. Słodczy trzymałam zawsze długo, wydzielałam sobie po cukierku, czasami dwa dziennie. Ciągle miałam nadzieję, że kogoś mi dołożą do celi i chciałam mieć coś dobrego na przyjęcie.

Bardzo uciążliwe było także przenoszenie z celi do celi. Przeszłam ich chyba 15. Najgorsze było to, że gdy się już zadomowiłam, wysprzątałam celę, opróżniłam kibel, a tu znowu przeprowadzka i wszystko zaczynam od początku. Raz zdarzyło się, że gdy wysprzątałam celę i położyłam się spać, poczułam, że coś po mnie łązi. Złapałam, zdusiłam i położyłam na papier. Rano okazała się, że to wszy. Powiadomiłam klawiszy, że w celi nie zostanę, bo jest zawieszona. Oczywiście przeniesiono mnie do innej, a tamtą celę zdezynfekowano. Najgorsze było wylewanie garów z odchodami. Musiałam sobie zatykać nos papierem toaletowym i wyglądałam jak mors, z czego klawisze mieli znakomitą zabawę.

By jakoś zająć nadmiar wolnego czasu, lepiłam kości do gry z chleba i karty do układania pasjansa. Karty robiłam z kartek papieru, który otrzymywałam do pisania listów. Pobudkę mieliśmy o 6.00 rano, capstrzyk wieczorny o 22.00. Przez cały dzień żadnego zajęcia i okropna samotność. Zawsze wiedziałam, która jest godzina, bo o 6.00 rano wrony leciały na żerowisko z głośnym krakaniem, a wracały około 18.00. Namiętnie układałam pasjanse albo grałam w kości. To mnie uratowało od zwariowania, bo czas miałam jakoś wypełniony. Klawisze i tak sądzili, że zwariowałam, otwierali drzwi do celi, stawali w nich, patrzyli z politowaniem i kiwając głowami uśmiechali się do siebie.

Czas mojego aresztu mijał bardzo wolno. Choć nie bardzo wierzyłam, że zostanę szybko zwolniona, miałam nadzieję, że tak się stanie. Nadzieja ta rozbiła się jak bańka mydlana, gdy otrzymałam przedłużenie sankcji i aresztu o kolejne dwa miesiące. Był to dla mnie następny cios. Pisałam o umożliwieniu widzenia się z moim adwokatem, ale dostałam odpowiedź, że „w obecnej fazie śledztwa widzenie z Pani adwokatem jest niemożliwe”. Koniec. Wreszcie zaczęto mnie wykorzystywać do drobnych prac, takich jak zmiana pościeli. Musiałam brudną pościel zebrać z korytarza, poukładać i przygotować do pralni, a następnie czystą rozłożyć pod drzwiami. W ten sposób wiedziałam ilu aresztantów jest w tej chwili w areszcie.

Zbliżały się Święta Wielkiej Nocy. Z niecierpliwością czekałam na śniadanie. Byłam pewna, że otrzymamy jajko, może dwa. Pobudka jak zwykle, toaleta poranna w zimnej wodzie, no i czekanie. Czas upływał, z sąsiednich cel

dochodziło walenie w drzwi i okrzyki: „kapo – żreć”. Wreszcie przywieźli jedzenie. Jakież było rozczarowanie, gdy znowu był tylko chleb z margaryną i czarna kawa, w dodatku zupełnie zimna. Jeszcze była nadzieja na nieco lepszy, świąteczny obiad. Tak to sobie tłumaczyłam; skoro nie dostaliśmy na śniadanie jajka, może obiad będzie ciekawszy... Nie wyobrażałam sobie śniadania świątecznego bez jajka. Obiad też dostaliśmy z opóźnieniem i zimny – dowieźli z dworca kolejowego. Jakaś bryja z ryżu i do tego gulasz z płuczek. Nie mogłam na to nawet patrzeć, a co dopiero jeść, więc nie zjadłam nic. Tak zakończyło się moje marzenie o jajku. A wszystko było proste: w świąteczne dni stołówka milicyjna była nieczynna, a tam było przygotowywane jedzenie. Obiady były nawet zjadliwe i nikt specjalnie nie narzekał.

Dostałam dodatkową pracę i to wypełniało mi trochę czas, którego było zbyt wiele. Rozdawałam obiad i po obiedzie myłam sztućce, kubki do kawy każdy mył sam. Klawisz otwierał drzwi do celi, ja za drzwiami stałam tak, że nie mogłam nikogo zobaczyć w środku, a miski z jedzeniem podawał klawisz. Specjalnie głośno rozmawiałam, by mogli słyszeć mnie inni aresztanci. Straszili mnie klawisze, że jeśli będę nadal odzywać się, to jedzenie wydawać może ktoś inny. Wiedziałam, że w pierwszej celi siedzi Rysiu Ś. Domyślałam się tego, bo słyszałam jak głośno śpiewał i modlił się. Zawsze dostawał ode mnie duże porcje jedzenia i zawsze wszystko było zjedzone.

Mycie misek, łyżek i widelców odbywało się w łazience w korycie, w którym się wszyscy myli, plułi, golili, gdzie robiło się pranie. Do mycia naczyń używało się pasty „Jawox”. W tym czasie, kiedy myłam naczynia, klawisze wyjątkowo odkręcali ciepłą wodę. Kąpiel odbywała się tylko raz w tygodniu. Zorientowałam się, że klawisze przez wizjer podglądają mnie w czasie kąpieli. To spokojnie znosiłam. Któregoś jednak dnia stojąc pod prysznicem zobaczyłam, że drzwi się otworzyły i stanął w nich klawisz Adam z zainteresowaniem przyglądając się mojej kąpieli. Wystraszyłam się nie wiedząc, jakie ma zamiary, wyskoczyłam spod prysznica, szybko się ubrałam i odeszłam do celi.

Był maj. Zabrano mnie pewnego dnia na EKG, bo bolało mnie serce i miałam problemy z oddychaniem. Prowadził mnie klawisz Kaziu. Była piękna pogoda, kwitły już maki. W drodze powrotnej pozwolił mi kilka zerwać i mogłam zabrać je do celi. Innym razem zbierałam pościel do prania, a na korytarz wyrzucone były śmieci. Wśród nich dostrzegłam dużą cebulę z odrostami szczypiorku. Chciwie chwyciłam ją w ręce, szybko obrałam i zaczęłam łapczywie jeść. Była tak smaczna, że odnosiłam wrażenie, że tak dobrej nigdy nie jadłam.

Następne przesłuchanie u kapitana Wiktora. Wiosna w pełni, wszędzie piękna, świeża zieleń, świat jak zaczarowany. Patrzyłam przez okno z zachwytem. Chyba odgadł moje myśli i zapytał: „co pięknie? Chce Pani wyjść? Wyjdzie

Pani za pół godziny, tylko proszę odpowiedzieć na dwa pytania". Słuchałam nie przerywając. Pytanie dotyczyło tego, kto redagował i kto produkował „Solidarność Walczącą”. Odpowiedziałam: „o dwa pytania za dużo. Zresztą na pierwsze i na drugie – nie wiem”. Obruszył się i powiedział: „lepiej niech Pani nadal odmawia odpowiedzi”. „Tak, rzeczywiście odmawiam odpowiedzi”. „Cóż, to Pani nie wyjdzie!” Odpowiedziałam, że na nic więcej nie liczyłam, po czym odprowadzono mnie ponownie do celi.

W dalszym ciągu byłam przenoszona często z celi do celi. W tym czasie była już dobudowana nowa część aresztu, którą oczywiście też zaliczyłam. Znowu zabrano mnie na przesłuchanie. Tym razem fatygował się sam naczelnik, podpułkownik Nowaczewski w towarzystwie Dworaka. Włączony był magnetofon. Nowaczewski zaczął umoralniać mnie, jaka to jestem niewdzięczna – państwo mnie wychowało, dało mi wykształcenie i tyle dobrego od państwa doświadczyłam, a jestem taka niewdzięczna. Cała jego mowa trwała długo.

Po wysłuchaniu Nowaczewskiego stwierdziłam: „o kim Pan mówi? O mnie? A może o sobie? Tak się złożyło, że państwo mnie nie wychowało, a to co osiągnęłam, zawdzięczam tylko sobie”. Magnetofon w tym czasie był wyłączony. Nowaczewski zzieleniał ze złości. Zaczął mnie straszyć Fordonem (ciężkie więzienie dla kobiet), że znajdę się w Warcie z nożem w plecach lub zginę pod kołami samochodu, a zresztą to powinni od razu zrobić z nami porządek. Cały czas obaj ubliżali mi i naigrywali się ze mnie. Trwało to kilka godzin i byłam już zmęczona. Wstałam i podeszłam do otwartego okna. Czwarte piętro, a na dole pełno gruzu. Podeszedł do mnie Dworak, chwycił za ramię i przycisnął do parapetu: „a co by było, gdybyśmy Panią wyrzucili przez okno? Każdy by uwierzył, że Pani wyskoczyła sama”. Odskoczyłam od okna i ponownie usiadłam na fotelu mówiąc: „co by Wam z tego przyszło? Każdy, cały świat by był przekonany, że to właśnie wy mnie wyrzuciliście”.

Odezwał się znów Nowaczewski: „mamy czas, całą noc, poczekamy, aż Pani zacznie mówić”. Odpowiedziałam: „mam zagwarantowaną ciszę nocną od 22.00 i myślę, że tak będzie”. Dochodziła właśnie 22.00. Wezwano goryla, który odprowadził mnie do celi. W czasie mojej nieobecności w celi przeprowadzono kipsz, wszystko było porozrzucane, cała cela zdemolowana. Pozwolono mi wszystko poukładać i doprowadzić celę do porządku, wreszcie totalnie zmęczona przeżyciami dnia położyłam się spać.

Któregoś dnia po myciu naczyń przez zapomnienie zostawiłam w łazience swój sweter. Po jakimś czasie wpadł do celi klawisz Kaziu, rzucił we mnie moim swetrem i wykrzykiwał obelgi grożąc mi za pozostawianie znaków. Stałam jak wryta i nic nie rozumiałam. Dopiero po czasie, będąc już na wolności dowiedziałam się, że w tym czasie była zatrzymana Małgorzata M. Weszła do łazienki i poznała mój sweter. Zaczęła szukać po kieszeniach domy-

ślając się, że zostawiłam jakąś wiadomość. Zastał ją na tym klawisz i dlatego był taki wściekły.

Zbliżał się koniec czerwca. Do mojej celi od pewnego czasu docierały wieści o szykowanej amnestii. W czasie odwiedzin teściowej dowiedziałam się, że mój mąż został przewieziony do szpitala w Gnieźnie. Znów znalazłam się w innej celi. Byłam zła, ale na pocieszenie klawisz Kaziu powiedział mi, że z tej celi (nr 1) wychodzi się tylko na wolność. Nie uwierzyłam. Przedłużenie aresztu miałam do 10 lipca i byłam przekonana, że zostanie on ponownie przedłużony ze względu na mój upór i odmawianie zeznań. Jego słowa wydały mi się nielogiczne. Będąc w łazience znalazłam pewnego dnia lusterko i nożyczki. Zaczęłam obcinać sobie włosy. Szło mi to fatalnie i wyglądałam okropnie. Zobaczył to jeden z klawiszy. Zaczął się najpierw śmiać, a potem odebrał mi nożyczki i dokończył obcinanie włosów. Wreszcie byłam podobna do człowieka. Tak zbliżał się koniec aresztu, ale o tym jeszcze nie wiedziałam.

Była sobota, a w tym dniu miałam wypiskę. Miałam jeszcze trochę pieniędzy, za które mogłam kupować papierosy, prasę, owoce, czasem jakieś konserwy. W tym dniu mogłam zrobić spore zakupy. Normalnie mogłam kupić w tygodniu dwie kolorowe gazety i jeden dziennik. Tym razem zamówiłam jednak inaczej – pięć kolorowych gazet ciesząc się, że będę miała co czytać przez kilka dni. Dostałam wyjątkowo wszystko, co zamówiłam.

Po chwili do celi wszedł klawisz i mówi, że jeżeli wyjdzie (nie używano imienia ani nazwiska, zawsze odnoszono się bezosobowo), czy zostawi całą wypiskę? (chodziło im o prasę i chyba papierosy). Odpowiedziałam, że tak, zostawię wszystko, całą wypiskę. Byłam zdziwiona i zaskoczona, wzięłam jego słowa za kiepski żart. Po chwili wszedł ponownie i powiedział: „jest Pani wolna. Proszę się spakować”. Zrobiłam to bardzo szybko i z torbą weszłam do pomieszczenia klawiszy, gdzie odebrałam swoje rzeczy z depozytu i pozostałe pieniądze. Wreszcie byłam wolna.

Z torbą w ręku wyszłam poza teren komendy pamiętając, żeby czasem nie obejrzeć się za siebie. Wszystko wydawało mi się dziwne, jakieś inne, byłam jak zdziczały pies. Tak doszłam do przystanku autobusowego. Przyjechał autobus. Wsiadłam. Kierował nim nasz przyjaciel Zdzisiu. Powitanie z nim było bardzo serdeczne. Dojechałam do domu i weszłam do mieszkania. Teściowie siedzieli przy stole. Nie spodziewali się mojego powrotu. Chyba się ucieszyli, że przynajmniej ja jestem już w domu. Mój mąż też został zwolniony, ale ciągle przebywał w gnieźnieńskim szpitalu.

Pierwsza noc w domu była koszmarem. Wkoło widziałam tylko kraty. Potęgowała to jeszcze firana na oknie. Odsłoniłam ją, by mieć więcej przestrzeni i nie widzieć krat. Tak pierwsze trzy noce spędziłam bezsennością, byłam fizycznie i psychicznie wykończona. Z trudem zaczęłam dochodzić do normalności.

Pierwsze spotkania ze znajomymi i przyjaciółmi, mąż też wrócił wreszcie do domu, ale obydwójce byliśmy bez pracy. Teściowa kupowała nam codziennie pół bochenka chleba i mleko, dostawaliśmy też pomoc z kościoła św. Wojciecha i od Prałata Łassy. Jakoś trzeba było żyć dalej i radzić sobie.

W pierwszej kolejności zwróciłam się do mojego dyrektora z prośbą o ponowne zatrudnienie mnie na stanowisku zajmowanym przed aresztowaniem. Otrzymałam oczywiście odpowiedź negatywną, a w sprawie pracy powinienam zwrócić się do urzędu pracy. Tak też zrobiłam, ale przez trzy miesiące nie mogłam nic znaleźć. Nie pomagały także otrzymywane tam skierowania obligacyjne.

Chodziłam od zakładu do zakładu. Nawet jeżeli był wolny etat, kazano mi wrócić za trzy dni, po trzech dniach otrzymywałam odpowiedź negatywną, a wolny etat okazywał się już zajęty. Wreszcie po trzech miesiącach poszukiwań dostałam pracę w szpitalu wojewódzkim w charakterze magazyniera magazynu spożywczego. Moim bezpośrednim przełożonym był sekretarz POP PZPR w szpitalu. Mój mąż pozostawał bez pracy pół roku, a wobec niego w różnych zakładach zachowywano się podobnie. Dopiero po sześciu miesiącach otrzymał pracę w Spółdzielni Rybackiej w Gośławicach.

Miałam wreszcie pracę, a czas powoli płynął. Kontakt z Kłodawą, z Grażyną i Czesiem, trwał nadal. Co dwa tygodnie jeździłam po bibułę z innych regionów, kupowałam książki drugiego obiegu, znaczki i inne zakazane wydawnictwa. Sporadycznie byłam wzywana na przesłuchania pod byle jakim pretekstem.

Gdzieś w połowie 1986r. rano, po rozpoczęciu pracy wszedł do mnie Waldek P. i wręczył mi plik bibuły. Było tego około 60 gazetek, więc szybko się tego pozbyłam i zajęłam się pracą. Około godz. 8.00 wkroczyło pięciu sbeków z nakazem rewizji. Czy był to przypadek? A może dobrze wiedzieli, że coś znajda? Byłam zupełnie czysta, więc się nie bałam. Nikt z pracowników mnie nie wydał, a przecież gazetki dostało wielu. Rewizja trwała trzy godziny. Powód przeszukania magazynu był uzasadniony – zbliżały się wybory czy jakieś referendum, a ja mogłam posiadać zakazane wydawnictwa.

Mąż mój skory do częstych romansów poznał pewną panią. Zaczęły się noce pełne oczekiwań i niepokoju. Rozmowy z mężem i tą panią nie dały rezultatu. Wiedziałam, że tym razem przegrałam – była młodsza, ładniejsza. Nie mogłam znieść świadomości, że muszę z nią dzielić się mężem. Jemu takie życie odpowiadało, mnie nie. Wracał do domu, by się przebrać, trochę odpocząć i znikał znowu na kilka dni. Taka sytuacja trwała bez końca, a ja nie mogłam tego akceptować. Zaczęłam myśleć o zostawieniu męża i opuszczeniu domu. Na wynajęcie mieszkania nie było mnie stać, a w pobliżu męża zostać nie chciałam. Pozostała mi jedynie emigracja.

Pierwsza próba w ambasadzie kanadyjskiej się nie powiodła. Nie byli moją

osobą zainteresowani, werbowali ludzi z wyższym wykształceniem i całe rodziny. Otrzymałam odpowiedź negatywną. Następnym pomysłem był wyjazd do RFN. Zaczęłam się przygotowywać do realizacji mojego planu. Pracowałam w magazynie, więc przed odejściem z pracy musiała być przeprowadzona inwentura. Postanowiłam, że najlepiej będzie zrobić to na koniec roku i tak złożyłam wypowiedzenie. Inwentura przebiegła pomyślnie, bez manka czy superaty. Zaraz znalazłam inną pracę tylko po to, by przecze-kać do wyjazdu. Wszystkim zajęła się moja przyjaciółka Wanda. Ona mi dała zatrudnienie i starała się znaleźć jakąś wycieczkę do RFN. Godzinami siedzia-ła przy telefonie i wydzwaniała do firm turystycznych. Wreszcie się udało. Znalazła taką wycieczkę z Łodzi. Musiałam się jeszcze postarać o paszport.

Wiadomo, jakie w tamtym okresie były z tym problemy. Nie byłam pewna, czy go w ogóle otrzymam. Po trzech tygodniach zgłosiłam się po odbiór dokumentu. Czekałam na korytarzu ze strachem, gdy dostrzegłam Romana G. On też czekał na paszport. Był załamany, po raz trzeci mu odmówiono, a chciał się połączyć z żoną, która wcześniej wyjechała do USA. O dziwo, moje marzenie się spełniło i paszport dostałam. Nic już nie stało na przeszkodzie, bym wyjechała. Z pracy zwolniłam się w trybie natychmiastowym.

Krótko przed moim wyjazdem dałam Waldkowi P., który właśnie wyjeżdżał do Niemiec, moją kolekcję podziemnych znaczków pocztowych,

*Teresa Irena Wysocka-Wielk
Konin 2001- 2018*

ROMAN SAKOWSKI

Pyzdry

Urodziłem się w Bielawie na Dolnym Śląsku. Do ojca, do Pyzdr, przyjechałem w lipcu 1980 r. Tata planował, że zostanie na gospodarstwie, miał ponad 10 hektarów. Na razie zatrudniłem się w Wojewódzkiej Spółdzielni Pracy w Koninie, oddział w Pyzdrach. Mój dziadek, Władysław Sakowski, był aktywnym członkiem Narodowej Demokracji, jest o nim w książce „Dzień po dniu w okupowanym Poznaniu”. Po wejściu Niemców w 1939 r. ukrywał się w stogu siana. Po kilku dniach został złapany i osądzony. Proces miał w Gnieźnie, dostał karę śmierci za działalność antyniemiecką przed wojną. Został stracony na Młyńskiej w Poznaniu w 1940 roku. Siostrę Taty, Helenę, także aresztowano i zesłano do Oświęcimia, drugą siostrę zesłano na niewolniczą pracę do Niemiec. Tata służył w Armii Pomorze, dostał się do niewoli i osadzony został w obozie jenieckim. Dziadek od strony Mamy, wywieziony na roboty, zginął podczas nalotu na Hamburg. Mówię o tym wszystkim, by wiadomym było, z jakiej rodziny pochodzę. W Pyzdrach byłem inicjatorem powołania komitetu organizacyjnego NSZZ „Solidarność” w Spółdzielni, zostałem też przewodniczącym organizacji zakładowej. Zastępcą był Wacław Rogoziński, który później, po powołaniu organizacji międzyzakładowej, został jej przewodniczącym. Skupiliśmy się na działalności związkowej, głównie socjalnej. Spółdzielnia była zakładem o znacznej przewadze kobiet wśród zatrudnionych. Stąd i szczególne problemy. Pamiętam np. drobną z pozoru sprawę rozdziału gazy, ale przy powszechnym braku wszystkiego, jej „rozdrapywanie” przez wąskie grono osób stało się źródłem stałego konfliktu. Komisja Zakładowa doprowadziła do tego, że w pierwszym rzędzie otrzymywały ją kobiety w ciąży i młode matki. Na tle zasiłków porodowych doszło do konfliktu z Zarządem Regionu „S” w Koninie. Po prostu zabrakło pieniędzy w kasie związkowej, a na wnioski Konin nie odpowiadał. Wstrzymaliśmy wpłatę należnej części składek... i sytuacja błyskawicznie się uregulowała.

Projekt naszego sztandaru wykonał pan Jan Tłoczek nieodpłatnie, podobnie kopię obrazu Matki Bożej z oryginału znajdującego się w kaplicy kościoła poklasztornego w Pyzdrach, następnie umieszczonej na sztandarze.

Nad wszystkimi czynnościami czuwała i była ich inicjatorem Miejsko-Gminna Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” z jej przewodniczącym panem Wacławem Rogozińskim. Członkami Komisji byli przedstawiciele działających na terenie gminy Komisji Zakładowych NSZZ „Solidarność”:

Z Wielobranżowej Usługowej Spółdzielni Pracy

1. Roman Sakowski
2. Mirosław Balicki

Ze Spółdzielni Pracy „Dziewiarka”

3. Bogumiła Burchard
4. Andrzej Kurek

Z GS „Samopomoc Chłopska”

5. Józef Makowski
6. Mirosław Remienica
7. Zygmunt Witkowski

Z Rejonowej Przychodni Lekarskiej

8. Bożena Kamyszek
9. Leokadia Kasznia

Z Urzędu Poczty

10. Hanna Winter

Z Banku Spółdzielczego

11. Bożena Skorupka

Szczególny wkład pracy w wykonanie sztandaru (hafty) wniosły panie Apollonia Kamrowska i Maria Radziejewska. Sztandar poświęcił 29 listopada 1981 r. prefekt parafii pyzdrowskiej, ks. mgr Stanisław Drążczak.

12 grudnia 1981 r. byłem na przysiędze wojskowej u kuzyna w Ustce. Wracaliśmy przez Gdańsk do Poznania. 14 grudnia komisarz – prezes Spółdzielni Bartkowiak – zażądał kluczy od pomieszczenia, gdzie przechowywaliśmy sztandar. Próbowałem dzwonić o radę do Konina, telefony nie działały. Zobowiązałem się przynieść klucze nazajutrz.

Przed początkiem pracy spotkaliśmy się z Wacławem Rogozińskim, by ukryć sztandar. Wiedzieliśmy, że to nie może być w moim ani jego domu. Rogoziński, oprócz funkcji związkowej – Przewodniczącego Miejsko-Gminnej Komisji Koordynacyjnej „S” – był działaczem Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego. Padło na dom starszego pana Rogozińskiego. W Pyzdrach wszystkie odległości są niewielkie, więc zdążyłem się przebrać i o 7.00 zmierzałem do hali produkcyjnej. Otwierając drzwi straciłem przytomność. Znalaziono mnie zalanego krwią, z rozbitą głową i odwieziono do Ośrodka Zdrowia w Rynku, skąd szybko do szpitala w Słupcy.

Cały czas byłem nieprzytomny. Później od lekarza dowiedziałem się, że byli milicjanci, by wyciągnąć ode mnie, gdzie jest sztandar. W szpitalu byłem do

22 grudnia, na zwolnieniu do 6 stycznia 1982 r. Kiedy chciałem przepustkę na wyjazd do rodziny na Śląsk, urzędniczka na Komendzie MO sprawdziła coś w książce i odmówiła. Poszedłem na piętro do komendanta posterunku, który powiedział: „Do rodziny pojedzie sobie pan, gdy się skończy stan wojenny”.

Po zwolnieniu z pracy nie mogłem znaleźć zatrudnienia, mimo że mechaników wszędzie potrzebowano. Nie przyjąłem 6 miesięcznej odprawy, według mnie to by sankcjonowało bezprawne zwolnienie. Zapisalem się więc na wyjazd do pracy w Czechach.

Wyjechaliśmy w maju. Kierownik grupy, młody człowiek z ZSMP, przed granicą zrobił zebranie i radził wyrzucić wszystkie znaczki Solidarności itp. Część ludzi go posłuchała, ja swój ukryłem. Kontrakt był na 5 lat, do końca zostały trzy osoby, reszta się wykruszyła. Wiele razy na granicy miałem rewizję osobistą, po polskiej i po czeskiej stronie. Wielokrotnie ostrzegano nas, że jesteśmy obserwowani, żebyśmy nie próbowali nawiązywać kontaktów z czeską opozycją.

W 1986 r. wraz z kolegą uciekliśmy z wycieczki promem do Niemiec, gdzie do dziś pracuję.

Losy pyzdrskiego sztandaru NSZZ „Solidarność”



*Uroczystość poświęcenia sztandaru NSZZ „Solidarność” w Pyzdrach, 29 listopada 1981 roku.
Sztandar niesie Zygmunt Witkowski, po jego lewej stronie – pani Łęgowska, po prawej
pani Maria Radziejewska.*



Jako drugi idzie poczet sztandarowy z Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” w Koninie, Od lewej patrząc na zdjęcie: Wiesław Olejnik, od prawej: Roman Wawrzyniak, sztandar niesie Miron Rogacki.

16 grudnia 1981 r. p. Stanisławowi Rogozińskiemu wystawiono pokwitowanie, podpisane przez sierżanta MO Tadeusza Zdunka, że po przeszukaniu (rewizji) zabrano sztandar NSZZ „Solidarność” – Pyzdry.

23 marca 1989 r. Przewodniczący Tymczasowej Gminnej Rady NSZZ „Solidarność” w Pyzdrach, Przemysław Kowalski, zwraca się obszernym pismem do Naczelnika MiG Pyzdry o zwrot sztandaru. Pismo zawiera okoliczności i nazwiska osób, które w grudniu 1981 r. zabrały z mieszkania Stanisława Rogozińskiego sztandar, a również jego opis: „na srebrnym tle czerwonymi nićmi napisy „HONOR WOLNOŚĆ OJCZYZNA NSZZ SOLIDARNOŚĆ – PYZDRY, w centrum godło Polski; na drugiej stronie: na żółtym tle napis brązowy „MATKO MIŁOSIERDZIA BĄDŹ ZAWSZE Z NAMI”, w centrum kopia obrazu Matki Boskiej Pocieszenia znajdującego się w kaplicy kościoła poklasztornego w Pyzdrach.

29 czerwca 1989 r. Naczelnik MiG Marian Bartłomiejczak odpowiada, że sztandar nie znajduje się na terenie Gminy Pyzdry i kieruje do Komisji ds. Zarządzania Majątkiem Związków Zawodowych, ul Kopernika 34/4, Warszawa.

18 października 1989 r. Archiwum Zakładu Historii i Teorii Ruchu Zawodowego w Warszawie oświadcza, że „sztandar NSZZ „S” Pyzdry nie był przekazany do Archiwum Ruchu Zawodowego w Warszawie.

24 listopada 1989 r. Naczelnik MiG Pyzdry występuje o ustalenie miejsca przechowywania sztandaru do Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych

w Słupcy. Przytacza dotychczasowe ustalenia, w tym słowa byłego I Sekretarza PZPR w Pyzdrach, Ryszarda Marszewskiego, który oświadczył, że „pamięta, iż sztandar był początkowo przechowywany w tutejszym Urzędzie, ale w dniach 20-23 grudnia 1981 r. został zabrany z Urzędu przez dwóch funkcjonariuszy MO w Pyzdrach i odwieziony do Komendy Wojewódzkiej MO w Koninie.

W odpowiedzi UMiG otrzymuje pismo, że „odebrany przez funkcjonariuszy MO od ob. Rogozińskiego sztandar „S” został przekazany do Urzędu Miasta i Gminy w Pyzdrach i nie był z UMiG zabierany przez funkcjonariuszy ani inne podległe jednostki. Ustalono, że przez pewien czas sztandar ten był przechowywany w pomieszczeniu I Sekretarza Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR w Pyzdrach.

Pismem z 14 marca 1990 r. Komitet Obywatelski w Pyzdrach zwraca się o podjęcie czynności śledczych do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Koninie.

31 lipca 1990 r. prokurator Marek Kasprzak z Prokuratury Rejonowej w Słupcy wydaje Postanowienie o umorzeniu śledztwa. W Uzasadnieniu czytamy, że „przesłuchano w charakterze świadków ówczesnego I sekretarza PZPR w Pyzdrach Ryszarda Marszewskiego, byłego Naczelnika MiG w Pyzdrach Feliksa Dominiczaka, byłych funkcjonariuszy posterunku MO w Pyzdrach /.../, byłych członków ORMO, a nadto inne osoby /.../. Przeprowadzona została również konfrontacja pomiędzy Ryszardem Marszewskim a Feliksem Dominiczakiem w celu wyjaśnienia sprzeczności dotyczących przekazywania sztandaru „Solidarności”.

Podjęte czynności nie przyniosły jednak pozytywnych rezultatów /.../

Mając powyższe na względzie śledztwo /.../ postanowiono umorzyć wobec niewykrycia sprawców przestępstwa.

Zaznaczyć należy, że pomimo umorzenia śledztwa w dalszym ciągu prowadzone będą czynności zmierzające do wykrycia i ujęcia sprawcy powyższego czynu”.

Moja historia walki z komunizmem

Zostałem wychowany w rodzinie o wartościach patriotycznych, dlatego sprawy Ojczyzny zawsze były i pozostają mi bliskie.

Do Solidarności zakładowej w Pyzdrach wstąpiłem w momencie tworzenia się tego ruchu w Wielobranżowej Spółdzielni Pracy, gdzie aktualnie pracowałem. Był to rok 1980. Na pierwszym zebraniu zostałem wybrany zastępcą przewodniczącego Solidarności zakładowej. Wkrótce został powołany międzyzakładowy komitet Solidarności, który obejmował następujące miejscowe zakłady pracy: Wielobranżową Spółdzielnię Pracy, Gminną Spółdzielnię „Samopomoc Chłopska”, Bank Spółdzielczy, Spółdzielnię „Dziewiarka”, placówkę pocztową oraz tutejszy ośrodek zdrowia.

Podczas pierwszego zebrania międzyzakładowego w wyniku ogólnych, jawnych wyborów jednogłośnie powołano mnie na stanowisko przewodniczącego. Podjęto wówczas już pod moim kierownictwem pierwszą uchwałę dotyczącą ufundowania sztandaru.

Poświęcenie sztandaru odbyło się 29.11.1981 r. w Pyzdrach w kościele parafialnym. Na tę uroczystość jako przewodniczący zaprosiłem delegację pocztu sztandarowego z Konina.

Funkcję swoją sprawowałem formalnie do ogłoszenia stanu wojennego. Wówczas w grudniu 1981 roku do mojego domu oraz do domu moich rodziców wtargnęła Milicja Obywatelska i po dokonaniu brutalnej rewizji skonfiskowano nasz sztandar. Kronikę i dokument zabrania sztandaru przekazałem do miejscowego muzeum w Pyzdrach, a inna dokumentacja znajduje się obecnie w posiadaniu Zarządu Regionu Solidarności w Koninie [po zagarnięciu majątku Związku i archiwum odzyskano strzępy dokumentacji – red.].

Pomimo trwającej tragicznej sytuacji w kraju po 13-tym grudnia 1981 r. nie zaniechałem działalności związkowej. Wielokrotnie na moją posesję łącznie ze sklepem, który prowadziła moja żona, przychodzili funkcjonariusze ORMÓ w celu przyglądania się moim poczynaniom. Nawiedzali nasze obejście nawet późnym wieczorem i w nocy. Moim zdaniem byłem kontrolowany pod kątem prowadzenia działalności antykomunistycznej.

Niebawem zostałem zwolniony z Wielobranżowej Spółdzielni Pracy i pozostałem bez środków do życia. Moja 8-osobowa rodzina (sześcioro dzieci) była utrzymywana z pracy żony w sklepie GS-owskim.

Po dłuższym czasie udało mi się uzyskać kolejną pracę na poczcie w Pyzdrach. Mój brat Kazimierz jako kapłan i duszpasterz rolników wprowadził mnie do Solidarności Rolniczej w Koninie. Pracując na poczcie miałem sposobność rozprowadzania materiałów informacyjnych (tzw. „bibuły”).

Ulotki i inne materiały otrzymywałem od Ireneusza Niewiarowskiego z Konina. Kiedy nastąpiła możliwość ustrojowa, zwróciłem się do prokuratury w Słupcy o zwrot sztandaru. Otrzymałem odpowiedź, że sztandar zaginął w Urzędzie Gminy w Pyzdrach.

Jednak według moich obserwacji sztandar został spalony w Pyzdrach na terenie miejscowego posterunku MO. W moim rozumieniu potwierdził to funkcjonariusz ORMÓ w stwierdzeniu „żebyś wiedział” będącym odpowiedzią na moje przypuszczenie o spaleniu sztandaru.

Ideale Solidarności oraz troska o sprawy Polski pozostały we mnie i nadal jestem wiernym orędownikiem właściwego rozwoju Ojczyzny.

Wacław Rogoziński

Powyższe relacje opracowano na podstawie rozmów z panami Wacławem Rogozińskim i Romanem Sakowskim oraz tekstów zamieszczonych w Piśmie Komitetu Obywatelskiego „Echo Pyzdr” z sierpnia 1990 r.

Sygn. akt III Ko 1093/08

POSTANOWIENIE

Dnia 8 grudnia 2008 r.

Sąd Okręgowy w Poznaniu III Wydział Karny
w składzie:

Przewodniczący: SSO Magdalena Grzybek
Protokolant: sędzia przewodnicząca

przy udziale Prokuratora Prokuratury Okręgowej w Poznaniu Krzysztofa Burdzińskiego
po rozpoznaniu w dniu 8 grudnia 2008 r. na posiedzeniu
w sprawie z wniosku Romana Sakowskiego
o odszkodowanie i zadośćuczynienie
za represjonowanie za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego
z urzędu w przedmiocie właściwości
na podstawie art. 35 § 1 k.p.k. w zw. z art. 8 ust. 2 c ustawy z dnia 23 lutego 1991 r. o uzna-
niu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz
niepodległego bytu Państwa Polskiego (Dz. U. z 1991 r. Nr 34, poz. 149 ze zm.)

postanawia

stwierdzić swą niewłaściwość miejscową i sprawę przekazać Sądowi Okręgowemu w
Kolonii jako sądowi rzeczowo i miejscowo właściwemu.

Uzasadnienie

Pismem z 17 listopada 2008 r. wnioskodawca Roman Sakowski wystąpił o odszko-
dowanie i zadośćuczynienie za represjonowanie za działalność na rzecz niepodległego bytu
Państwa Polskiego wskazując, iż w okresie przed wprowadzeniem w Polsce stanu wojenne-
go pełnił funkcję przewodniczącego NSZZ „Solidarność” w Pyzdrach i z powodu swojej dzia-
łalności związkowej został pobity przez nieznanego sprawcę, następnie zwolniony z pracy,
zaś w dniu 14 grudnia 1981 r. miał zostać internowany, do czego jednak nie doszło ze wzglę-
du na stan zdrowia i pobyt w szpitalu.

W dniu 27 listopada 2008 r. wniosek Romana Sakowskiego, wniesiony pierwotnie do
Konsulatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Kolonii, został przekazany do tut. Sądu.

Sąd Okręgowy zważył, co następuje:

Zgodnie z art. 35 § 1 k.p.k. sąd bada z urzędu swą właściwość, a w razie stwierdze-
nia swej niewłaściwości przekazuje sprawę właściwemu sądowi lub innemu organowi. Z tre-
ści wniosku wynika, iż Roman Sakowski podstawy faktycznej swojego roszczenia upatruje –

Sygn. akt III Ko 1093/08

obok pobicia przez nieznanego sprawcę i zwolnienia z pracy – w podjętej w dniu 14 grudnia 1981 r. przez funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej próbie zatrzymania go i doprowadzenia do ośrodka odosobnienia.

Zgodnie z art. 8 ust. 2 c ustawy z dnia 23 lutego 1991 r. o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego (Dz. U. z 1991 r. Nr 34, poz. 149 ze zm.), żądanie odszkodowania i zadośćuczynienia za szkodę i krzywdę wynikłe z wykonania decyzji o internowaniu w związku z wprowadzeniem w dniu 13 grudnia 1981 r. w Polsce stanu wojennego należy zgłosić w sądzie okręgowym, w którego okręgu zamieszkuje osoba składająca żądanie. Wnioskodawca obecnie zamieszkuje w Republice Federalnej Niemiec, stąd przy ustalaniu właściwości miejscowej sądu, decydujące znaczenie ma jego ostatnie miejsce zamieszkania na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej. Z treści wniosku wynika tymczasem, że Roman Sakowski przed emigracją był zatrudniony, wykonywał funkcje związkowe i zamieszkiwał w Pyzdrach, tj. w okręgu Sądu Okręgowego w Koninie.

Mając na uwadze, że rzeczowo i miejscowo właściwym do rozpoznania niniejszej sprawy jest Sąd Okręgowy w Koninie, na podstawie art. 35 § 1 k.p.k. w zw. z art. 8 ust. 2 c ustawy z dnia 23 lutego 1991 r. o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego należało orzec, jak w części dyspozytywnej postanowienia.

SSO/magdalena GRYBKA



Za zgodność:

Klerownik Sekretariatu S.O.

POUCZENIE:

Na niniejsze postanowienie przysługuje zażalenie do Sądu Apelacyjnego w Poznaniu za pośrednictwem Sądu Okręgowego w Poznaniu w terminie 7 dni od daty doręczenia.

Sygn. akt II Ko 1/09

POSTANOWIENIE

Dnia 5 lutego 2009 r.

Sąd Okręgowy w Koninie II Wydział Karny w składzie:

Przewodniczący : SSO Waldemar Cytrowski

Protokolant : st. sekr. sąd. Irena Bąk

przy udziale Jacka Górskiego Prokuratora Prokuratury Okręgowej

po rozpoznaniu

sprawy *Romana Sakowskiego*

o odszkodowanie

z urzędu

w przedmiocie właściwości

na podstawie art. 35 § 1 kpk i art. 8 ust. 2 i 2c ustawy z dnia 23 lutego 1991 roku o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego (Dz.U. 91, nr 34, poz. 149)

postanawia

Uznać się za niewłaściwy rzeczowo i sprawę z wniosku Romana Sakowskiego o odszkodowanie za poniesione szkody oraz zadośćuczynienie za doznane krzywdy przekazać Sądowi Rejonowemu w Koninie, Wydziałowi Cywilnemu.

Uzasadnienie

Wnioskiem z dnia 17 listopada 2008 roku Roman Sakowski zwrócił się do Sądu o przyznanie odszkodowania za poniesione szkody oraz zadośćuczynienie za doznane krzywdy w wysokości 25.000 zł podnosząc, iż był represjonowany za działalność na rzecz niepodległego Państwa Polskiego.

Zgodnie z treścią art. 8 ust. 1 ustawy z dnia 23 lutego 1991 roku o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego (Dz.U. 91, nr 34, poz. 149) odszkodowanie za poniesioną szkodę i zadośćuczynienie za doznane krzywdę przysługuje tylko tym osobom, wobec których stwierdzono nieważność orzeczenia albo wydano decyzję o internowaniu w związku z wprowadzeniem w dniu 13 grudnia 1981 roku w Polsce stanu wojennego i tylko w

takich sprawach sądem właściwym do rozpoznania żądania jest Sąd Okręgowy, który wydał postanowienie o stwierdzeniu nieważności orzeczenia (art. 8 ust. 2 ww. ustawy) bądź ten Sąd Okręgowy, w którego okręgu zamieszkuje osoba, wobec której wydano decyzję o internowaniu (art. 8 ust. 2c ww. ustawy).

Z wniosku Romana Sakowskiego jednoznacznie natomiast wynika, że ze względu na przechowywanie ulotek opozycyjnych w dniu 14 grudnia 1981 roku grupa milicjantów przybyła do miejsca jego zamieszkania, przy czym ze względu na zły stan zdrowia i pobyt w szpitalu internowany nie został. Żądanie wypłacenia odszkodowania opiera zaś na tej podstawie, że został zwolniony z pracy bez jakichkolwiek ku temu podstaw i był szykanowany, albowiem w kilkunastu zakładach pracy odmówiono mu zatrudnienia i w konsekwencji jako osoba posiadająca status osoby bezrobotnej zmuszony został do emigracji najpierw do Czechosłowacji, następnie Republiki Federalnej Niemiec, gdzie przebywał w obozie dla uchodźców politycznych.

Dlatego wobec braku podstaw do rozpoznania sprawy w oparciu o treść cytowanej na wstępie ustawy, a także w oparciu o treść art. 552 i nast. kodeksu postępowania karnego, Sąd Okręgowy uznał się za niewłaściwy rzeczowo i sprawę przekazał Sądowi Rejonowemu w Koninie, Wydziałowi Cywilnemu jako właściwemu do rozpoznania ww. żądania.

SSO Waldemar Cytrowski



Za zgodą
Kochu, dnia 5.02.09
Kierownik Sekretariatu
Wydziału Karnego
Sądu Okręgowego w Koninie

Sygn. akt I C 155/09

POSTANOWIENIE

Dnia 27 marca 2009 r.

Sąd Rejonowy w Koninie I Wydział Cywilny

w następującym składzie:

Przewodniczący SSR Kinga Śliwińska-Buśkiewicz

po rozpoznaniu w dniu 27 marca 2009 r. w Koninie

na posiedzeniu niejawnym

sprawy z powództwa Romana Sakowskiego

o zapłatę

postanawia

na podstawie art. 200 § 1 kpc w zw. z art. 8 ust. 2c ustawy z dnia 23 lutego 1991r. o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego (Dz.U. Nr 34, poz. 149 ze zm.) uznać się niewłaściwym rzeczowo i sprawę przekazać do rozpoznania Sądowi Okręgowemu w Koninie.

SSR Kinga Śliwińska-Buśkiewicz



SĄD REJONOWY
I WYDZIAŁ CYWILNY
62-500 Konin, ul. Wolności 2
tel. 063 242 95 35, fax 063 242 80 89
(16)

Sygn. akt I C 295/09

Konin dn. 03.08.2009 r.

Pan Roman Sakowski

WEZWANIE DO USUNIĘCIA BRAKÓW FORMALNYCH

Sąd Rejonowy w Koninie, I Wydział Cywilny w sprawie

z powództwa / wniosku

w/w

przeciwko / z udziałem

o odszkodowanie i zadośćuczynienie

wzywa do:

usunięcia braków formalnych wniesionego w pozwu poprzez:

- wskazanie pozwanego i jego adresu
- uiszczenie opłaty sądowej w kwocie 1250 zł
- dołączenie odpisy pozwu dla pozwanego lub pozwanych w terminie miesiąca

pod rygorem zwrotu pozwu (jednocześnie Sąd doręcza pouczenie o treści art. 1135 kpc)

Sekretarz Sądu

Sekretarz Sądowy

Anna Graniczna

Pouczenie

Termin tygodniowy liczy się od daty doręczenia pisma sądu wzywającego do usunięcia braków pisma.

Jeżeli koniec terminu przypada na dzień ustawowo za wolny od pracy termin upływa dnia następnego.

Oddanie pisma procesowego w polskim urzędzie pocztowym jest równoznaczne z wniesieniem go do sądu.

Ten sam skutek wywołuje złożenie pisma przez żołnierza w dowództwie jednostki wojskowej albo przez osobę pozbawioną wolności w administracji zakładu karnego oraz przez członka załogi polskiego statku morskiego u kapitana statku.

Po bezskutecznym upływie terminu przewodniczący zwróci pismo stronie. Pismo zwrócenie wywołuje żadnych skutków, jakie ustawa wiąże z wniesieniem pisma procesowego do sądu.

Strony i ich przedstawiciele mają obowiązek zawiadomić Sąd o każdej zmianie swego zamieszkania.

W razie zaniedbania tego obowiązku pismo sądowe pozostawia się w aktach sprawy ze skutkiem doręczenia, chyba że nowy adres jest znany.

Stanu wojennego pierwsze, ciemne dni

W sobotę, 12 grudnia 1981, urządziliśmy imprezę w Poznaniu, w mieszkaniu Marka Grądzkiego. Pokój był jeden, za to, jak w wielu kamienicach na Matejki, 64 m. kw. Kiedy kilka osób zapaliło, nie widać było co się dzieje w drugim końcu. Większość obecnych związana była z dziennikarstwem, choć część (piękniejsza) dopiero rozpoczynała zawodową karierę. Około 8 rano obudziło nas pragnienie. Jak zwykle zaczęliśmy od sprzątania pobjowiska, mycia popielniczek, szklanek, oraz włączenia radia i telewizora.

Przemówienia generała wysłuchaliśmy ze zgrozą, ale bez wielkiego zaskoczenia. Żyliśmy polityką, na bieżąco docierały do nas informacje z różnych źródeł, więc spodziewaliśmy się od kilku tygodni najgorszego, zwłaszcza po szturmie na Szkołę Oficerską Straży Pożarnej. Tym niemniej rozmiar podjętych działań był wstrząsem. A więc wojna z narodem...

Próby kontaktu z przyjaciółmi, przeszukiwanie zagranicznych stacji radiowych..., dopiero ok. 14.00 znaleźliśmy się na Zwierzynieckiej, pod siedzibą ZR NSZZ „Solidarność”. Błyskawicznie zorientowaliśmy się, że nic tam po nas, co miało się wydarzyć, już zaszło kilka godzin wcześniej, zdeorientowane grupy ludzi, kręcących się od ZOO do Kaponiery, patrole milicji, spowodowały, że postanowiliśmy znaleźć miejsce, gdzie możemy być naprawdę potrzebni. Postanowiłem jechać do Konina.

W przedziale demonstracyjnie rozłożyłem płachtę ostatniego numeru tygodnika „Solidarność”, co pewnie było dziecinadą, ale związane z tym obserwacje zachowań jednak ciekawe i pouczające. W tłumie wysiadających na peronie w Koninie ledwie zrobiłem kilka kroków, gdy ktoś złapał mnie za ramię. Mrok, światła latarń i refleksy na śniegu spowodowały, że po kilku sekundach dopiero rozpoznałem Zbyszka Zaborskiego, dziennikarza i członka PAX, jak długo później wyszło na jaw – tajnego współpracownika SB.

- „Od południa prawie czekam, już cię szukali, byli w domu i redakcji... Tu masz pieniądze i adres, gdzie możesz się schować...”

- Dzięki Zbyszku, pieniądze na razie mam, swoje adresy też.

Zanim zdążył odpowiedzieć, już zniknąłem w ciemnościach zmierzając ku taksówkom, wtedy stojącym na Kolejowej.

Na następne dwa, trzy dni znalazłem miłe i intelektualnie pobudzające schronienie u przyjaciół, Jasia i Elżbiety Pogodskich. Jako że w Poznaniu byłem z niewielką torbą, ok. 15 grudnia, w poobiednim szczycie, przemknąłem między blokami do swego mieszkania, sprawdzić co i jak oraz zabrać świeżą bieliznę. Oczywiście nie zapalałem światła i na każdy warkot silnika podbiegałem do okna. Bez trudu też wypatrzyłem podjeżdżający pod środkową klatkę schodową gazik, dobrze pamiętam, nie policyjną sukę, lecz wojskowy (zomowski ?) gazik.

Wysiadło trzech w polowych mundurach moro i bez wahania weszli do środkowej klatki, gdzie na liście lokatorów widniało moje nazwisko. W tej chwili jeszcze niczego nie mogłem być pewnym, zamknąłem jednak mieszkanie i stanąłem między 11 a 10 piętrem skrajnej klatki schodowej. Konstrukcja bloku była taka, że windy dojeżdżały do 10 piętra, do jedenastego dochodziło się pieszo, a tam długi korytarz łączył cały blok, czyli trzy wejścia.

Słyszałem doskonale windę, wysiadających i trzask zbyt gwałtownie zamykających się metalowych drzwi. Gdy buciory potupały w górę, zszedłem jeszcze kilka stopni. Mężczyźni doszli do mych drzwi, trzy, cztery minuty walił, kilka razy także kopnęli i tą samą drogą wrócili do windy. Ostrożnie wyglądając przez okienko policzyłem wychodzących z budynku, wszyscy. Nim gazik wyjechał na XX- lecia PRL byłem już w mieszkaniu, podlałem rośliny i po 20 minutach pukałem do Pogodskich.

Kolejne dwa dni spędziłem u znajomej na Tuwima, a potem wróciłem do siebie na XX-lecia. Nie wiem, dlaczego tak szeroko zakrojone poszukiwania, w Drezdenku u rodziców, pod trzema adresami w Poznaniu, nagle przerwano, do rozpoczęcia akcji usuwania mnie z mieszkania miałem spokój.

Warto wspomnieć o tzw. „weryfikacji dziennikarzy” w 1982 r. Dostaliśmy wezwanie, wszyscy oprócz internowanego Dobreckiego, do KW PZPR na Przyjaźni. Z pełnego korytarzyka co kilkanaście minut ubywała ktoś proszony po nazwisku, aż ok. 13.00 zostałem sam. Wytrzymałem z 10 minut i wszedłem do salki, dosyć dużej. Na wprost drzwi stał przykryty zielonym suknem długi stół, za nim z 10-12 osób, większość w mundurach milicyjnych i wojskowych, kilku po cywilnemu. Z tych natychmiast rozpoznałem naszego naczelnego, red Ryszarda Sławińskiego.

- Czy długo mam jeszcze czekać?
- Pańskie nazwisko?
- Stefaniak.
- A, z panem to w ogóle nie będziemy rozmawiać.

Druki, wydawnictwa

Był słoneczny, ciepły dzień, kiedy przy tokarce, na której wykańczałem partię tralek, stanął zaprzyjaźniony tokarz z pobliskiej „Wiepofamy”, kilka chwil patrzył i powiedział: „Kto was, kurwa, studenty, tego nauczył...”. Studentami nikt z nas już nie był, Marek i ja wylecieliśmy po 13 grudnia z dziennikarstwa, Jacek skończył prawo administracyjne...

Mijał rok 1983. Latem 1982 zbudowaliśmy warsztat stolarski i rozpoczęliśmy działalność firmy zarozumiale nazwanej „Wszystko dla domu”. Wiemy, co było w sklepach, głównie ocet, trochę innych bubli i w pewne dni tygodnia rzeczy na kartki. Na pewno nie było lakierów do drewna i papieru ściernego. Do większych płaszczyzn używaliśmy więc lakieru własnej produkcji z rozpuszczonego styropianu. Z jakim skutkiem? No cóż, nikt nie mógł zarzucić, że powierzchnia jest surowa, nie wykończona. Tematu papieru ściernego nie będę kontynuował, z tokarzem oprócz interesów połączyła nas z czasem sympatia. Zaprosił nas nawet do swego mieszkania, co w Poznaniu miało swoją wagę.

Nie artyzm niewątpliwego mego toczenia wyrwał mu te słowa, lecz nasz własny, niezwykle sposób wykańczania toczonego drewna pospolitymi świeczkami.

Może jednak był to zupełnie inny dzień, też słoneczny, 1984 roku, kiedy obcinając na wielkiej pile tarczowej końcówki gotowych kolumnienek, czy to na sekundę odwróciłem wzrok, czy na twardziźnie sęka zęby tarczy podrzuciły zbyt niedbale trzymany wałek – dość, że dwa palce lewej dłoni zwisły mi rozcięte dokładnie przez stawy i widać było kulki, jak w przełamanym udku kurzym.

Jacek błyskawicznie oderwał brzeg flanelowej koszuli i 30 min. później siedzieliśmy już w długim korytarzu w piwnicach szpitala św. Józefa na pierwszej pomocy, a przed nami siedziało i leżało ok. dwudziestu głównie mężczyzn, w tym jeden, któremu z czaszki wychodził szary balonik wielkości piłeczki do tenisa stołowego.

Tak sobie siedzieliśmy, a mnie jeszcze nie dopadał wstrząs pourazowy, nawet zbyt nie bolało, więc zacząłem przekonywać Jacka: – cóż my tu z palcami, kiedy naokoło takie nieszczęścia.

W końcu korytarza pojawił się mężczyzna w poplamionym krwią białym fartuchu. Szedł szybko, energicznie, minął nas, nagle zatrzymał się, cofnął i zapytał: Pan Stefaniak? – Tak. – Proszę za mną.

Weszliśmy do gabinetu. – Nie poznaje mnie pan? Chodziłem do jednej klasy z pana bratem Zbyszkiem, w Liceum, w Drezdenku... Błyskawicznie poskładał coś tam, zszył, obandażował, podłożył wygięte paski aluminium, znów

obandażował i kazał w ciągu tygodnia zgłosić się do ortopedy w miejscu zamieszkania, czyli Koninie. Co tam robił dokładnie z moimi palcami wołałem nie patrzeć.

O moich noclegach nigdy w warsztacie nie rozmawialiśmy. Kiedy nocowałem w Poznaniu, zjawiałem się, jak Jacek i Marek o 8 rano, raz, dwa w tygodniu, uprzedzałem, że będę jechał z Konina, więc jeśli się nie spóźnię na osobowy 5.25 to będę przed nimi, jeśli nie zdążę – godzinę później. Miałem w Poznaniu kilka miejsc, gdzie mogłem liczyć na nocleg, stół i tzw. druhnę łączniczkę, o tym się w warsztacie nie rozmawiało, nawet jeśli z jakiejś okazji, już po wyłączeniu głównego wyłącznika prądu (zaprzyśięgliśmy i nigdy nie naruszyliśmy zakazu wypicia nawet piwa, póki pod prądem jest choćby grzałka do herbaty) biesiadowaliśmy, korzystając oczywiście z kubków (metalowych, bo można było je ustawiać na rozgrzanym tzw. trociniaku).

A więc Jacek odprowadził mnie do Starego Rynku i tam mu podziękowałem. Choć nadal dłoń nie bardzo bolała, czułem się jak zranione zwierze, które musi zaszyć się i w bezpiecznej kryjówce lizać rany.

Główną moją kwaterą wówczas było mieszkanie na Grobli, pozostawione przez Z. N., na czas jej „spraw w Warszawie”.

Następne dwie doby przeleżałem pod kołdrą, na zmianę dygocząc z zimna i spływając potem, cicho zawodząc z bólu (trochę to pomagało) i zapadając w krótkie, męczące drzemki. Trzeciego dnia zwlokłem się i w kuchni przygotowałem herbatę i pierwszy kęs chleba. Następnego dnia uzupełniałem płyny parząc liczne herbaty i produkty Herbapolu oraz zjadłem wszystkie znalezione suche ciastka i dwie konserwy. Pod wieczór zasiadłem do stojącej pod oknem maszyny i zacząłem wybijać jednym palcem teksty dla Rysia Stachowiaka oraz kolejny numer konińskiej „Solidarności Walczącej”.

Nie była to żadna wielka konspiracja, bywałem na manifestacjach w Poznaniu i Szczecinie, gdzie zawsze miałem dobrą bazę u Wiktora i Ewy, 3 Maja, 11 Listopada, 13 grudnia, posiadałem kontakty w niezależnym harcerstwie (Kręgi Instruktorów Harcerstwa im. Andrzeja Małkowskiego), w środowiskach ekologów, dziennikarzy, wyższych uczelni Poznania, więc raz w miesiącu przygotowywałem Przewodniczącemu drobny zestaw ciekawostek, do dowolnego wykorzystania w podziemnych gazetkach.

Woziłem to do Konina w kalendarzu lub aktualnie czytanej książce, pocięte na szerokie paski, by w razie rewizji uprawdopodobnić legendę, że to ulotki, które zebrałem w pociągu.

Z pociągami, z PKP, kojarzy mi się kilka zdarzeń, tutaj jednak chciałbym wspomnieć o tym, jak zaczęła się moja podziemna działalność wydawnicza i przygodzie na stacji Kolei Gdańskiej. Bodajże we wrześniu 1983 r. wyjecha-

łem do Gdańska, u Piotra Legeżyńskiego, pracownika Uniwersytetu Gdańskiego, miałem odbyć szkolenie z podstawowych technik podziemnego drukarstwa.

Po dwóch dobach intensywnych prac podjechałem bladym świtem pod dworzec GKD i jako trzeci stanąłem w kolejce do kasy biletowej. W tym momencie przed oszklonym wejściem z piskiem zatrzymał się radiowóz MO i dwóch funkcjonariuszy rażno wkroczyło do poczekalni. Przesuwając się w kolejce pchnąłem stojącą u stóp torbę, wypchaną dorobkiem dwóch nocy (z bólem i poniekąd wstydem muszę powiedzieć, że większość to były ulotki z Lechem Wałęsą) i przemknęła mi przez głowę myśl, jak ją mogłem kilka chwil wcześniej nieść na ramieniu, skoro teraz waży chyba z 50 kilo, oraz zaraz druga, czy jest w jej kieszeniach coś identyfikującego mnie, bo jeśli nie, to się do niej nie przyznaję.

Wracając do Konina i mojej pociętej dłoni. Po kilku dniach udałem się do dr. Brzezińskiego, ortopedy, znanego człowieka Solidarności. Do dziś czuję rozczarowanie, był oschły, zasadniczy, pobieżnie obejrzał palce, kazał założyć nowy opatrunek i odszedł. Jeżeli straciłem skromny dar czarowania pań gitarą i prostymi melodyjkami do wierszy Leśmiana – jego to вина. Bez skierowania na rehabilitację, bez nawet wskazówek, co robić z gojącymi się palcami – pozostały sztywne, a-mol, czy e-dur od biedy jeszcze mogłem chwycić, ale nie wiele więcej.

Na początku października wciąż jeszcze nosiłem obandażowaną dłoń. Tam, gdzie obecnie redakcja „Przeglądu Konińskiego”, przy rondzie, był bar mleczny. Wychodziłem po całkiem niezłych pierogach ruskich, gdy dopadło mnie dwóch SB-ków, bodajże Dworak i Traciłowski. Tym razem przebrani byli za angielskich detektywów z XIX wieku, a może raczej za warszawskich żuli, w każdym razie ubrani byli w marynarki w stosowną kratkę, czapeczki itd.

- Panie Stefaniak, co się stało panu w rękę!!?

- Wkręciłem sobie w powielacz.

- No to natychmiast z nami, na „górkę”.

- Tylko spróbujcie, taki wrzask podniosę, że się pół miasta zbiegnie. Proszę przysłać formalne wezwanie, nr sprawy, godzina, pokój itd. I spokojnie oddaliłem się, zostawiając dwóch Szerloków na tarasie.

Co do „SW”. Pod koniec lutego 1984 po dwóch rozmowach z Ryszardem Stachowiakiem, podjąłem się redagowania „Solidarności Walczącej - Konin”. Najważniejsze ustalenia/warunki były następujące:

- Moja działalność ma charakter interwencyjny, wynikający z aresztowania osób redagujących pierwsze trzy numery SW-K (E. i W. Załescy, T. i W. Wy-

soccy), nie zamierzam więc organizować „redakcji”, drukarni, sieci kolportażu itp. Nie określiliśmy czasu trwania misji, miała trwać tak długo, póki nie zorganizuje się nowy zespół;

- Będę pracował na własnej maszynie do pisania, własnych kalkach – tzw. woskówkach. Matryce odbierać miała jedna osoba w określony dzień, raz w miesiącu, w określonej klatce schodowej, po wymianie uprzejmości: „- Ładna pogoda na spacer... Tak, ale może pokropić...” Przy okazji przekazałem Rysiowi z moich zapasów puchę farby drukarskiej i kilkadziesiąt woskówek na cele podziemnych wydawnictw. (z lat 1976-1979, kiedy prezesowałem poznańskiemu Klubowi Dziennikarzy Studenckich, pozostały mi kontakty w redakcjach i drukarniach Poznania. Trudno zapewne wyobrazić sobie młodszym, że szczytem dostępnej techniki był wówczas powielacz na kalkę hektograficzną, obecny nie w każdej instytucji, nigdy do użytku prywatnego.)

- O mojej działalności wie jedynie Ryszard Stachowiak, który na ten temat nie sporządzi żadnej notatki, zapisu, ani nie będzie rozmawiał o niej.

Prace redakcyjne prowadziłem nadal w Poznaniu, korzystając z maszyny na Grobli. Wzbogaciłem natomiast środki ostrożności, tak w podróżach, jak i w konińskim mieszkaniu. Część archiwaliów, przekazanych przez Przewodniczącego Stachowiaka na przechowywanie, już od początku była poza moim mieszkaniem, teraz wyprowadziłem nawet książki z tzw. II obiegu i „Kultury Paryskiej”. Uznałem wszakże, że zupełny brak nadających się do konfiskaty przedmiotów byłby bardzo podejrzany, więc w szufladach leżało kilka znaczków „S”, w grzbietach książek kilka prostokąćków z odciskiem pieczętki potwierdzającej składki na „Solidarność”, z których jednak nie wynikało czym są, a w dwóch skrytkach trochę pojedynczych egzemplarzy gazetek. Pozostawiłem sobie pod ręką także książki wydane na Zachodzie, ale z listy moich polonistycznych, obowiązkowych lektur, jak „1984”, czy Gombrowicz.

W mojej betonowej klitce na XI piętrze – 21 m. kw. - nie było łatwo skonstruować skrytki, ale przecież dokazał tego, że sbecy, po dwugodzinnej rewizji, nie znaleźli niczego. Zabrali to, co dla nich zostawiłem na widoku, żał mi było tylko nie wywołanego filmu z prywatnymi zdjęciami, którego już nie odzyskałem. Ukradziono też kilkadziesiąt znaczków (biało-czerwone krzyżyki, orzełki itp., które sprzedawałem pod kościołami z upoważnienia Komitetu Prymasowskiego „Pomocy bliźniemu”).

O konstrukcji skrytek nic nie powiem, w każdym pomieszczeniu i tak trzeba indywidualnie projektować, a pewne rozwiązania, na naszym terenie, między Niemcami a Rosją, mogą się jeszcze, nie daj Boże, przydać.

System działał więc dobrze, raz czy dwa nadałem wprawdzie sygnał o trybie alarmowym, awaryjnym, ale raczej dla sprawdzenia, niż z konkretnych

powodów, o ile nie liczyć przeczuć czy rosnącego napięcia, wymagającego przełamania rutyny. Takim awaryjnym rozwiązaniem na wypadek przewidywanego zgarnięcia po wyjściu z pociągu, na dworcu w Koninie, było wyrzucenie pakietu przez okno w ubikacji pociągu, po odjeździe ze stacji Kawnice, który podejmował umówiony wcześniej kolega (Bogusław Janiszewski, nauczyciel w SP w Kawnicach).

Jakieś wieści musiały jednak do nich dochodzić, wszak prokurator Andrzej Jędrzejczak wydając 29 maja 1984 zarządzenie o przeszukaniu mego mieszkania pisał właśnie o uzasadnionych podejrzeniach działalności wydawniczej, a do tego Marek, nominalny właściciel naszej stolarni w Poznaniu, nie długo później został wezwany przez SB na Kochanowskiego, gdzie oznajmiono mu, iż bardzo źle oceniane są moje wędrówki między Koninem a Poznaniem, więc żądają bezzwłocznego rozstania ze mną, a jeśli nie, to zamkną zakład zgodnie z prawem i przepisami o BHP, bo choćby do wymaganej wysokości pomieszczenia stolarni brakuje 10 cm.

Naradę zrobiliśmy w zakładzie, naparzyliśmy herbaty, a Marek raz jeszcze zreferował rozmowę z SB-kiem. Albo więc traciłem pracę sam, albo wraz z przyjaciółmi, wybór żaden.

Wkrótce więc mogłem spokojnie zająć się nowym zleceniem od Ryśka Stachowiaka – przygotowywaniem audycji radiowej „Solidarności”, trochę zaniedbanymi trzema „bibliotekami” wydawnictw podziemnych, prowadzonymi od dawna w Koninie, malowaniem na murach...

Moja działka w przygotowanie audycji polegała na stworzeniu oryginalnej zajawki – motywu muzycznego, tytułu, informacji słownej – czyli tego, co miało być rozpoznawalne już po dwóch, trzech sekundach, jeszcze prościej mówiąc: stałych ram słowno muzycznych podziemnej audycji radiowej „Solidarności”. Pracowałem nad tym 3-4 noce (brak zakłóceń w tle), powstały dwie wersje; w jednej wykorzystałem piosenkę „Musimy siać” z kasety bodajże Stefana Bratkowskiego, w drugiej tę samą, ale w wykonaniu Grażyny Jarzyńskiej z zespołem, która zwykła otwierać moje wykłady o białych plamach w historii Polski, w piwnicznej salce parafii morzysławskiej. Kasety z nagraniami przekazałem Ryszardowi Stachowiakowi. O ile wiem, do żadnej emisji radiowej w Koninie nie doszło.

Po latach przeczytałem w IPN w Poznaniu doniesienie jednego z TW, że jak się dowiedział od Ryszarda Stachowiaka, audycja Radia „Solidarność” będzie nadawana z mieszkania Stefaniaka lub Jarzyńskiego. Taka też była nasza konspiracja.

Z tematów wykładów na parafii w Morzysławiu pamiętam najlepiej
- „Konflikt polsko – czeski o Śląsk Cieszyński 1918-1939”

- „Zapomniani sojusznicy i przyjaciele Polski w 1939 roku”

- „Pierwsze ludobójstwo niemieckie – zagłada Słowian połabskich. Polskie i słowiańskie ślady na zachód od Odry”

Najliczniejszych słuchaczy miałem 11 listopada 1984 na wykładzie „Tzw. rewolucja październikowa a odzyskanie niepodległości przez Polskę w 1918 r.”, bowiem comiesięczna msza św. w intencji Ojczyzny zbiegła się z wieczornicą, której patronował ks. proboszcz Waszczyński.

W 1985 r. zaczął ukazywać się w Morzysławiu Dwutygodnik Parafialny „Szczęść Boże” w postaci październikowej płyty długości trzech metrów, którą najczęściej z Krzysztofem Dobreckim, pomysłodawcą, oklejaliśmy na parafii zdjęciami i tekstami, a następnie nieśliśmy kawał drogi pod lipę, gdzie stała odpowiedniej wielkości gabłota. Z końcem lata płyta robiła się coraz cięższa, chyba też pęczniała, bowiem coraz trudniej było wsuwać ją do gabłoty. Z prac „redakcji” najlepiej pamiętam czas wybuchu reaktora w Czarnobylu – zareagowaliśmy błyskawicznie. To u nas pojawiła się pierwsza informacja o tajnym rozdzielaniu płynu Lugola wśród uprzywilejowanych (wiedzieliśmy o milicji, SB i funkcjonariuszach PZPR), później, na bieżąco, jedynie na wielkich płaszczyznach „Szczęść Boże”, można było przeczytać prawdziwe dane o stopniu skażenia na naszym terenie trawy, wody w kąpieliskach, piasku w piaskownicach, mleka itd. Wiarygodne dane otrzymywałem dzięki Jasiowi Pogodskiemu z konińskiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej.

Jeszcze jedna anegdota. Kończyliśmy montaż kolejnego wydania, kiedy do salki wszedł ks. Waszczyński, proboszcz parafii. Ja mocowałem właśnie swoje dwie informacje – o aktualnej kolędzie, która w mojej okolicy przypominała bardziej wizytę poborcy podatkowego, oraz o stratach Armii Radzieckiej w Afganistanie, w minionym miesiącu. Ksiądz przeczytał obie.

- Panie Stefaniak, pan chyba musi bardzo nie lubić Rosjan? O kolędzie ani słowa.

Zawsze się uśmiecham, przypominając sobie tę scenę, ks. Stanisław miał klasę...

Rozpowszechnianie

Wydawnictwa krążyły różnie, kolportaż to nie zawsze była praca profesjonalna, ściśle zaprojektowana i wykonywana. Bywało – trzeba było skorzystać z pomocy przygodnych osób, oczywiście ryzykując, improwizując.

Pode mną, na 10 piętrze, mieszkał z rodziną wicewojewoda koniński, Roman Szwaracki, chyba zapalony myśliwy, często bowiem widywałem go w stosownym stroju, z psem łaciętym, jamnikiem, beagle czy podobnej rasy. Tenże wysoki urzędnik był człowiekiem dużej cierpliwości i chyba niezwykle

łagodnym, bowiem mniej więcej raz na kwartał zjawiał się u mnie na górze, delikatnie pukał i oznajmiał zbolalym głosem:

- Panie Stefaniak chyba mnie Pan zalewa...

Najczęściej z ręcznikiem na biodrach przepraszałem, że zasnąłem w wannie, zdarzało się też, że gorąco zaprzeczałem, niestety winna była albo moja pralka, albo spłuczka. Rzeczonego dnia po otwarciu drzwi ujrzałem kompletnego myśliwego, pies siedział przy nodze, a pan wojewoda trzymał w dwóch palcach sporą paczuszkę z rozerwanym narożnikiem:

- Podejrzewam że to zostawiono u mnie przez pomyłkę... Podziękowałem uprzejmie, a że strzeżonego Pan Bóg strzeże, sto sztuk gazetek dwadzieścia minut później było już bezpiecznie ukrytych poza moim mieszkaniem.

Spośród wielu ważnych, na stanowiskach ludzi, życzliwych i pomocnych, wspomnieć chciałbym o Zbyszku Kleczewskim, byłem naczelniku gminy, poecie i prawniku, który wielokrotnie służył mi pomocą prawną, szczególnie w trakcie moich bojąów o mieszkanie, z którego SB z udziałem redaktora Ryszarda Sławińskiego, naczelnego „Przeglądu Konińskiego”, próbowało mnie wyrzucić, lub podczas szykan związanych z funkcjonowaniem Klubu Ekologicznego. Pamiętać też należy jego godne zachowanie jako Przewodniczącego Kolegium Karno-Orzekającego.

Furę emocji przeżyłem, gdy w 1985 roku, lub trochę później, jechałem do rodzinnego Drezdenka z dużą torbą, jak to do rodziców i skórzaną raportówką wypchaną „bibułą”, kalendarzem i portfelem z dokumentami. Przysnąłem, ocknąłem się, gdy pociąg ruszał ze stacji. Wyrzuciłem torbę na peron i wyskoczyłem przy kiwającym głową z dezaprobatą zawiadowcy. Siedziałem już przy kolacji, gdy oblał mnie war; a gdzie jest raportówka? Nie tłumacząc wiele rodzicom porwałem się i pobiegłem na dworzec. Zawiadowca był z tzw. pierwszych rodzin w Drezdenku, wszyscy się znaliśmy, może dlatego natychmiast zaczęliśmy obdzwaniać stację, gdzie powinien być pociąg. Dopiero w Gorzowie, od zawiadowcy w dyżurce na peronie usłyszeliśmy, że ma wjechać za kilka minut. Określiłem mu wagon i miejsce, gdzie leży torba i gorąco poprosiłem o przetrzymanie jej, a ja najbliższym pociągiem po nią przyjadę.

W Gorzowie byłem przed piątą rano. W dyżurce siedziało dwóch mężczyzn i kobieta w kolejarskich mundurach.

- No tak, więc to pana torba? A co w niej jest?

- Takie tam papiery, kalendarz, portfel...

- Z pieniędzmi?

- Niewiele...

- Jak są pieniądze, to musimy zgłosić milicji ...

- Musiałem mieć naprawdę przerażoną minę, gdyż już nie mogli pohamować wesołości. Zamiast kolacji zjadłem wczesne śniadanie, a rodzice oczywiście całą noc nie spali.

Malowanie na murach, jaki to ogromny, bogaty materiał, ile historii śmiesznych, tragicznych, a jego znaczenie trudne do przecenienia. Szczególnie udane napisy i pomysły wchodziły do zasobów polskiej publicystyki i poezji politycznej. Drobną część z nich pokazaliśmy w Muzeum Okręgowym w Koninie na wystawie „Humor i poezja stanu wojennego”. Zdarzało mi się malować w Poznaniu, sporadycznie w Szczecinie i Dreźnie, częściej w Koninie. Najśmieszniej i wprost beznadziejnie było w 1983 r., gdy z kolegą Dobreckim, żegnani w progu przez jego Anię prawie jak powstańcy styczniowi ruszający do lasu, postanowiliśmy namalować znak sprzeciwu w naprawdę widocznym miejscu. Poprzedni napis w przejeździe pod torami, na drodze do Kopalni w Kleczewie, już nam nie wystarczał.

Padło na obelisk w Brzeźnie, witający jadących od Warszawy, z koniem herbowym na szczycie. Podjechaliśmy, po ciemku już, pod monument, a spodziewając się, że stojąca przy nim żółta syrenka wzbudzi zainteresowanie każdego patrolu MO, zjechaliśmy w dolinę Warty z drogowego nasypu, jakąś polną drogą.

Malunek wypadł znakomicie. Wielki, czerwony znak Solidarności Walczącej lśnił świeżą farbą, widoczny w światłach samochodów z daleka. Pozostało jak najszybciej się zwinąć. Ba, z trudem, buksując w mokrej glinie, podjechaliśmy z 10 metrów i dalej nic... Czołgaliśmy się po zboczach chyba z 20 min. Do prania nadawało się wszystko, z butami i tapicerką samochodową włącznie.

Najważniejsza jest młodzież

Nigdy nie miałem co do tego wątpliwości. Gdyby Szkoła Rycerska i Collegium Nobilium powstały 200 lat wcześniej, nie doszło by zapewne do rozbiorów.

1.07.1984 r. pożegnałem się z zakładem stolarskim w Poznaniu. Oczywiście groźby SB, że jeśli nie odejdę, to doprowadzą do zamknięcia zakładu, miały swoją wagę pierwszorzędą, ale pocięte palce i pewne, narastające poczucie kończącego się jakiegoś okresu przejściowego, też nie były bez znaczenia. W Koninie, w Inspektoracie Oświaty, zostałem przyjęty z otwartymi ramionami i skierowany do szkoły podstawowej nr 5 jako polonista, do klas 5 i 6. Bardzo poważnie traktowałem swoje nowe zajęcie, pod koniec sierpnia miałem już komplet pomocy naukowych i dydaktycznych, wszystkie programy, podstawy programowe, lektury itp., oraz byłem po pierwszych spotkaniach kadry nauczycielskiej.

1 września, odświętnie ubrany, dziarsko wbiegałem po stopniach na ganek, gdy zupełnie niespodziewanie, w drzwiach szkolnych, dwóch mężczyzn schwyciło mnie pod ramiona, mówiąc: „no, panie Stefaniak, to teraz pojedziemy na górkę”. Na Komendzie byliśmy po 7-8 minutach i bez zwłoki wprowadzono mnie do jakiegoś pokoju. Nie pamiętam ani funkcjonariusza, ani tego, czy był w mundurze, czy po cywilnemu, doskonale natomiast zapamiętałem słowa, które też mnie zaskoczyły:

„Proszę Pana, bardzo nam przykro, naprawdę szczerze przepraszamy. To nasza wina, żeśmy dopuścili do zawarcia umowy o pracę. Powinniśmy być bardziej czujni... Chyba sam Pan rozumie, że nie może uczyć w szkole, nie daje pan żadnych gwarancji socjalistycznego wychowania młodzieży.”

Od następnego dnia równolegle zacząłem szukać pracy i kompletować pozew do Sądu Pracy. Niestety, by rozmawiać o zatrudnieniu, musiałem mieć rozwiązany poprzedni stosunek pracy, przystałem więc na fałszerstwo urzędnicze. W Inspektoracie Oświaty przystawiono w dowodzie osobistym pieczętkę „Anuluje się omyłkowo wstawioną pieczętkę o zatrudnieniu”. W sądzie błyskawicznie przyznano mi wynagrodzenie za czas od 1 do 21 września, kiedy pozostawałem bez pracy, a zatrudnienie, na następne kilka lat, znalazłem w Konińskiej Spółdzielni Mieszkaniowej jako kierownik tworzonego Osiedlowego Klubu Mieszkańców, ówczesna ul. 22 lipca 19.

Pierwsze miesiące to było urządzenie się, wyjazdy aż gdzieś pod Rzeszów po meble, zakupy, z których najsensowniejszym był stół do ping-ponga. Tym razem funkcjonariusze trzymali rękę na pulsie, bo jak się dowiedziałem, odwiedzili prezesa Spółdzielni, Tadeusza Jankowskiego. Wkrótce zostałem poproszony i wysłuchałem najbardziej zadziwiającej inwokacji do mnie, jako osoby politycznie wiadomej, balansującej na krawędzi i stanowiącej zagrożenie dla wszystkich wokół, w tym dla dobrze mi życzących a nawet, być może, rozumiejących mnie: „Panie Stefaniak, proszę, niech Pan nic w Klubie nie robi. Absolutnie nic... Rozumie Pan? Czysta podłoga, firanki w oknach i cisza, najlepiej żeby Pan nic nie robił, jakby Pana nie było...”.

Moja bezpośrednia przełożona, kierownik Działu Oświatowego SM (Tak! To były czasy, gdy nie tylko szkoły miały wychowywać, ale wojsko, spółdzielnie, ośrodki wczasowe itd. miały wychowawcze zadania), pani Janina Mirek oraz sam prezes Jankowski, o których złego słowa powiedzieć nie mogę, jak na czasy i okoliczności zachowywali się godnie, dziś pewnie głosują na Platformę Obywatelską, ale może ich krzywdzę i nie doceniam.

Kiedy 15 lipca 1986 wyjechaliśmy na trzeci już klubowy obóz letni do Kosewa, w programie oprócz wypoczynku były, jak zwykle, obowiązkowe zajęcia, m.in. nauka tańców narodowych. Kiedy prywatny, przenośny sprzęt grający okazał się na powietrzu do niczego, nagle przyglądający się nam z bezpiecz-

nej odległości wczasowicze ruszyli; na skraju polany stanęły dwa wypasione samochody i wkrótce z ich głośników popłynęły polonezy, krakowiaki i mazury... I kiedy wszystko tak pięknie się toczyło, pojawiła się koleżanka Grażyna, kierowniczka świetlicy „Słoneczna”. Gdy już schowaliśmy się w namiocie, powiedziała szeptem: „Przysyła mnie p. Mirek, żeby cię ostrzec. Wiedzą, że wywiozłeś młodzież, by prowadzić szkolenia z partyzantki miejskiej. Gdzieś obok was mają rozbity namiot SB-cy”.

Trafili jak kulą w płot, ten wyjazd akurat był w całości poświęcony nauce tańców narodowych i drobnym elementom sztuki przetrwania.

Pracę z młodzieżą oparłem na zasadzie przyswajania wartości, kształtowania zasad, zdobywaniu wiedzy i umiejętności.

Klub, już po kilku miesiącach nieodwołalnie nazwany przez młodzież Klubem „U Lecha”, nie pasował do obrazu postulowanego przez prezesa Tadeusza Jankowskiego:

- od grudnia 1984 w Klubie działa Klub Seniora, a w nim chór i teatrzyk.
- 14.01.1985 powstaje pierwszy i jedyny w konińskim Klub Miłośników Fantastyki „Galaktus”. Przy Klubie funkcjonuje biblioteka niezależnych (wydawanych poza cenzurą) wydawnictw SF, krążą przywożone z Zachodu i w nieskończoność przegrywane ówczesne przeboje filmowe SF. Składamy się i nasi przedstawiciele uczestniczą w krajowych spotkaniach fandomu i konwentach (tu procentowały moje znajomości z innej epoki, m.in. z Wiatrowskim, Parowskim...). Organizujemy przeglądy filmów, aukcje wydawnictw i kolejne Konińskie Dni Fantastyki. Klub ma swoje sekcje w Kole i Turku.
- 7.05. 1985 przy Klubie zawiązuje się sekcja Konińskiego Towarzystwa Muzycznego – Koniński Klub Jazzowy „Synkopa”.
- od września 1985 w klubie funkcjonuje Zarząd Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza (w tym przypadku nie próbowaliśmy nawet zalegalizować działalności) organizując spotkania z autorami spoza oficjalnego obiegu oraz literaturoznawcami z UAM w Poznaniu (m.in. Ewa Kraskowska, Ryszard Przybylski).
- od października 1985 istnieje w Klubie Teatrzyk Dziecięcy „Złoty kolczyk”. Zajęcia (czytanie legend, malowanie, recytacje, uczenie się na pamięć wierszy itd.) prowadzi kierownik klubu, korzystając z pomocy przyjaciół (taniec Wiesława Wolna, muzyka, śpiew – Dariusz Wawrzyniak „Wawel”).
- od kwietnia 1986 Klub staje się roboczą centralą nielegalnego Konińskiego Klubu Ekologicznego. (patrz KKE). Klub otwarty był do 22.00, więc kiedyś siedzieliśmy w pięć osób z zarządu i radziliśmy, pamiętam Bogusia Janiszewskiego i Jasia Pogodskiego. Ok. 23.15 wpadło trzech SB-ków i nawet

nie legitymując wygarnęło nas na zewnątrz. Ledwie pozwolili mi pozamykać pomieszczenia i pogasić światła. Przed Klubem stał fiat 126. „Ładować się, szybko, k...mać.” Bardzo to było śmieszne...

Po 10 min. podjechał wezwany Fiat 125. Na komendzie sbekom zaświeciły się oczy, gdy z mojej torby wyciągnęli plik dokumentów po niemiecku. Niestety, sromotnie się rozczarowali, były to dokumenty z czasów II wojny światowej i pobytu ojca w obozie, na podstawie których pisałem do Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie o jakieś psie grosze dla niego.

Artyści w Klubie, spotkania z młodzieżą, koncerty, m.in.

21.01.1985 – Towarzystwo Muzyczne im. H. Wieniawskiego, 7 artystów; 13.02.1985 – red. Jerzy Busza; 27.04.1985 – Edward Żentara w monodramie „Powsinogi beskidzkie”; maj 1985 – wieczór z poetą i piosenkarzem Markiem Zgaińskim; 10.1985 w klubie powiew światowej sztuki – z młodzieżą rozmawia, bez czasowych ograniczeń, Krzysztof Klępka; 21.11.1985 – recital Grzegorza Tomczaka; ; 11. 1985 spotkanie z rzeźbiarzem Lechem Czubem; 21.11.1986 – koncert Małgorzaty Bratek; spotkanie z plastykiem Januszem Marciniakiem; 19.06.1987 – wieczór poetycki Arkadiusza Woźniaka; 21.11.1987 – spotkanie z artystą malarzem Piotrem Kowalskim.

Biwaki, obozy, wyprawy

21-23.06.1985 obóz nad jeziorem Wilczyńskim w Mrówkach; 13.07.1985 – wyprawa do Gołuchowa; 06.1985 – biwak w Pątnowie; 17.07.-22.07.1985 – obóz w Kosewie; 1986 - III letni obóz w Kosewie; 20-22.03.1987 – biwak w Ślesinie; 3-5. 07 1987 –Złot (Stachuriada) w Grochowicach; 9.07.1987 – Klubowa Wyprawa w Tatry; 1988 – biwak w Giewartowie.

Wspaniała to była młodzież... co pewien czas urządzaliśmy potańcówki, z których dochód przeznaczany był na zakup sprzętu, udoskonalenia w Klubie itp. Po pierwszej, przy rozliczaniu się z biletów i kasy okazało się, że pieniędzy jest o kilkadziesiąt zł. za dużo. Młodzież wyjaśniła to prosto: niektórzy nie chcieli reszty jak dowiedzieli się, że to na Klub.

W lutym 1987 zebrałem Młodzieżową Radę Klubu i nakreśliłem plan przygotowania szczególnie uroczystego 3 Maja. Najważniejszy był mazur, którego mieliśmy zatańczyć raz, tylko raz! Tego właśnie dnia. Nazwałem go mazurem akademickim, nie miało być bowiem żadnego udawania, przebijania..., a więc młodzieżowo żywiołowy, czarno biały i układowo dosyć skomplikowany. Uczyło nas dwóch kolegów po stażu w zespole tanecznym „Konin”, jednym z nich był obecny radny Sejmiku Wojewódzkiego – Robert Popkowski. Do dzisiaj z zadumą i podziwem wspominam ... dla tego jednego występu harowaliśmy przez dwa miesiące po dwie godziny w tygodniu.

Listy do rodziców

Konin, ok. 18. X. 1980

Drogi Tato, kochana Mamusiu!

Po pierwsze, przede wszystkim, składam szczere życzenia imieninowe. Niech Tata trzyma się ciepło, nie sprawia kłopotów Mamie i w ogóle wszystkiego dobrego.

Kupiłem ostatnio taki zbiór reportaży, w którym znalazłem niezwykle historię o weterynarzu z Międzyrzecza, doktorze, który od dziesiątków lat leczy ludzi. Nie tyle nawet leczy, co obdarowując ich za darmo roztworem różnych związków chemicznych nieprawdopodobnie wzmacnia mechanizmy obronne organizmu. Przywiozę – przeczytacie. Niezwykłe. Trzeba będzie się tym zainteresować.

U mnie wszystko w porządku. Grypa mnie omija. Nowości natomiast dużo. Marek zrezygnował z „Gazety Zachodniej” i przechodzi do Radia poznańskiego. Myślę, że za rok, dwa, może i ja się tam znajdę. Tak że zostałem na mieszkaniu sam. Dużo ostatnio piszę.

Wraz z Wojtkiem Plutowskim i Krzysztofem Dobreckim założyliśmy 2 tygodnie temu Międzyredakcyjne Koło Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Wraz z Plutowskim jesteśmy delegatami do konińskiego Komitetu Założycielskiego (Międzyzakładowego). Coś się dzieje. Jest szansa, choć nie mam żadnych złudzeń, że zrobiono do tej pory 10 % tego, co zrobić należy, i że „Solidarność” czeka jeszcze ciężkie chwile. Zbyt wielu w niej ludzi, którym wstąpić tam kazano!

Atmosfera jest w każdym razie podniosła i budująca. Teraz już nas tak łatwo komitet [KW PZPR] nie wyrzuci, jest nas zbyt dużo!

Wczoraj mieliśmy spotkanie z nowym I – Ciupą. [Lech Ciupa, I sekr. KW PZPR w Koninie] Stara się robić rzeczowe, dobre wrażenie, ale dyskusja nadal zakłamaną. Ciupa reprezentuje tych najlepszych, o czystych ponoć rękach, i stwierdzam stanowczo, że jeśli tacy są właśnie najlepsi – czarno widzę. Cała nadzieja w „Solidarności”. W najbliższych dniach ruszą nowoczesne drukarnie „Solidarności”. To bardzo ważne, gdyż w społeczeństwie brak informacji.

W swoim starym Klubie Dziennikarzy Studenckich przeprowadziłem rewolucję. Czy udało mi się go oderwać całkiem od SZSP, czy częściowo – pokaże Walne Zebranie 1.XII.

Całuję. Lech.

[illegible]

19. XII 1981

Kochani Mamo i Tato,

Radosnych, spokojnych Świąt Bożego Narodzenia życzę Wam i dobrego 1982 roku.

Widziałem się z kuzynką, mówiła, że był u Was Mariusz (Ogrodowczyk, kolego z liceum), szukał kontaktu ze mną, czym Was śmiertelnie wystraszył. Spokojnie, jak pamiętacie, zawsze był trochę gapowaty, mój adres miał, widać go zapodział. Bez wahania możecie podawać ten co zawsze, Konin, XX- lecia PRL 13/55 b

Ściskam, pozdrowienia dla całej rodziny i znajomych – Lech.

[reakcja na wiadomość, że milicja, szukając mnie, przejrzała mieszkanie rodziców w Drezdenku. Mariusz Ogrodowczyk – postać fikcyjna, co było oczywiste dla rodziców, chodziło o inicjały MO. Wiele lat później, już z dokumentów w IPN, dowiedziałem się, że poszukiwano mnie także w Poznaniu, pod adresami z okresu studiów.]

29. XII. 1981

*Ukochani moi!**Niestety jeszcze tym razem nie było mi dane zostać męczennikiem. Chodzę nadal po Bożym świecie, choć nic nie podpisałem.**Myślę, że w przyszłym tygodniu przyjadę na dzień, dwa.**Ściskam i całuję, szczegóły opowiem, gdy się zobaczymy.**L.*

Konin, 22.I. 1982

*Kochani, najmilsi.**Wszystko u mnie w porządku. Zajechałem bez najmniejszych kłopotów. Teraz siedzę w Koninie, czekam, by nasz szef raczył zwołać pożegnalne zebranie. Na 8 czynnych dziennikarzy zwolniono 4; Krzysia Dobreckiego, Andrzeja Mosia (żona i 2 małych dzieci na utrzymaniu), Anetę Bronowicką i mnie. Los Eli Olszewskiej jeszcze nierozstrzygnięty. Martwić się z nas nikt nie zamierza, więc i Wy nie kłopotcie się za mnie.**Być dzisiaj wyrzuconym z pracy to powód do dumy.**Nie wiem, czy wspomniałem Wam o naszym projekcie uruchomienia warsztatu. Projekt przybiera coraz realniejsze kształty. Mamy już w Poznaniu pomieszczenie, zapewniony surowiec i zbyt, przychodzi pora na załatwienie pewnych formalności. Dokładniej przedstawię Wam sprawę osobiście, teraz tylko fakty najważniejsze: chodzi o produkcję zabawek z drewna. Nominalnym kierownikiem firmy byłby znajomy z uprawnieniami plastycznymi. Trzeci osobą jest Marek Grądzki.**Oczywiście na razie utrzymanie jeszcze mamy i mamy też zamiar wyegzekwować od Wydawnictwa wszystko, co możliwe, a może być tego bardzo dużo. Ojciec Andrzeja jest adwokatem, podobnie jak jego wujek w Poznaniu, który nawet z Hejmowskim bronił w procesach 56 roku. Wykiwać się więc nie damy.**Myślę, że w najbliższym czasie nie przyjadę, bo na przyszły tydzień muszę siedzieć w Koninie, każdego dnia może być zwołane zebranie (redakcji). Najpewniej przyjadę dopiero po pierwszym, kiedy już wyjaśni się kilka spraw z wypowiedzeniem.**Całuję Was i ściskam. Bądźcie dobrej myśli. Ja w każdym razie mam samopoczucie doskonałe, czego i Wam życzę. Załatwcie sobie witaminy i koniecznie łykajcie! Bardzo o to proszę.*

Lech

13 grudnia 1981 miałem 20 lat. Chodziłem do Technikum Rolniczego w Strzałkowie. W 1981 przerwałem naukę i rozpocząłem pracę w szklarniach w Wieruszewie. Należałem tam do „Solidarności”, tak trochę automatycznie, choć był to przecież jakiś wybór...

Tego 13 więc, jak zwykle w niedzielę, poszliśmy całą paką, z dziesięciu chłopaków z osiedla, do kościoła. Po drodze rozmawialiśmy o sytuacji, bez konkretnych jeszcze, ale ogólne stanowisko wszystkich było zgodne, mamy do czynienia z wyjątkowym ku...stwem i coś trzeba robić. Nasza grupa składała się z młodzieży od 18 do 22 lat, pracującej i uczącej się. Mój brat Piotrek, Darek Podryban, Piotr Pawłowski oraz ja utworzyliśmy Niezależną Organizację Antysocjalistyczną.

Zaczęliśmy od ulotek i malowania napisów. W akcjach ulotkowych wyspecjalizował się mój brat Piotrek. Wraz z Darkiem Podrybanem m.in. rozrzucali ulotki ze szczytu bloku z przekaźnikiem. Kiedyś brat wracając z praktyki w Kole garść ulotek rzucił w tłum pod sklepem mięsnym na Dworcowej. Wraz z bratem rozrzucaliśmy ulotki przy kościele i na przystankach w Morzysławiu. Raz „nakrył” nas na tym ks. Henryk Włoszczewski, nawet złapał mnie za rękę, popatrzył i puścił bez słowa.

W pierwszych miesiącach 1982 r. powstała organizacja, Ruch Młodzieży „Korona”. Dla mnie jej szefem był Ryszard Śliwiński, ale nie znałem wszystkich osób. Naszym celem była walka z komuną, esbecko – wojskową dyktaturą, o wolną Polskę. Trochę później, w ramach organizacji, wydzielita się Młodzieżowa Grupa Konspiracyjna. Jej trzonem byli Rysiu Śliwiński, Paweł Miedziński, Stasiu Aleksandrowicz, Bogdan Wiśniewski i ja. Malowaliśmy napisy, długo widoczne z przejeżdżających pociągów, rozrzucaliśmy ulotki. U mnie w domu była skrzynka kontaktowa. Otrzymane materiały odbierała Halinka Makowska, która chyba miała kontakt z rolnikami.

Ulubionym terenem naszych akcji malowania były garaże przy torach, na V osiedlu. Prawdziwa burza rozpętała się, gdy, nie znając właściciela, obmalowaliśmy w 1983 r. garaż Romana Karpińskiego, znanego SB-ka, wtedy porucznika. Obserwowaliśmy zlot radiowozów i służb, zdejmowano odciski palców, były psy tropiące i przesłuchania. Ofermy nie znalazły nawet puszek po farbie, którą rzuciliśmy na dach garażu. Chyba jeszcze większego rozmachu nabrało śledztwo, gdy wymalowaliśmy Liceum w Morzysławiu.

Teksty wymyślaliśmy sami, choć, jak nam się coś spodobało to korzystaliśmy z cytowanych w „bibule”. Ulotki otrzymywaliśmy, lub drukowaliśmy sami, np. pamiętam dwie noce drukowania w garażu u Adama Cielucha.

W tym czasie równolegle nawiązałem kontakt z podziemiem „Solidarności” Kopalni „Konin”. Aktywnymi działaczami, których poznałem, byli tam: Tadeusz Malinowski, Roman Górajski, Stasiu Flasiński, Tomek Piasecki, Marek Pietrzak, Stasiu Garstka. Ja zajmowałem się kolportażem prasy podziemnej i rozrzucaniem ulotek na terenie Kazimierza.

Pamiętam, jak nastąpiła wpadka redakcji gazетки konińskiej „Solidarności Walczącej”, w lutym 1984 r. Tadek Malinowski pokazał mi pieczętę podziemnej „Solidarności” mówiąc: „nastąpiły aresztowania, trzeba uderzyć”. Tak też się stało, wraz z chłopakami odbiliśmy sporo ulotek i wszystko poszło w miasto.

Także w 1984 nastąpiła wpadka Młodzieżowej Grupy Konspiracyjnej. Wieczorem przyjechało SB. Dokonali przeszukania mieszkania (nic nie znaleźli), zabrali mnie mówiąc, że na komendzie ktoś chce ze mną rozmawiać. Panował tam duży ruch. Wprowadzono mnie do pokoju, gdzie już siedział jakiś funkcjonariusz, zaczął mnie przekonywać, że wpakowałem się w niezłą ka-bałę i grozi mi wysoki wyrok – wszystko przebiegało spokojnie i grzecznie.

Zmienili się funkcjonariusze, dobry wyszedł, wszedł zły. Ten już krzyczał na mnie, że zginię w kryminale, stracę pracę, rodzina się rozbije, oni wszystko wiedzą itp.

Noc spędziłem w areszcie. Następnego dnia trafiłem do wydziału śledczego, przesłuchiwał mnie por. Leon Wiktor, tym razem do protokołu. Do niczego się nie przyznałem. Wieczorem przeprowadzili mnie do wydziału operacyjnego. Przez pół godziny słuchałem wrzasków, grózb i wyzwisk. Opowiadano o moim przegranym życiu, rozbitej rodzinie, braku pracy, dziecku (roczna córka) żyjącemu bez ojca, pewnym długim wyroku. Jest jednak sposób, powiedzieli, by tego uniknąć, by materiały nie trafiły do prokuratora, by nie opuściły tego pokoju. Wystarczy podpisać zobowiązanie do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. Niestety zgodziłem się. Napisałem własnoręcznie zobowiązanie, życiorys. Była już późna godzina, więc odstawiono mnie do aresztu.

Po następnej nieprzespanej nocy wypuszczono mnie z aresztu. Niezwłocznie udałem się do Ryszarda Stachowiaka, przewodniczącego Regionu „Solidarność”. Opowiedziałem mu wszystko, wspólnie napisaliśmy skargę do prokuratora o wymuszenie współpracy bezprawnymi groźbami. Kopia oryginału znajduje się w książce Ewy i Wojciecha Zaleskich „Zakazana Solidarność”. Na 2 lata przerwałem działalność.

W listopadzie 1985 r. po rozprawie przed kolegium ds. Wykroczeń otrzymałem grzywnę 8 tys. zł. za udział w pocztach sztandarowych podczas uroczy-

stości religijnych w mundurze górnika, do noszenia którego nie byłem po-
noć uprawniony. Dla sądu orzekającego pod przewodnictwem Eugeniusza
Fibakiewicza nie miało znaczenia, że byłem pracownikiem KWB, a podstawa
prawna, Rozporządzenie RM, dotyczyło nie munduru górniczego, lecz stop-
ni górniczych na mundurze.

Całą „sprawę” z zakwestionowaniem prawa do noszenia munduru górnicze-
go rozkręcili płk. SB Henryk Nowaczewski, i dyr. Kopalni Stefan Kucharski.
Dotyczyła ona także innych osób występujących w pocztach sztandarowych
w mundurze górniczym (Krzysztof Buszko, Grzegorz Ziółkowski).

Od któregoś momentu współpracowałem z Pawłem Kotlarskim. Jeździłem
do Warszawy, Poznania, Wałbrzycha, Gdańska po bibułę, książki. Kiedyś na-
wet zawiozłem transport deklaracji Solidarności Rolniczej Ireneuszowi Nie-
wiarowskiemu.

Przez Andrzeja (Andrzej Kamiński, jak okazało się później TW „Mietek”)
poznałem Majkę z KPN –u (środowisko poznańskie), a przez nią Macieja
Frankiewicza. Zaprzyjaźniliśmy się. Zaproponował, żeby powstał koniński
Oddział Solidarności Walczącej. Zorganizowałem go, liczył na początku 5-6
osób. Pierwsze numery Biuletynu drukowaliśmy w Poznaniu. Maciej Frankie-
wicz bywał w Koninie, na Górniczej przeprowadził szkolenie z drukowania
(sitodruk). Z Poznania, od Maćka, mieliśmy też maszynę do pisania i powie-
lacz, które z czasem, już w 2000. latach przekazałem Franciszkowi Romaszce.

Często byłem zatrzymywany przez MO. Kiedyś sąsiadka przybiegła z krzy-
kiem do mamy

- Sąsiadko, syna ci zabrali, z przystanku zabrali...

12 lutego 1986 r. zwinęli mnie z klatki schodowej Ryszarda Śliwińskiego i za-
wieźli na „górkę”, do Komendy. Przesłuchiwał mnie Traciłowski, bez proto-
kołu:

- Matka bierze wczasy pod gruszą, a jeździ do Częstochowy, co jest karalne.
Nie wywiązuje się z obietnic współpracy... Zaproponowałem, by opubliko-
wał te skargi w „Służbie Narodu”.

Traciłowski zakręcił kaloryfer, otworzył okno i zdarł ze mnie ubranie, na dwo-
rze było ok. -20 stopni. Stałem i modliłem się, zacząłem odmawiać różaniec.
Przy drugiej dziesiątce zacząłem krzyczeć w otwarte okno:

- Ludzie, mordują, nazywam się Janusz Kukieła. Traciłowski rzucił się i za-
mknął okno, na to wpadł inny i zaproponował, by mi „wjechać”. Na nowo
otworzyli okno, dalej się modliłem. Zacząłem do siebie mówić: L4, zapalenie
płuc, episkopat... Traciłowski zaczął mnie szarpać, krzycząc:

- Głośniej k...wa mów...

Ten drugi powiedział, by mi dać spokój, „widzisz, że to jakiś pojeb”.

Pozwolili mi się ubrać, a na pożegnanie Traciłowski rzucił:

- Powiedz Stachowiakowi, że z okazji 3 Maja kogoś „odstrzelimy”.

Powielacz

W 1988 r. podczas kolejnego szkolenia drukarzy prowadzonego w moim mieszkaniu przez Macieja Frankiewicza dla Młodzieżowej Grupy „Solidarności Walczącej” pokazał nam niespodziankę – powielacz.

Była krótka informacja o obsłudze, kilka porad i instrukcji, a następnie powiedział: jest to dar z Zachodu dla naszej grupy i teraz my musimy się nim opiekować.

W tej grupie byli: Marek Tarczewski, Andrzej Katafoni, Marek Grzelak. Wszyscy byli pracownikami Zakładu Robót Górniczych przy KWB.

Na tym powielaczu drukowaliśmy pierwsze deklaracje „Solidarności” dla całego Regionu Konińskiego, po ponownej rejestracji NSZZ „Solidarność”. Obecnie jest eksponatem w Archiwum konińskiej „Solidarności” utworzonym przez Lecha Stefaniaka przy Muzeum Okręgowym w Koninie.

Janusz Kukiela

Widząc teraz, jakie są próby przekłamania na temat stanu wojennego w Polsce, postanowiłem opisać zdarzenia z tego okresu z moim udziałem.

Po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego, nie zgadzając się z tym, całkowicie spontaniczne, pod wpływem między innymi „Kamieni na szaniec” Aleksandra Kamińskiego i patriotycznego wychowania wyniesionego z domów, i jako wnuk powstańca wielkopolskiego, w całkowitej tajemnicy, wraz z Dariuszem Lewickim zamieszkałym wówczas w Koninie na Alejach 1 Maja 10a, założyliśmy tzw. grupę bojowo-dywersyjną. Mieliśmy wtedy po dwiętnaście lat. Pracowałem w KWB „Konin”, moi koledzy albo pracowali po maturze, albo studiowali.

Tak się nazwaliśmy, i postanowiliśmy wyrazić swój sprzeciw przeciwko władzy, która ten stan wojenny wprowadziła. Pierwszą naszą akcją było namalowanie pędzlem napisu: „ZOMO = SS” na tzw. ślimaku, obecny adres: ul.11 Listopada 6, wcześniej 22 Lipca. Idea była taka, aby napisy były w widocznych miejscach, konkretne i wymowne, a akcje szybkie. Pierwszy ten napis wykonaliśmy jeszcze w grudniu 1981 roku, w czasie godziny milicyjnej, farbą, którą załatwiliśmy z Huty Aluminium. Na drugi dzień, wracając z pracy autobusem pracowniczym, zauważyłem przy tym napisie pełno milicji w mundurach i po cywilnemu z psami. Robili zdjęcia napisu i otoczenia.

Myślałem wtedy, że już jesteśmy namierzeni przez milicję. Napis ten, ze względu na użytą farbę, mimo że był zamalowywany, przebijał się trzy razy. Następny napis, który wykonaliśmy, był już zrobiony w styczniu 1982 roku na wieżowcu z neonem „Aluminium”, na ul. Kardynała Stefana Wyszyńskiego 7 (dawniej XX - lecia PRL). Na ostatnim piętrze tego wieżowca znajdowała się pralnia i suszarnia, gdzie było sześć lub osiem okien z wyjściem na dach. Na tej ścianie, gdzie były okna pod neonem, wykonaliśmy napis „WOLNOŚĆ”, bo akurat ten napis mieścił się między oknami i był wymowny.

Pamiętam, że dach był bardzo oblodzony i wiał wiatr, jednym słowem, mimo bardzo nieznacznej pochyłości łatwo było zjechać, a za krawędzią jedenaście pięter w dół... W tym przedsięwzięciu pomagało nam paru kolegów, między innymi Wojciech Słomian i Marek Różycki. Mimo neonu przy samej ścianie był cień, więc z dołu nie było nas widać. Ważniejsze było zachowanie ciszy, pod nami przecież mieszkali ludzie, a i naprzeciw pralni znajdowało się kilka mieszkań.

W następnych dniach mieliśmy wieści ze szpitala, że całe sale gromadziły się w oknach obserwując milicję na dachu i próby zamalowywania napisu.

Ostatnią naszą akcją w Koninie było namalowanie czterech wymownych dat, w tym ostatniej, wprowadzenia stanu wojennego.

Były to daty w kolejności od lewej strony: 28.06.1956, 14.12.1970, 26.06.1976, 13.12.1981. Pierwsza data była na budynku pod adresem: ul. Wyzwolenia 4, następne na kolejnych wieżowcach tam stojących. Napisy zrobiliśmy na dolnych prawych płytach budynków. Napisy były zamalowywane, ale również przebijały i w końcu zrobiono na tych płytach wielkie adresy tych wieżowców. Po tym przedsięwzięciu zakończyliśmy nasze działania z różnych względów. Nigdy nie zostaliśmy złapani przez organy bezpieczeństwa PRL-u. Miałem jeszcze kontakty z opozycją i podziemiem, rozwoziłem wydawnictwa KPN, ukrywał się u mnie Szymon Łukasiewicz, ale to już inne historie i bardziej odruchy serca, niż stała, konsekwentna współpraca z podziemiem.

Michał Kachel – Tujdowski

Konin 09. 05. 2018

„Solidarni”

Pierwszy numer „Solidarnych” ukazał się w sierpniu 1984 r. Wydrukowaliśmy go z Małgorzatą Joachimiak studentką Akademii Medycznej, na ramce, przy okazji druku kolejnego numeru poznańskiego „Ceglorza”. „Solidarni” od początku byli wydawani w ramach Porozumienia Prasowego „Solidarność Zwycięży”.

Stopniowo, wraz z budowaniem sieci kolportażu, biuletyn docierał do największych zakładów pracy w regionie. Podwójny numer 5 i 6 był pierwszym, w którym obok nazwy znalazł się dopisek „Pismo Komisji Zakładowych NSZZ „Solidarność Fabryki Urzędów Górniczych Odkrywkowego, Elektrowni Pątnów, Huty Aluminium „Konin”, Kopalni Węgla Brunatnego, Zakładów Przemysłu Odzieżowego „Polanex”, PKS Oddział Konin,

Od tego numeru korzystaliśmy z powielacza, który został przewieziony w dość burzliwych okolicznościach z Poznania. Któregoś pięknego dnia Kuba Pietrzyk z „Ceglorza” poinformował mnie, że kolega, drukujący na tym powielaczu biuletyn Tymczasowego Zarządu Regionu w Poznaniu, został zdekonspirowany przez wrogo nastawioną do tego rodzinę. Zagrożono mu, że jeśli natychmiast powielacz nie zostanie wywieziony, złożą doniesienie na milicję.

W takich okolicznościach, po zapakowaniu powielacza do wielkiego pudła po telewizorze „Rubin” produkcji radzieckiej, wsiałem do pociągu i zawiozłem go do Konina. Zgodnie z umową wysiadłem na stacji Konin Zachód, gdzie czekał już Darek Lewicki. Samochodem przewieźliśmy pudło na aleję, do jego rodziców.

Z Nowej Huty przyjechał Marian Stachniuk, który uruchomił urządzenie [Marian Stachniuk, założyciel, redaktor i drukarz biuletynu „Solidarność Zwycięży”, działacz „Solidarności” w skawińskim Instytucie Metali Nieżelaznych. Jeden z inicjatorów powołania we wrześniu 1982 roku Porozumienia Prasowego „Solidarność Zwycięży”]. Marian przywiózł ze sobą także tzw. woskówki, czyli matryce do powielacza i zapas farby. Przywiózł także gotowy, wydrukowany plakat, wzywający do marszu od kościoła M. Kolbego do Urzędu Wojewódzkiego.

Poprzez Wiesia Olejnika poprosiłem Ryszarda Stachowiaka, by uprzedził ks. Łasę i uzyskał jego cichą akceptację zgromadzenia pod kościołem. Stacho-

wiak taką zgodę uzyskał, niestety tydzień przed terminem, o którym zawiadamiał plakacik i inne ulotki, ks. Łassa na niedzielnych mszach św. odciął się od marszu w imieniu kościoła. Tak więc z przedsięwzięcia nic nie wyszło, nie mogliśmy działać wbrew jasno wypowiedzianemu stanowisku kościoła.

Tak więc 22 lipca 1984 roku, w budynku naprzeciwko Urzędu Wojewódzkiego, została uroczystie zainaugurowana praca konińskiej drukarni. Od mniej więcej 20. numeru pisma do nazwy został dodany drugi człon „Konin”, by odróżnić je od innych, które ukazywały się pod tym tytułem.

Wkrótce trzeba było zmienić lokal. Tym razem powielacz przewiozłem sam, na rowerze – składaku, niby nie daleko, na Zawadzkiego, ale jednak, eska-pada szalona!

Początkowo pismo ukazywało się jako kwartalnik o charakterze publicystycznym, następnie w odstępach jedno-, niekiedy dwumiesięcznych. Miało objętość 2-3 kartek formatu A-4, nakład wzrastał od 300-400 egzemplarzy do 3600 w szczytowym okresie.

Od lutego 1989 roku pismo wychodziło jako organ Tymczasowego Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” w Koninie. Biuletyn był redagowany do 23 numeru przeze mnie (wówczas studiowałem jeszcze na Akademii Medycznej w Poznaniu), następnie do 40 numeru przeze mnie, Wojciecha Zaleskiego i Ewę Zaleską.

Pismo „Solidarni Konin” ukazywało się aż do 1995 roku jako Biuletyn Informacyjny Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” w Koninie. W okresie jawnej działalności związkowej (od 1989 roku) redaktorami były znane postacie konińskiej opozycji, najpierw Lech Stefaniak, potem Tomasz Dorożyński.

Ostatni, 96. numer ukazał się w lutym 1995 roku. Gdy zaczynaliśmy wydawać „Solidarnych”, zastanawialiśmy się jak długo to potrwa, ile ukaże się numerów i który ze „smutnych panów” będzie grabarzem pisma. W najbardziej szalonych wizjach nie potrafiliśmy sobie wyobrazić, że likwidatorami będzie Jerzy Żurawiecki, przewodniczący zarządu Regionu działającego legalnie Związku Zawodowego „Solidarność”. Ale to już początek całkiem innej historii.

Przez lata współtworzyli i współpracowali z nim: Paweł Kotlarski, Małgorzata Joachimiak, Wojciech Pęgiel, Ryszard Stachowiak, Dariusz Lewicki, Ewa Zaleska, Wojciech Zaleski, Jarosław Pieczętkiewicz, Wiesław Olejnik, Ewa Derbiszewska – Kotlarska, Tomasz Sędlak, Janusz Kukiela, Lech Stefaniak i Tomasz Dorożyński.

Paweł kotlarski

**STRAJK
W HUCIE
ALUMINIUM**

ANDRZEJ KRZYŻAŃSKI, ZDZISŁAW NOWAKOWSKI: - ROZMOWA

Strajk w Hucie Aluminium „Konin” jako spontaniczna reakcja na ogłoszenie stanu wojennego był jedynym tego typu w Wielkopolsce. Brak pełnego, wiarygodnego opracowania solidarnościowego protestu 13-14 grudnia 1981 roku w Hucie. Poniższe relacje są pierwszymi z planowanych do druku.

Zwracają uwagę różnice między zapamiętanym przez uczestników obrazem a wyłaniającym się z pierwszego oficjalnego dokumentu – Aktu oskarżenia Prokuratury Wojewódzkiej w Koninie o przestępstwa przewidziane dekretem o stanie wojennym przeciwko Zbigniewowi Ładoszowi i Jerzemu Jarzyńskiemu [NSZZ „Solidarność” Region Konin. Wybór dokumentów, tom II (1981 – 1989), str.33].

Andrzej Krzyżański, Zdzisław Nowakowski: o strajku w Hucie Aluminium „Konin”, powstaniu „Solidarności” i nie tylko... Prowadzi rozmowę i notuje Lech Stefaniak

Andrzej Krzyżański: Rozpoczęło się na walcowni, rozszerzyło się dalej, od pracy wstrzymano się u elektryków, na odlewni...

Było już po porozumieniach gdańskich, ok. 3 września. Wyłoniono przedstawicieli załogi z oddziałów do rozmów z dyrekcją i przedstawicielami rządu.

Przedstawiciele załogi, nieoficjalnego strajku, głównie domagali się podwyżki płac i warunków socjalnych. Na rozmowy z reprezentantami załogi (ok. 150 osób) przyjechał Franciszek Kaim, minister hutnictwa. Strajk zakończył się w godzinach popołudniowych podpisaniem porozumienia, a przedstawiciele załogi rozeszli się po wydziałach. W następnych dniach zbierali podpisy pod deklaracją wstąpienia do Niezależnego Związku Zawodowego „Solidarność”.

W tych dniach powstał Komitet Organizacyjny. Pierwsze spotkanie odbyło się na tzw. zimnej walcowni, późniejsze u elektryków na tak zwanej „górcie”. (Były głosy, np. p. Kalka, żeby wstępować i zdominować CRZZ.)

Komitet Założycielski składał się z przedstawicieli wszystkich Oddziałów. Wtedy wypłynęli i stali się powszechnie znani Ryszard Stachowiak, Jerzy Jarzyński i Zbigniew Ładosz. Do końca września trwały zapisy członków.

Zdzisław Nowakowski: Byłem bardzo zdziwiony przemianą, zaangażowaniem Stachowiaka, który dotychczas był cichym, grzecznym, nie wyróżniającym się inżynierem.

Lech Stefaniak: Słyszałem opinie, że zatrudnienie Stachowiaka było dosyć niejasne, bowiem obowiązywała blokada etatów...

ZN: Blokada dotyczyła inżynierów z AGH, których była większość, metalurgów, technologów... Brakowało fachowców po politechnikach, elektryków, mechaników. Ryszard Stachowiak został w Hucie po stażu...

Z Andrzejem Krzyżańskim poznaliśmy się w 1974 r., podczas uruchamiania zimnej walcowni. Pracowaliśmy w „brygadzie smołowej”, na dachu walcowni. Takie były czasy, specjalistów wysyłano do smołowania dachu... Podobnie jak pracowałem w tzw. piwnicy emulsyjnej, było nas trzech, a potrzebny był może z górą jeden pracownik.

AK: Podobnie wysłano całą grupę specjalistów do Czechowic, gdzie uruchamiano walcownię, do... układania kostki na chodnikach. Budowano ją na bagnach, raz kolega poszedł po butki na śniadanie i chciał skrócić sobie drogę. Gdy głodni udaliśmy się na poszukiwania, był już zanurzony do połowy piersi.

ZN: Było tuż po wydarzeniach w 1976 r. Siedzieliśmy we trzech przy CPN na Kolskiej, podjechał samochód z rejestracją radomską. Zagadaliśmy do kierowcy: „No i co warchoły, jak się żyje?”. To było tak na zaczepkę. Zaraz potem wyraziliśmy współczucie i poparcie. Porozmawialiśmy, a on mówi, że nam coś da. Wyciągnął cały stosik ulotek i gazetek. Większość zaniósłem następnego dnia do Huty, gdzie z Andrzejem Krzyżańskim rozłożyliśmy je w szatni.

Za zimną walcownią stała wielka chłodnica. Andrzej, jako fachowiec od wszystkiego, wziął wiaderko smoły, pęk czyściwa i wymalował pięknie, jak pod linijkę, wielkimi literami, KOR. Napis przetrwał chyba ze dwa miesiące, także wtedy, gdy organizowano w Hucie wiece popierające politykę Gierka.

AK: Służyłem w Marynarce Wojennej kiedy wysłano nas w 1970 do Gdyni. Jako jedyny odmówiłem (jechali tylko ochotnicy). Mówię to by zaznaczyć, że już trochę byłem uświadomiony...

Huta była czerwona, dotyczy to oczywiście głównie dyrekcji, kierownictwa, kadry inżynierskiej, szczególnie na walcowni. Po 1 maja flagi natychmiast zdejmowano, jednak co roku na walcowni, widoczna z drogi Konin – Bydgoszcz, wisiła wielka biało – czerwona. Tak było od 1976 r., co najmniej przez trzy lata. Biegali, węszyli, przed 3 Majem organizowano nocne patrole, a i tak co roku, o 6 rano wychodząca i rozpoczynająca pracę zmiany widziały...

Dopiero w 1980 roku dowiedzieliśmy się, że Huta ma swojego „opiekuna” z SB, por. Wojciecha Połatyńskiego.

Na pierwszym zebraniu u elektryków wyłoniono grupę inicjacyjną, pamiętam, że był w niej m.in. Zbigniew Ładosz. Kalka nawoływał, by rozwalić CRZZ, ale nikt nie miał do niego zaufania.

Jeździliśmy w teren, nasza Komisja Zakładowa, jeszcze nieformalna, wysyłała nas po wsiach, by propagować NSZZ „Solidarność”.

ZN: Podobną robotę robiła Kopalnia. Dużo później Kopalnia nie mogła nam darować związku z parafią św. Kolbego, sama związana była z parafią św. Wojciecha w Morzysławiu. Proboszcz, ks. Waszczyński, stał się nieformalnym patronem i kapłanem całej konińskiej Solidarności.

Ja do Kolbego zajrzałem tylko raz i miałem dosyć...

Po 13 grudnia pierwsze 2 tygodnie, cała Solidarność w Hucie to był Andrzej Krzyżański. Miałem doświadczenia z milicją jako chłopak ze starego Konina. Mówiłem wielokrotnie, Andrzej zwolnij, ostrożniej... Wrzeszczał na Andrzeja także Woźniak, którego szanuję, bo jako jedyny mistrz nie został TW, teraz rozumiem dlaczego... Były osoby, które podburzały Andrzeja, który coraz bardziej się rozkręcał.

Strajk 1981

LS: Czy 13 grudnia Huta była przygotowana, spodziewano się stanu wojennego?

AK: Tak i nie. Ostrzeżenia płynęły choćby z Tygodnika „Solidarność”.

AK, ZN: 13 grudnia udaliśmy się do kościoła św. Maksymiliana Kolbe, gdzie o 11.00 odprawiona została msza św. z okazji poświęcenia sztandaru NSZZ „Solidarność” Huty Aluminium. Krążyły już pogłoski, że w nocy w Hucie ogłoszono strajk okupacyjny jako protest przeciw stanowi wojennemu i zamachowi stanu ogłoszonym przez Wojskową Radę Ocalenia Narodowego – WRON. Po mszy udaliśmy się do salki katechetycznej, gdzie doszło do burzliwej, chaotycznej dyskusji. Wtedy już mieliśmy potwierdzone wieści, że strajk wybuchł na elektrolizie po 24.00. Przypominam sobie bardzo gorące wystąpienie pani Alicji Konieczki z „Solidarności Wiejskiej”.

Z kościoła część ludzi udała się do klubu „Hutnik” na dalsze uroczystości związane z poświęceniem sztandaru, część do Huty, różnie, autobusami, samochodami, pieszo.

Ci, którzy udali się do „Hutnika”, dostali zgodę od funkcjonariuszy na przejście, byle po chodnikach i nie grupowo.

ZN: Około 14.00 (niedziela, 13 grudnia) na elektrolizie odbyło się zebranie załogi. Nie zgodzono się na wyłonienie Komitetu Strajkowego, zapewne mając na uwadze przewidziane w uchwale o stanie wojennym kary i restrikcje. Pamiętam, jak wściekał się na to Józef Dembski. Ustalono, że strajk bę-

dzie nieoficjalny, to znaczy wszyscy wstrzymują się od pracy, ale nie używa się słowa „strajk” i nie ma kierownictwa.

Osób, które przyjechały do Huty z kościoła, z domów, mimo że nie miały pracującej zmiany, było niewiele, kilkadziesiąt osób.

W wyniku nieformalnych wyborów wyłoniono reprezentację wszystkich wydziałów. Wtedy przypisano rolę kierowniczą Jerzemu Jarzyńskiemu. Tak do-trwaliśmy do rana.

LS: Czy osoby kojarzone z kierownictwem strajku były tam obecne, brały udział w tych dyskusjach?

AK: Za wszystkich głowy nie dam, był jednak duży chaos. Według mnie Ładosz uciekł z Huty, kiedy strajk został spacyfikowany w poniedziałek wieczorem, ok. 22.00, na połączeniu zmian. Nie byłem na całym strajku. Po dotarciu do Huty z kościoła i po zebraniu na elektrolizie, już jako reprezentant walcowni, przesiedziałem do rana. Wróciłem do domu o 8.00 rano w poniedziałek, normalnym autobusem

ZN: W niedzielę, 13 grudnia, zaczynałem zmianę o 22.00. Wsiadłem do autobusu zakładowego na Kolskiej o 21.20 i zaraz zostałem wylegitymowany przez funkcjonariusza po cywilnemu. W Hucie na bramie zatrzymało mnie ORMO, pamiętam Kaszubowskiego. Dostałem instrukcję, by nie przebierać się i iść na mistrzówkę.

Przebrałem się jednak, dostaliśmy od mistrza polecenie zrobienia czegoś, ale nikogo nie było na suwnicy, udaliśmy się więc do pakamery i czekaliśmy.

Z elektrolizy przyszły wieści, że ZOMO już jedzie. Siedzieliśmy do rana. Nie pojechałem do domu o 6.00 rano, bo cała Huta była ponoć obstawiona wojskiem, wyłapywano wychodzących. Zapanowała psychoza strachu, część ludzi z nocnej zmiany jednak pojechała...

Zmiana ranna od 6.00 też nie podjęła pracy. Do 12.00 – 13.00 na walcowni nie wiedzieliśmy co robić. Padło hasło „idziemy na elektrolizę”, chyba od Andrzeja Krzyżańskiego, Lachowicza i innych... Poszliśmy, wszyscy, ale po drodze większość smyknęła do szatni, przebrała się i do domu. Pamiętam Lachowicza, jak pokrzykiwał „idziemy, idziemy, ja zaraz przyjdę...” ale nie przyszedł. Kazimierz Mazurek, przewodniczący Komisji Wydziałowej Walcowni wezwał do wycofania się, zaprzestania protestu: „stan wojenny, trzeba się dostosować...”

Poszedłem na stołówkę elektrolizy, patrzę, kto jest z walcowni – jednostki. Przyszedł dyrektor Roman Łopata i straszył nas sankcjami...

W stołówce usiadłam w kącie z Małgosią Arciszewską, wtedy Mikołajczyk, sekretarką z Zarządu Regionu, która przyjechała w pośpiechu ubrana nie na tamte mrozy, więc okryłam ją kufajką.

Tumult niesamowity, Józef Dembski krzyczy: „nie dać się komunie, zbroić się, otoczyć walcownię butlami z acetylenem i wysadzić, jak zaatakują...”.

Nie zgodzono się kolejny raz na powołanie Komitetu Strajkowego i przewodniczącego. Ludzie zaczęli się rozchodzić. Dyrektor Łopata z jakimś półkownikiem, wojskowym komisarzem, zapewniali, że samochody są podstawione pod bramą i rozwiozą ludzi do domów. Część pracowników, która była na swojej zmianie, miała wrócić do pracy.

Z elektrolizy wróciłem na walcownię, nie wierzyłem w zapewnienia... od tyłu, z elektrolizy kierując się na stolarnię i magazyn centralny, także dla tego, że wkrótce musiałbym wracać na swoją zmianę o 22.00. Poszedłem na szatnię, pół godziny stałem pod prysznicem, o 21.20 stawiałem się do roboty. Około 1.00 w nocy znalazłem sobie miejsce za wiertarką i położyłem się spać, padałem już, półtorej doby bez snu.

Obudził mnie huk wyłamywanych drzwi, Hirek Kołodziejczak z Patrykowa, który ich pilnował, krzyczy: „O Jezu, zabiją mnie, zabiją”. Jakiś mundurowy krzyczy do mnie: „wyłaż, co śpisz?”. Nie, odpowiadam, tylko przestraszyłeś mnie.

Wyprowadzają nas i ustawiają między mistrzówką a drogą do stołówki. Kolega, Stanisław Kaczmarek, któremu załatwiałem benzynę, piłem z nim, teraz jako ORMO-wiec przystawił mi do piersi pistolet: „Gdzie jest Ładosz, gdzie Jarzyński?

- Pierwszy raz słyszę takie nazwiska.

- Zabiję cię, jak ich nie znajdziemy.

Kazali się oprowadzać po podziemiach, to był wielki labirynt korytarzy, pomieszczeń, łączący się z innymi działami. Chodziliśmy z godzinę, ja zapalałem światło, dwaj z pistoletami krzyczeli „Wyłaż, widzimy cię”. Wróciłem do szeregu. Na odchodnym powiedzieli, że jak do 6.00 nie ruszy produkcja, to tu wróć. Specjalnie dla mnie Kaczmarek rzucił: „Ty nie przeżyjesz!”.

O 6.00 znów zbiórka, o 7.00 zbiórka pod Orłem (tak nazywaliśmy to miejsce, pod wizerunkiem orła na ścianie). Byli bardzo zmęczeni, Ładosz i Jarzyński, powiedzieli, że czas to zakończyć. Do 13.99 we wtorek nic jeszcze nie ruszyło. O 14.00 wyjechałem i wróciłem na zmianę o 22.00.

AK: Po różnych rozmowach postanowiliśmy zbierać pieniądze. Od razu utworzyło się kilka grup. W następnych dniach jeździłem wózkiem akumulatorowym po wydziałach i do słoja po ogórkach zbieraliśmy pieniądze na pomoc dla rodzin internowanych i uwięzionych.

ZN: Ja też jeździłem wózkiem po Hucie, ale mieliśmy już kasetę zespawaną z blach z napisem „Solidarność”.

AK: Natychmiast po informacjach z Radia Wolna Europa o wydarzeniach w Kopalni „Wujek” zorganizowałem wielki plakat, który zawiesiłem na tablicy „Solidarności” na walcowni, było też o internowanych z naszego Regionu, o

Jaruzelskim jako szefie WRON. Pod plakatem znalazły się kwiaty przepasane kirem. Plakat wisiał kilka godzin, nim go usunął kierownik walcowni.

Zostałem aresztowany dopiero 2 stycznia, zdążyłem jeszcze być na procesie Ładosza i Jarzyńskiego.

Po błyskawicznym procesie dostałem wyrok trzech lat, odsiedziałem rok, nie wróciłem już do Huty, szukałem pracy.

O stanie wojennym dowiedziałem się w nocy 12 grudnia 1981 r. Wtedy, jeszcze przez kilka godzin, myśleliśmy, że to sprawa lokalna, konińska, związana z akcją protestacyjną „Solidarności” w Szpitalu Wojewódzkim. Protest był ukoronowaniem wielomiesięcznych starań o przeznaczenie budowanego biurowca milicyjnego na nadwarciańskiej skarpie na pomieszczenia szpitalne.

W nocy, w pogotowiu, pełniła dyżur Maria Zaleska – Gosk, laryngolog, zaprzyjaźniona z moją sympatią, ginekologiem położnikiem Marią Skuzą. Po dyżurze przybiegła do niej, do bloku naprzeciw Technikum Górniczego, gdzie też przebywałem, z wieścią, że była świadkiem, jak po północy milicjanci wyprowadzili dosyć brutalnie protestujących w świetlicy szpitalnej do samochodów i gdzieś wywieźli.

Zgodnie, we troje, uznaliśmy więc jak już wspominałem, że to akcja miejscowa. Gwarantem bezpieczeństwa protestujących w szpitalu w imieniu społeczeństwa były organizacje zakładowe „Solidarności”, więc powiadomienie ich o aresztowaniach w szpitalu stało się najważniejsze. Co robić? Przede wszystkim nie można siedzieć bezczynnie.

A jeszcze w sobotę przed południem z Andrzejem Krzyżańskim byliśmy w świetlicy u protestujących. Zanieśliśmy rulon szarego papieru na plakaty i klej.

Zobowiązałem się, że z Jolantą Zaleską – Gosk powiadomimy hutników. Mieliśmy do dyspozycji „malucha”, Fiata 126 pani doktor, podjechaliśmy wpierw na Glinkę, gdzie na Młodzieżowej był dom rodziców i moje mieszkanie. Przebrałem się w ciepłą odzież i pojechaliśmy do Huty. Podjechaliśmy od strony boczny kolejowej, teren znaliśmy nieźle, bowiem od tej strony Huta Aluminium sąsiadowała z Trans - Budem, którego dyrektorem technicznym był mąż pani doktor a mój serdeczny przyjaciel – Witold Gosk.

Wysiadłem i wzdłuż torów dostałem się na teren Huty Aluminium. Zadanie było łatwe, bowiem brama kolejowa była szeroko otwarta, pilnujący ją strażnik spał. Zatrzymałem się na odlewni, praca przebiegała normalnie, jak na nocnej zmianie.

Poinformowałem pracowników o sytuacji w Szpitalu Wojewódzkim, szukałem kontaktu z członkami Komisji Zakładowej.

Naradziliśmy się, wszyscy zdecydowanie opowiedzieli się przeciwko postępowaniu władz. Telefony wewnętrzne Huty działały, nie było natomiast po-

łączeń zewnętrznych. Ustalono: sprowadzić do Huty członków Komisji Zakładowej „S”, w szczególności Jerzego Jarzyńskiego i Zbigniewa Ładosza. W tym celu posłużyliśmy się karetką pogotowia Huty, która miała stały dyżur. Jeden z kolegów powiedział, że jest sąsiadem Jarzyńskiego w bloku na Wy-szyńskiego [wtedy XX-lecia PRL], pojechaliśmy razem, był to tzw. wieżowiec nad amfiteatrem.

Do mieszkania poszedł kolega, po chwili wrócił i powiedział, że Jarzyński odmawia przyjazdu do Huty uzasadniając, że musi być wypoczęty na jutrzejszą uroczystość poświęcenia sztandaru „Solidarności” Huty. Wobec tego wróciliśmy do Huty.

Po powrocie powiadomiliśmy Wydziały, że Jarzyński odmówił przyjazdu. Odebrałem telefon od dyspozytora, że chce rozmawiać dyrektor Huty Roman Łopata.

Do rozmowy doszło, a właściwie wysłuchałem przemowy, że postępuję nieodpowiedzialnie, buntuję ludzi... Ja poinformowałem dyrektora o sytuacji w Szpitalu Wojewódzkim. Później dowiedziałem się, że dyr. Łopata wydał polecenie dyżurnemu kierowcy, by natychmiast ściągnął do Huty przewodniczącego Komisji Zakładowej „S” – Jerzego Jarzyńskiego – by uspokoił Plutę, którzy buntuje ludzi.

Ja byłem przewodniczącym Komisji Wydziałowej zaplecza technicznego (Wydział Remontów, Główny Mechanik, Główny Energetyk, Wydział Mechaniczny, Wydział Badawczo-Rozwojowy), Jarzyński był Przewodniczącym Komisji Zakładowej.

Jarzyński przyjechał do Huty wściekły na mnie, że rozrabiam, działam na własną rękę... Wtedy już zaczęto mówić o stanie wojennym... Jarzyński w mojej obecności zaczął naradzać się z członkami „Solidarności” i ustalono, że będzie się prowadzić akcję protestacyjną. W tym czasie zaczęli przybywać już do Huty inni pracownicy, niekoniecznie na swoje zmiany.

Jarzyński starał się mnie ignorować, a nawet sugerował, że mogę być prowokatorem.

Chciałbym tu wspomnieć o postawie Jerzego Chmielewskiego, robotnika z odlewni, znanego w Hucie, członka Komitetu Zakładowego PZPR. Jego ojciec, brat i siostra także byli zatrudnieni. Chmielewski wszedł w skład delegacji do dyrektora Łopaty, który około 7.00 zjawił się w Hucie., by na jego żądanie przedstawić postulaty protestujących, a właściwie już strajkujących. Brałem udział w formułowaniu postulatów, swoje uwagi wносił też Jarzyński. Działo się to wszystko już po wysłuchaniu rannego przemówienia gen. Jaruzelskiego.

Z tymi postulatami, ja, Chmielewski i kilkoro innych pracowników (ale bez Jarzyńskiego, nie pamiętam, czy podpisał dokument) udaliśmy się do budynku dyrekcji. Wywiązała się krótka rozmowa z dyrektorem Romanem Łopatą i innymi, obecnymi dyrektorami. Dyr. Łopata stwierdził, że nie ma żadnych

informacji, które mógłby przekazać załodze; zamierza udać się do wojewody po dokument o stanie wojennym i po powrocie spotka się z załogą.

Spotkanie odbyło się na Sali na elektrolizie. Zastępca dyrektora ds. technicznych, Janusz Domagała, poprosił mnie, abym odczytał dekret o stanie wojennym, bo będzie to lepiej przyjęte przez załogę. Po chwili namysłu zgodziłem się i odczytałem. Po tym pozwoliłem sobie na komentarz, mniej więcej taki: mamy tu do czynienia ze sprawą ogólnopolską, nie konińską związaną z protestem w Szpitalu Wojewódzkim; władza poszła na rozwiązanie siłowe i powinniśmy się dobrze zastanowić, co dalej robić...

Jarzyński był za ostrym protestem... od tej chwili unikał już rozmowy ze mną.

Należy podkreślić bardzo ważną rzecz, w chwili ogłoszenia dekretu o stanie wojennym Huta Aluminium „Konin” nie była zakładem zmilitaryzowanym, aż do 1 stycznia 1982 r., choć oczywiście, jak wszędzie obowiązywały tu wprowadzone rygory. To spotkało się z wielkim rozgoryczeniem aktywu partyjnego, jako niedocenienie wagi zakładu dla gospodarki kraju i regionu.

W godzinach popołudniowych dotarł do Huty Zbigniew Ładosz, wiceprzewodniczący Zarządu Regionu. Przewodniczący ZR, Ryszard Stachowiak, który mieszkał w hotelu robotniczym, został aresztowany wcześniej rano, gdy przyjechał z Gdańska z obrad Komisji Krajowej. Ładosz zjawił się z Geniem Andrzejewskim, sąsiadem, kierownikiem działu remontów w Hucie, z którym biesiadował całą noc, być może z okazji obrony pracy inżynierskiej.

Wcześniej, ok. 8.00 wymknąłem się przez bramę kolejową i przez Rudzicę dotarłem do domu na Glince. W południe udałem się do kościoła M. Kolbego na uroczystość poświęcenia sztandaru hutniczej „Solidarności”. Po mszy i ślubowaniu odbyło się w salce przy kościele zebranie, uczestniczyłem w nim, byłem za bardzo poważnym zastanowieniem się nad reakcją „Solidarności”. Najostrzej przemawiała pani Konieczka z „Solidarności” Rolników Indywidualnych. Ale nie było to gremium decyzyjne. Z Przewodniczących Komisji Wydziałowych byłem tylko ja.

Po południu spotkałem się z Andrzejem Krzyżańskim i udaliśmy się na Bydgoską do Zarządu Regionu. Zastaliśmy drzwi zaplombowane przez milicję.

Całą noc nie spałem, było popołudnie, nie wróciłem do swego domu na Glinkę, zasnąłem u przyjaciółki Marii Skuzy.

Następnego dnia spodziewając się, że zostanę zatrzymany na bramie przedostałem się na teren Huty od strony Trans – Budu i udałem się do swego działu. Zaraz po przyjeździe zostałem ostrzeżony przez swego szefa, Andrzeja Dudę, że powinienem się ukryć, bo chcą mnie aresztować, i że bym absolutnie nie wychodził przez bramę. Podobną informację otrzymałem od Hipolita Dragana, głównego inżyniera maszynowni.

Po zakończeniu pracy (nie miałem problemów z poruszaniem się po terenie,

więc odwiedziłem inne oddziały) przez plot opuściłem Hutę i na piechotę, przez las, wróciłem do domu.

Przeprowadziłem przez ten dzień szereg rozmów na temat stanu wojennego, szczególnie na walcowni. Nakłaniałem do obserwowania sytuacji, słuchania „Wolnej Europy” i zastanowienia się, bo może polać się krew. Ładosz i Jarzyński unikali mnie, prowadzili jakieś rozmowy w dyrekcji, o których nie informowali.

Następnego dnia (wtorek) Jarzyński udał się na wezwanie do SB, gdzie podpisał zobowiązanie do współpracy.

Od Adama Cielucha dowiedziałem się, że odbyło się spotkanie działaczy „Solidarności z Huty Aluminium, na którym Jerzy Jarzyński opowiedział o podpisaniu zobowiązania. Spotkało się to z dezaprobatą zebranych i zobowiązano Jarzyńskiego do wycofania deklaracji. Następnego dnia Jarzyński osobiście wycofał się z zobowiązania do współpracy, pisma mu nie zwrócono, jego samego zatrzymano, sprawę organizowania strajku skierowano do prokuratury. Zebrani, min, Marek Sroczyński i Roman Kwaśniewski, zdecydowali o rozpoczęciu zbiórki pieniędzy na pomoc dla aresztowanych i internowanych.

13 grudnia, w niedzielę, umówiony byłem z Romanem Majdzińskim, że razem pojedziemy do DK „Hutnik”, gdzie była zbiórka organizatorów i stamtąd przejdziemy do kościoła Maksymiliana Kolbego na mszę św. i uroczystość poświęcenia sztandaru NSZZ „Solidarność” Huty Aluminium.

O stanie wojennym dowiedziałem się rano z przemówienia Jaruzelskiego. Gdy wychodziliśmy od Romana, jego żona popłakała się z obawy, czy wrócimy.

W „Hutniku” już nic nie było, postanowiliśmy przemknąć się do Kolbego. W trakcie mszy dotarł Paweł Pluta, który już w nocy pojechał do Huty, powiadomić pracowników o rozbiciu protestu „Solidarności” w Szpitalu Wojewódzkim przez milicję i ZOMO. Paweł powiedział, że w Hucie ogłoszono strajk, że są już tam Ładosz i Jarzyński.

Na mszy i poświęceniu sztandaru byli m.in. Franczak, sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR i Zięba, dyrektor ds. pracowników w Hucie.

Po wiadomości od Pawła porozumiałem się z Alicją Płoszewską (staliśmy z tyłu, bowiem kościół był pełen). Postanowiliśmy, że jeszcze w kościele obejdziemy zaufanych ludzi i zaprosimy na zebranie w salce obok, którą udostępnił ks. Łassa. Ksiądz też został zaproszony i zabrał głos, że udzieli pomocy na ile będzie mógł. O jedną rzecz poprosiliśmy od razu, by pomógł wrócić bezpiecznie do Warszawy delegacji ze sztandarem z Huty „Warszawa”. Jak później się dowiedziałem delegacja, po obiedzie na plebani, szczęśliwie dotarła do Warszawy. Pani Konieczka zaoferowała żywność dla strajkujących od „Solidarności” wiejskiej.

Ustalono, że komitet strajkowy powinien mieć siedzibą w Hucie, ludzie rozjadą się do swoich zakładów i spróbują zorganizować strajki. Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, że z wielkich konińskich zakładów pracy jedynie Huta Aluminium nie była zmilitaryzowana.

Na mszy Marek Sroczyński, wiceprzewodniczący „Solidarności” w Hucie powiedział kilka słów, pamiętam ogólny sens, jako wezwanie do oporu.

Po mszy podeszedłem do dyr. Zięby, poprosiłem, by pomógł przewieźć sztandar do Huty. Dyr. Zięba zgodził się chętnie, „jego przecież nie będą zatrzymywać”, zaproponował, że może jeszcze kogoś zabrać – dysponował Nyską. Zabrał się z nim Józef Dembski. Sztandar w Hucie został ukryty w pokoju komputerowym na elektrolizie. Później, jeszcze zimą, był przechowywany u

mego brata na budowie w Laskówcu, następnie w dwóch innych miejscach. Wacław Wolicki, członek Prezydium KZ Solidarność" zrobił zdjęcie sztandaru, ja poprzez Ewę Zaleską wykonałem pozytywny (slajd), który wyświetlaliśmy na mszach za ojczyznę każdego 13 dnia miesiąca zamiast oryginału.

Po spotkaniu poszedłem do domu. Z Wiesiem Olejnikiem na 18.00 pojechaliśmy do Huty na naszą zmianę.

Kiedy w domach dokonywano aresztowań, Zbyszka Ładosza nie było. Po powrocie, gdy dowiedział się, że jest poszukiwany, przekradł się do Huty i przenocował w kanałach ciepłowniczych. Pokazał się rano, nie był więc organizatorem w nocy.

Paweł Pluta w kościele powiedział, że nocny strajk został już rozwiązany, jak zjawiliśmy się o 18.00 ludzie pracowali normalnie. Z Olejnikiem obchodziliśmy poszczególne brygady i informowaliśmy, że od rana będziemy strajkować. To samo robiliśmy ze zmianą przybyłą na 24.00 (na elektrolizie było 5 zmian).

Rano, po 6.00, zwołaliśmy wszystkich na łączniku między halami elektrolizy (Olejnik był tam mistrzem).

Tu dygresja: w styczniu 1979 r. założyliśmy Klub Mistrza Elektrolizy, jako niezależny od Klubu oficjalnego. Zaczęły się szykany. W maju 1979 zostałem przeniesiony do biurowca, do Działu Głównego Technologa. Moje zarobki spadły z 4,5 tys. do 3,1 tys. zł. Przeniesienie było faktycznie karne, za założenie Klubu, formalnie za nie ukończone studia. Innych członków Klubu (Wolicki, Adamski) też dotknęły przeniesienia, straty różnych dodatków itp. Oficjalnie były to reorganizacje stanowisk pracy.

Z Olejnikiem idziemy po 6.00 na elektrolizę. Na zebraniu ogłaszamy strajk. Ludzie go podejmują i ograniczają się do prac niezbędnych. Funkcję Komitetu Strajkowego przejęło Prezydium Komisji Zakładowej z Zbigniewem Ładoszem na czele (bez Bogacza i Mazurka z walcowni).

Członkowie: Marek Sroczyński, Józef Dembski, Zbigniew Ładosz, Wiesław Olejnik i ja mieliśmy iść na inne wydziały, by wezwać do strajku. Część poszła przodem, Wiesiu Olejnik poszedł po kurtkę, ja na niego czekałem. Gdy doszliśmy do odlewni oni już wychodzili; strajku nie ma! Z Wiesiem rozmawiamy z ludźmi i załoga podejmuje strajk. Na drugą halę odlewni przyszło kierownictwo Huty (Borkowski, Pawlicki), nadal byliśmy tylko z Olejnikiem. Przemawialiśmy, załoga podtrzymała decyzję o strajku. Pamiętam, że z kierownictwa najporządniej zachował się Borkowski.

Potem na Dział Mechaniczny. Sytuacja się powtórzyła. Ciągłe bez kontaktu z resztą Komitetu Strajkowego. Po naszych rozmowach załoga podejmuje decyzję o strajku.

Zgadza się z Wiesiem, że nie idziemy do Działu Transportu Samochodowego, bo tam kierowców pewnie już nie ma.

Poszliśmy na walcownię. Ludzi było bardzo mało, tu zawsze pracownicy byli rozrzućeni na przestrzeni 600 metrów. Walcownia podejmuje decyzję o strajku, aczkolwiek te chwile pamiętam najslabiej.

Ustaliliśmy, że na stanowiskach pozostają niezbędni dla utrzymania ciągłości, reszta udaje się na elektrolizę, gdzie jest centrum.

Na elektrolizie odbyło się ślubowanie na sztandar. Pojawił się Zenon Franczak, rozmawiał z Jarzyńskim, nie znam tych rozmów. Około południa Ładosz i Jarzyński naciskali, żeby zakończyć strajk. Zdecydowanie przeciwko byłem ja i Marek Sroczyński.

Około 18.00 Prezydium zdecydowało, że strajk kończymy. Przeciwko byliśmy nadal ja i Marek. Wśród zebranych rozlegały się krzyki: „zdrada”, Zdecydowano, że wracamy do domów autobusami zakładowymi o 22.00. Bezpieczeństwo wszystkim gwarantowali dyr. Roman Łopata i sekretarz KZ PZPR Zenon Franczak. Z autobusu, na wysokości FUGO, widziałem kolumnę ZOMO zmierzającą do Huty.

Następnego dnia zjawiłem się w Hucie na 7.00 rano, bowiem byłem oddelegowany do pracy w Komisji Zakładowej „Solidarności” jako wice Jarzyńskiego. Pomieszczenia były zamknięte, poszliśmy więc na wydziały. Kierownik Borkowski wtedy wręczył mi wezwanie do komendy MO, które od poprzedniego dnia przetrzymywał w biurku. Udałem się tam ok. 12.00. Dość długo czekałem, widziałem prowadzonego Ładosza.

Przesłuchania trwały kilka godzin. SB-cy się zmieniali, przechodzili z pokoju do pokoju. Do niczego się nie przyznałem, nie chodziłem po wydziałach, nie namawiałem do strajku... W poniedziałek wezwany był na komendę Jan Bogacz, którego na strajku nie było. Powiedział nam, że podpisał tzw. lojalkę. Stwierdziliśmy, że słusznie zrobił, taki świstek podpisany pod przymusem nie ma żadnej wartości. Sami byśmy go podpisali, co później rzeczywiście w różnych sytuacjach zrobiliśmy.

W Prezydium uzgodniliśmy wcześniej, że odpowiadamy za wszystko w przypadku złamania siłą strajku, bierzemy na siebie „winy”. Jarzyński wyszedł godzinę przede mną, Ładosza od razu aresztowano.

Mnie przesłuchiwał SB-ek Wojciech Połatyński, namawiał, bym porozmawiał z ludźmi, by nie szkodzili sobie. Puścił mnie ok. 20.00. Wszedłem po drodze do Jarzyńskiego, było kilka osób, także Wiesław Olejnik. Jarzyński opowiedział, jak doszło do podpisania przez niego zobowiązania do współpracy, między innymi za obietnicę zwolnienia przesłuchiwanym (także mnie). Przyjęliśmy to chłodno, zobowiązaliśmy Jarzyńskiego do odwołania.

W środę Jarzyński dał mi w Hucie list, że idzie na Komendę wycofać swoje zobowiązanie, żeby wiadome było, co się z nim dzieje. Zgodnie z przewidywaniami Jarzyńskiego aresztowano nie zwracając zobowiązania.

Aresztowano mnie w Hucie następnego dnia. Kierownik Pawlicki powiedział,

że czekają na bramie, nie powinienem się jednak spieszyć i spokojnie umyć się, zjeść śniadanie... Zadzwoiłem do Walickiego i brata, żeby w razie czego wiedzieli, gdzie mnie szukać.

Prokurator przedstawił mi zarzut o organizowanie strajku. Około 15.00 wyładowałem w areszcie, na kolację dostaliśmy trzy kromki chleba ze smalcem i kubek czarnej kawy. Około południa zaprowadzono mnie do prokuratora, który powiedział, że wypuszcza mnie, bo z czterech świadków trzech się wycofało.

Adam Cieluch

Konin, styczeń 2020 r.

Zacząłem pracę w Hucie w 1965 r. na stanowisku mistrza na Wydziale Mechanicznym. Wykonywałem remonty wszystkich maszyn, szczególnie suwnic na Wydziale Elektrolizy. Ożeniłem się, miałem trójkę dzieci.

W 1980 r. zaczęła się fala strajków na wybrzeżu, dotarła także do Huty. Zaczęliśmy organizować Komitet Założycielski „Solidarności” w Hucie. Pamiętam, że byli w nim przedstawiciele wszystkich wydziałów.

Na którymś zebraniu zostałem wybrany Przewodniczącym Komitetu Założycielskiego. Zaczęliśmy intensywnie działać, dużo czasu poszło na rozmowy i przekonywanie ludzi. Było o tyle łatwiej, że działał już przykład Wybrzeża. Na przełomie września i października 1980 w „Solidarności” mieliśmy ok. 70% załogi, na 2,5 tys. zatrudnionych. Komitet Założycielski zorganizował wybory na podstawie przyjętego ze stoczni statutu.

Wybrano Komisję Zakładową, której zostałem przewodniczącym. Do końca 1981 r. należeliśmy do najczynniejszych Komisji Zakładowych w Regionie. Braliśmy udział w pracach ogólnopolskich, np. w sprawie wolnych sobót. Popieraliśmy wszystkie ogólnopolskie strajki i protesty, np. w sprawie akcji SB w Bydgoszczy czy w sprawie rejestracji Solidarności rolniczej.

Oczywiście trwała normalna praca typowa dla związku zawodowego, choć coraz bardziej stawało się to walką o suwerenność Polski. Tak to odczuwaliśmy.

Kiedyś, na wieczornym zebraniu Komisji Zakładowej, podjęliśmy uchwałę o zwrócenie się do Najwyższej Izby Kontroli o zbadanie budów domków w Mikorzynie. Niestety już rano wiedział o tym dyrektor, mimo że wszyscy zgodziliśmy się, że tymczasowa tajemnica jest konieczna dla powodzenia kontroli...

13 grudnia 1981 r. w nocy był po mnie ponoć Paweł Pluta z moim sąsiadem, którzy przyjechali nie wiadomo jak dyżurną karetką, spałem, mówiła z nim żona. Zabrał mnie do Huty dopiero samochód przysłany na polecenie dyrektora Łopaty, chciał podjechać do bramy głównej, ale nie zgodziłem się. Ostatecznie podjechaliśmy do bramy kolejowej. To zdarzenie pamiętam bardzo słabo, nie wiem np. czy jechałem sam z kierowcą, czy był ktoś jeszcze.

Na elektrolizie dołączyłem do grupy organizującej się. W Hucie zostałem cały czas, nie pojechałem do Kolbego na święcenie sztandaru. Około połu-

dnia było obecnych już 5 członków Komisji Zakładowej, przekształciliśmy się w Komitet Strajkowy (byli: Wolicki, Cieluch, Sroczyński, Olejnik i ja).

Zaraz rano, ok. 7.00, powiadomiliśmy dyrektora o strajku, że jest on w świetle prawa legalny. Podjęliśmy decyzję, by przejść po wydziałach, poznać stopień poparcia ludzi i stanowiska Komisji Wydziałowych. Ogólnie poparcie dla strajku było, najsłabsze na transporcie, Wydział zajął stanowisko wstrzymujące się, neutralne.

Reakcja dyirekcji Huty: na Sali BHP na elektrolizie zjawił się jej przedstawiciel, sekretarz KZ PZPR Franczak, który namawiał do odstąpienia od strajku, obiecywał brak szykan. Część ludzi gwałtownie protestowała przeciwko dopuszczeniu go do głosu... Atmosfera była gorąca.

Strajk nie skutkował oczywiście zatrzymaniem elektrolizy czy wytopu, bo to spowodowało by zniszczenie wanien elektrolitycznych. Mieliśmy kontakt z KWB. Łącznikiem był Wojciech Chojnacki. 14 grudnia ok. południa byliśmy już pewni, że żaden zakład nie przystąpił do strajku, między innymi z powodu militaryzacji. Zostaliśmy sami.

W sprawie poświęcenia sztandaru 13 grudnia: Nie uczestniczyłem, musiałem być w Hucie. Otrzymałem telefon od Wiesława Olejnika z pytaniem, czy poświęcimy sztandar, bo na ulicach już pełno patroli, SB itd. Decyzja nie była taka prosta... Zdecydowałem, że sztandar należy poświęcić, ale z zakładowego Domu Kultury „Hutnik” iść trzeba chodnikami, by dostać się do kościoła. Zamiast mnie w kościele wystąpił Marek Sroczyński. Po mszy sztandar dotarł na elektrolizę, tutaj Józef Dembski zorganizował przysięgę dla tych, którzy nie mogli być w kościele. Po podniosłej uroczystości sztandar został ukryty, chyba na regeneracji, ale wprost nie wypadało się specjalnie ciekawić.

W godzinach wieczornych 14 grudnia mieliśmy informację o formowaniu się zgrupowania ZOMO i milicji do ataku na Hutę. Była silna grupa ludzi, którzy chcieli kontynuować strajk, mówiono o szafkach z butli z acetylenem, Prezydium Komisji Zakładowej ze względu na sytuację w Regionie zdecydowało o rozwiązaniu strajku.

Na zebraniu „pod orłem”, na walcowni przy mistrzówce, przy wejściu na szlifiernię, przemawialiśmy Zbigniew Ładosz i ja. Uważam, że decyzja była słuszna, mogli przecież zginąć ludzie. Około 22.00 odjechaliliśmy do domów.

Następnego dnia w pracy biegał za mną kierownik Andrzejewski, by wręczyć mi wezwanie na Komendę MO. Jakiś czas trwało, nim wziąłem papier.

17 grudnia poszedłem na górkę. Zostałem aresztowany i zamknięty w starym Koninie. Po przewiezieniu mnie na Komendę Wojewódzką SB-ek Wiktor stwierdził, że natychmiast mnie zamkną, chyba że podejmę się uspokojenia nastrojów w Hucie. Podpisałem zobowiązanie do współpracy i jeszcze tego samego dnia wieczorem przedstawiłem całą sprawę kolegom z „Solidarności”.

Następnego dnia wziąłem Wolickiego i na regeneracji napisaliśmy do SB, że nie ma mowy o żadnej współpracy, kopię miał Adam Cieluch, podpisałem i zawiozłem na Komendę. Wolicki pożegnał mnie słowami: „To już chyba nie wyjdiesz”.

Pismo odebrał Wiktor i rzeczywiście już nie wyszedłem.

Jerzy Jarzyński

W IMIENIU POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ

Dnia 22 lutego 1982 r.

Sąd Najwyższy w Warszawie Izba Karna na rozprawie w składzie następującym:

Przewodniczący: SSN - St. Kotowski

SSN – J. Cieślak

Sędziowie: SSN – F. Kozłowski

SSN – W. Żebrowski

SSN – T. Rybicki /spraw./

Protokolant: A. Nieporęcka

Przy udziale Prokuratora Prokuratury Generalnej J. Kanickiej – Jeżowskiej

po rozpatrzeniu w dniu 22 lutego 1982 r. sprawy 1/ Zbigniewa Ładosza,

2/ Jerzego Jarzyńskiego

Oskarżonych z art. 46 ust.2 dekretu z dn. 12.12.1981 r. o stanie wojennym Dz. U. nr 29 poz. 154 w zw. z art. 4 ust.1,3 i 4 dekretu z dn.12.12.1981 r. Dz. U. nr 29 poz.156 / z powodu rewizji nadzwyczajnej założonej przez Ministra Sprawiedliwości X III 537/82 – na niekorzyść tych oskarżonych od wyroku Sądu Wojewódzkiego w Koninie z dnia 28 grudnia 1981 r. sygn. Akt II K. 29/81 o d d a l a rewizję nadzwyczajną, a kosztami postępowania wynikłymi z jej wniesienia obciąża Skarb Państwa.

Uzasadnienie

Sąd Wojewódzki w Koninie wyrokiem z dnia 28 grudnia 1981 r. sygn. Akt II K. 29/81 uznał oskarżonych Zbigniewa Ładosza jako b. wiceprzewodniczącego Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” i Jerzego Jarzyńskiego b. przewodniczącego Komisji Zakładowej tego związku przy Hucie Aluminium w Koninie, winnymi tego, że w dniu 14 grudnia 1981 r. w Koninie mimo wprowadzenia stanu wojennego nie zaprzestając działalności związkowej podjęli czynności zmierzające do zorganizowania strajku w Hucie Aluminium w Koninie z tym, że dobrowolnie odstąpili od udziału w strajku – i za to na podstawie art. 46 ust. 2 i 7 dekretu z dn. 12.12. 1981 r. o stanie wojennym Dz. U. nr 29 poz. 154, w związku z art. 4 ust. 1,3

i 4 dekrety z dn. 12.12. 1981r. o postępowaniach szczególnych Dz. U. nr 29 poz. 156 oraz art. 57 skazał ich na kary po 1 roku i 6 miesięcy pozbawienia wolności oraz pozbawił ich praw publicznych na okres po 2 lata.

Na podstawie art. [nieczytelne] Sąd zaliczył okres tymczasowego aresztowania Zbigniewowi Ładoszowi od dnia 15 grudnia 1981 r., a Jerzemu Jarzyńskiemu od 17 grudnia.

Od tego wyroku wniósł rewizję nadzwyczajną Minister Sprawiedliwości i powołując się na podstawy z art. 387 pkt 3 kpk

z a r z u c i ł

błąd w ustaleniach faktycznych przyjętych za podstawę wyroku mający wpływ na jego treść, polegający na przyjęciu, że oskarżeni dobrowolnie odstąpili od strajku, mimo że nie pozwalał na to materiał dowodowy sprawy i

w n i ó s ł

o zmianę zaskarżonego wyroku przez odstąpienie od zastosowanie wobec oskarżonych przepisu art. 26 ust. 7 dekr. z 12.12. 81 r. o stanie wojennym Dz. U. nr 29 poz. 154 i wymierzenie im na podstawie art. 46 ust.2 cyt. dekretu w związku z art. 4 ust.1 i 4 dekretu z 12 grudnia 1981 r. o postępowaniach szczególnych w sprawach o przestępstwa i wykroczeniach w czasie obowiązywania stanu wojennego Dz. U. nr 29 poz. 156 po 5 lat pozbawienia wolności i pozbawienia praw publicznych na odpowiedni okres.

Sąd Najwyższy zważył co następuje

Rewizja nadzwyczajna nie jest zasadna.

Sąd Wojewódzki przeprowadził w pełnym zakresie postępowanie dowodowe i po wnikliwej analizie jego wyników wyprowadził trafne wnioski. W szczególności przedmiotem oceny były wyjaśnienia oskarżonych i zeznania świadków złożone w trakcie postępowania przygotowawczego i na rozprawie głównej.

W zakresie rozważań Sądu I instancji znalazły się wszystkie kwestie określone ramami niniejszego postępowania. Zarzut zawarty w akcie oskarżenia określał działalność obu oskarżonych w dniu 13 i 14 grudnia 1981 r. Sąd Wojewódzki zgodnie z wynikami postępowania dowodowego ograniczył ich działania przebiegające do dnia 14 grudnia 1981 r.

Wbrew twierdzeniom zawartym w rewizji nadzwyczajnej ustalenia faktycznie przyjęte za podstawę wyroku uwzględniają także treść zeznań świadków: T. Ignasiaka, R. Łopaty i Z. Franczaka.

W szczególności zeznania tych świadków nie podważają obrony oskarżonych: Z. Ładosza i J. Jarzyńskiego, że przed godz. 22 w dniu 14 grudnia 1981 r. zaniechali dobrowolnie działalności strajkowej i swoją wówczas postawą wpłynęli pozytywnie w tym względzie na pracowników Huty Aluminium w Koninie, a zwłaszcza na pracowników Wydziału Elektrolizy, gdzie cała akcja się koncentrowała. Za cytowanym na tę podstawę okoliczność fragmentami zeznań świadków w uzasad-

nieniu zaskarżonego wyroku, podkreślić należy fragment zeznań św. Z. Franczaka / I-go Sekr. Kom. Zakł. PZPR/: „W toku dyskusji, jaką prowadziliśmy między godz. 15 a 16, ostrej dyskusji, uważam, że oskarżeni byli z tej grupy najbardziej umiarkowani. Można powiedzieć nawet na zmianę nas godzili z pozostałymi dyskutantami. Ja odczułem, że oskarżeni potrzebowali jakiejś pomocy, pomocy tego rodzaju, żeby mogli się wycofać z twarzą /v k.1/” Ten świadek był też współautorem komunikatu o błędnej treści zamieszczonego na tablicy i podawanego przez radiowęzeł zakładowy, że jeśli akcja strajkowa ustanie do godz.24 dnia 14 grudnia 1981 r., to jej uczestnicy zostaną objęci abolicją.

W dniu 14 grudnia 1981 r. od godz. 16 do 22 nikt z kompetentnych i obowiązanych osób nie interesował się oskarżonymi i innymi uczestnikami strajku na Wydziale Elektrolizy, na którym z przyczyn technologicznych produkcja nie mogła być przerwana i nie była przerwana.

Dodatkowy, zresztą w założeniu słaby argument zawarty w rewizji nadzwyczajnej, że na decyzję o przerwaniu strajku miało wpływ wezwanie telefoniczne osk. J. Jarzyńskiego do KW MO przekazane za pośrednictwem św. Z. Andrzejewskiego, jest o tyle nie przekonujące, że wezwany zgłosił się dopiero w dniu 15 grudnia w godzinach południowych.

Faktem nie podważonym jest, iż akcja strajkowa została przerwana po godz. 21.00 dnia 14 grudnia 1981 r., po wcześniejszym złożeniu stosownego w tym względzie i stanowczego oświadczenia przez św. Wacława Wolickiego w imieniu obu oskarżonych /k.132 akt. SN/. To oświadczenie poprzedziła wypowiedź osk. Zb. Ładosza /ok.godz.17.00/, że bez względu na to co postanowią robotnicy, on i tak idzie do domu”.

Po oświadczeniu św. Walickiego o zakończeniu strajku, obecni zareagowali negatywnie, zarzucając zdradę. Potwierdzają to m. in. świadkowie J. Działkowski /k.132/, B. Adamski /k.136/, T. Gaj /k. 137/, M. Sroczyński /k.156/ i A. Cieluch /k. 130/.

Gwoli ścisłości należy dodać, że siły porządkowe na teren Huty Aluminium przybyły w dniu 15 grudnia 1981 r.

Osk. Jarzyński przybył do Wydziału Elektrolizy Huty nad ranem w dniu 13 grudnia 1981 r. na polecenie dyrektora naczelnego św. R. Łopaty, celem zapobieżenia strajkowi, który organizował Pluta. Dwukrotnie łączył się telefonicznie ok. godz. 5-tej z dyr. Łopatą /będącym w domu/ i informował go o sytuacji. W wyniku tych rozmów o godz. 7.00 był dyrektor na Wydziale Elektrolizy z informacją o wprowadzeniu stanu wojennego. Z powyższej sytuacji i zeznań świadka Franczaka wynika, że osk. J. Jarzyński był człowiekiem umiarkowanym w działaniu i że liczono na jego pomoc.

Obaj oskarżeni uprzednio byli zatrudnieni w produkcji, stąd też byli ludźmi popularnymi w Hucie. Ustalenia dotyczące ich przeszłości zawodowej i postawy obywatelskiej /dot. m.in. prowadzenia domu rodziny zastępczej przez małżeństwo Ładoszów/ są zawarte w uzasadnieniu zaskarżonego wyroku, przeto ich powtarza-

nie jest zbędne, ale podkreślić należy, iż trafnie zostały potraktowane przez Sąd Wojewódzki okoliczności przy wymierzaniu kary obu oskarżonym.

Dowód z zeznań świadka T. Ignasiaka, którego wymieniono w rewizji, nie wspiera jej argumentów, ponieważ nie dotyczy godzin popołudniowych w dniu 14 grudnia 1981 r. i sytuacji na Wydziale Elektrolizy.

W tej sytuacji Sąd Najwyższy nie mógł uwzględnić rewizji nadzwyczajnej złożonej na niekorzyść oskarżonych, ponieważ Sąd w ramach zasadnie poczynionych ustaleń był władny do zastosowania złagodzenia kary określonej w art. 7, art. 46 dekretu z 12.12. 81 r. o stanie wojennym Dz. U. nr 29, poz.154.

Poza granicami rewizji zauważyć należy, iż Sąd Najwyższy stwierdził brak w aktach sprawy dowodu o odbytych posiedzeniach przez Sąd Wojewódzki, do którego jest zobowiązany treścią art. 6 ust. 4 dekretu z dnia 12.12. 1981 r. o postępowaniach szczególnych w sprawach o przestępstwa i wykroczenia w czasie obowiązywania stanu wojennego Dz. U. nr 29 poz. 156.

Poprzedzenie skierowania sprawy na rozprawę główną – posiedzeniem na którym sąd rozstrzyga z u r z ę d u z a s a d n o ś ć rozpatrzenia sprawy w trybie postępowania doraźnego – jest o b l i g a t o r y j n a. Treść decyzji powziętej na tym posiedzeniu stanowi jedyne potwierdzenie uwzględnienia wniosku prokuratora zawartego w akcie oskarżenia co do zastosowania w postępowaniu sądowym trybu doraźnego. Samo przygotowanie i prowadzenie rozprawy z zachowaniem szczególnych wymogów określonych dla tego trybu nie może zastąpić ustawowego wymogu ustalonego w cytowanym na wstępie zapisie wyjątkowym obowiązującym w okresie stanu wojennego.

- 4 -

W dniu 14 grudnia 1981r. od godziny 16 do 22 nikt z kompetentny i zobowiązanych osób nie interesował się oskarżonymi i innymi uczestnikami strajku na Wydziale Elektrolizy na którym z przyczyn technologicznych produkcja nie mogła być przerwana i nie była przerwana.

Podatkowy areszt w sakożeniu sżoby argument sżawarty w rewizji nadawcy sżaszej, że na decyzję o przerwaniu strajku miało wpływ wezwanie telefoniczne osk. J. Jarzyńskiego do EN MO przekazane na pośrednictwie ów. Z. Andrzejewskiego, jest o tyle nie przekonywujące, że wezwany zgłosił się dopiero w dniu 15 grudnia w godzinach popołudniowych.

Faktem nie podważonym jest iż okolicznościowa sżostaż przerwana po godz. 21⁰⁰ dnia 14 grudnia 1981r. po wcześniejszym sżołeniu sżocowego w tym względzie i sżanowoszego ówświadczenia przez ów. Wacława Wołickiego w imieniu obu oskarżonych /k. 132 akt SN /. To ówświadczenie poprzedziła wypowiedź osk. S. Ładomsa /około godz. 17⁰⁰/ że "bez względu na to co postanowi robotnicy oni i tak idą do domu".

Do ówświadczenia ów. Wołickiego w sżołeniu strajku, ówświadczeni oskarżeni negatywnie, sżaszonosząc sżadę. Potwierdzając to M. inn. ówświadczenie J. Dziadkowskiego /k. 132/ B. Adamki /k. 136/ T. Gaj /k. 137/ M. Grochalski /k. 136/ i A. Cielucha /k. 130/.

Ówświadczenie należało dodać że siły porządkowe na terenie Huty Aluminium przybyły w dniu 15 grudnia 1981r.

Osk. Jarzyński przybył do Wydziału Elektrolizy Huty nad renową w dniu 13 grudnia 1981r. na polecenie dyrektora naczelnego ów. R. Łopaty, celem sżapobieżenia strajkowi, który organizował Fluta. Ówświadczenie sżycyż się telefonicznie około godz. 5-tej z dyr. Łopatą /bydącym w domu/ i informował go o sytuacji. W wyniku tych rozmów o godz. 7⁰⁰ był dyrektor na Wydziale Elektrolizy z informacją o wprowadzeniu stanu wojennego. Z powyższej sytuacji i sżesnał ówświadczenia Fronoska wynika że osk. J. Jarzyński był osżówświadczeniem umiarkowanym w działaniu i że liczone na jego pomoc.

Obaj oskarżeni uprzednio byli zatrudnieni w produkcji, sżąd też byli ludźmi popularnymi w Hucie. Ustalenia dotyczące ich przeszości sżawodowej i postawy obywatelskiej /dot. m. inn. prowadzenia domu, rodziny

- 5 -

sastypowej przesłanki, chociaż na skutek w uzasadnieniu zarzucanego wyroku, samo ich postarzenie jest słuszne, ale ponieważ należało, iż trafnie zostały potraktowane przez Sąd Wojewódzki w odniesieniu do zarzutu przy wymiarzeniu kary obu oskarżonym.

Dowód z zeznań świadka T. Ignaciaka, którego wyświadczone w rewizji nie wpierni jej argumentów, ponieważ nie dotyczy podziału popołudniowych w dniu 14 grudnia 1981r. i sytuacji na Wydziale Elektrolizy.

W tej sytuacji Sąd Najwyższy nie mógł uwzględnić rewizji nadzwyczajnej złożonej na niezakazanie oskarżonych, ponieważ Sąd Wojewódzki w ramach zasadnie poczynionych ustaleń był władny do zastosowania reguły zagodzenia kary określonej w ust. 7 art. 45 dekretu z 12.12.81r. o stanie wojennym Dz.U. Nr. 29 poz. 154.

Forma granicami rewizji naukowy należało, iż Sąd Najwyższy stwierdził brak w aktach sprawy dowodu o odbytych posiedzeniach przez Sąd Wojewódzki do którego jest zobowiązany treścią art. 6 ust. 4 dekretu z dn. 12.12.1981r. o ~~postępowaniu w sprawach o przestępstwa i wykroczenia~~ w czasie obowiązywania stanu wojennego Dz.U. Nr. 29 poz. 154.

Poprzedzenie skierowania sprawy na rozprawę główną - posiedzenie na którym sąd rozstrzyga z urzędu zasadność rozpoznania sprawy w trybie postępowania doraźnego - jest obligatoryjne. Treść decyzji powziętej na tym posiedzeniu stanowi jedyne potwierdzenie uwzględnienia wniosku prokuratora skarżącego w akcie oskarżenia co do zastosowania w postępowaniu sądowym trybu doraźnego. Samo przygotowanie i prowadzenie rozprawy z zachowaniem następnym wymogów określonych dla tego trybu nie może nastąpić ustawowego wymogu ustalonego w cytowanym na wstępie napisie wyjątkowym obowiązującym w okresie stanu wojennego.

WYBORY 1989

Z Pawłem Kotlarskim rozmawia Lech Stefaniak

Lech Stefaniak. Wybory parlamentarne w 1989 r. z jednej strony przełamanie monopolu komunistycznego na reprezentację polityczną, z drugiej położenie fundamentów pod III RP, republikę kolesiów, złodziei, wyprzedaży za bezcen majątku narodowego, monopolu medialnego i patologii reform Balcerowicza. Oczywiście proces rozpoczął się wcześniej, transfery pieniędzy, obsadzanie przez zaufanych towarzyszy kluczowych stanowisk itd., jednak dopiero „kompromis” magdaleński i „częściowo wolne” wybory wszystkie te procesy zalegalizowały i przyspieszyły.

Propaganda zawłaszczonych środków przekazu wbiła wszakże do głów, zwłaszcza młodzieży, obraz wyborów 1989 r. jako święta demokracji i wielkiego zwycięstwa, w tym także zwycięstwa „Solidarności”. By wyrobić sobie, zbliżony chociaż do prawdziwego pogląd należy znać fakty, przede wszystkim te z najbliższego otoczenia, miasta, regionu.

Byłeś w tamtych latach wiceprzewodniczącym Tymczasowego Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność”, a z powodu ciężkiej choroby przewodniczącego, Ryszarda Stachowiaka, praktycznie kierowałeś Związkiem w przełomowym 1989 roku. Jak pamiętasz dzień powołania w Koninie Komitetu Obywatelskiego mającego wybrać kandydatów do sejmu i senatu jak nazywano to wówczas -strony solidarnościowej- w wyborach 4 czerwca 1989 roku

Paweł Kotlarski. 16 kwietnia 1989 roku, sala przy kościele świętego Maksymiliana w Koninie. Zebraniu, na którym ma ukonstytuować się skład komitetu, przewodniczy, za ogólną akceptacją, Ireneusz Niewiarowski. Porządek zebrania: powołanie Komitetu Obywatelskiego, odczytanie przez Zaleskiego protokołu zebrania TZR w sprawie wyborów parlamentarnych i powołania KO, czyli jest powołanie się na treść uchwały w tej sprawie Tymczasowego Zarządu Regionu konińskiej Solidarności jako podstawie dla powołania i działania tego Komitetu. Komitet, jak ustalono w porozumieniu punkcie pierwszym, przyjmuje nazwę „Solidarność”... do tego miejsca wszystko dzieje się zgodnie z uchwałami TZR i ustaleniami TZR i Solidarności Rolników Indywidualnych. Natomiast dalej działy się rzeczy przekraczające, co tu dużo mówić... łamiące te ustalenia.

W tym momencie na wniosek Ireneusza Niewiarowskiego zebrani wyrazili zgodę na przybycie na salę obrad i zabranie głosu przez ks. Antoniego Łasę.

LS. To był punkt przełomowy...

PK. No tak, ks. Łassa zaproponował lokal i pomoc w pracy KO, np. zbieranie podpisów, a następnie zaproponował przyjęcie w skład KO dodatkowo 4 osób z Duszpasterstwa Pracowniczego, prezentowano osoby zgłoszone przez księdza, później jeszcze p. Jerzego Góreckiego ze Stowarzyszenia Rodzin Katyńskich.

To całkowicie zburzyło ustalony wcześniej z Rolniczą Solidarnością parytet, który polegał na tym, że o wybraniu kandydatów opozycji miało decydować gremium składające się z równej ilości reprezentantów Solidarności pracowniczey i rolniczej, dwóch z czterech kandydatów miał wskazać Tymczasowy Zarząd Regionu NSZZ Solidarność, a dwóch kolejnych Solidarność rolników. To był nasz - Solidarności ukłon w stronę rolników, których struktury były niewspółmiernie słabsze i mniejsze liczebnie.

Wojciech Zaleski stwierdził, że w takiej sytuacji reprezentacja Duszpasterstwa byłaby nieproporcjonalnie wysoka, ale to już i tak było miękkie...

LS. Oczywiście, przecież przed chwilą odczytano protokół TZR, gdzie jasno określono możliwości i zasady poszerzania składu KO...

PK. Mówi się o za wysokiej reprezentacji Duszpasterstwa, gdy należało powiedzieć: zgodnie z Uchwałą TZR i porozumieniem TZR- RI wpierw wybierzmy kandydatów, a później zaprosimy was do prac w KO, oczywiście po zatwierdzeniu przez założycieli.

Wojtek wchodzi w konwencję i proponuje poszerzenie składu KO o Krzysztofa Dobreckiego z POH. W tym momencie już nic nie wiadomo, czy jego zwrot nie był takim...

LS. Otwarcie dyskusji nad czymś, nad czym w ogóle nie powinno się dyskutować...

PK. W tym wszystkim jest jeszcze taka sprawa: nie bądźmy naiwni, jeżeli w tym gronie, członków Komitetu, byli współpracownicy Służby Bezpieczeństwa (że tacy byli, to wiemy z pewnością, brak jedynie dowodów, że współpracowali w tym okresie, wiosną 1989 r.), to SB-cy byłiby idiotami, gdyby nie realizowali poprzez nich swoich celów. Nie dowiemy się już, jakie to były cele, chyba że zostanie znaleziona odpowiednia teczka...

LS. To bardzo interesujące... Zaproponowane rozszerzenie, dokooptowani ludzie... Członkowie TZR następnego dnia po przyjęciu uchwały głosują wbrew tej uchwale, depczą ją... Członkowie TZR, jak ty, Okoński... Czy możesz to skomentować?

PK. Ja nie byłem członkiem Komitetu Obywatelskiego, nie głosowałem. Na zebraniu u Kolbego, 16 kwietnia, byłem jako wiceprzewodniczący TZR, by prezentować stanowisko „Solidarności” i jako zgłoszony przez TZR kandydat w wyborach.

LS. No dobrze, to nie mogłeś zdyscyplinować ludzi, powiedzieć: kochani, jesteście zobowiązani wczorajszą uchwałą, jak się zachowujecie?

PK. Po latach nie pamiętam już dokładnie mojej reakcji. Na podstawie dostępnego protokołu z zebrania konstytuującego Komitet mnie tam nie ma. Mogło być tak, że było jedynie 6 osób, które zostały wybrane przez TZR, była deklaracja Niewiarowskiego, że jak Komitet się ukonstytuuje, zostaną podjęte decyzje co do kandydatów do parlamentu i prawdopodobnie byłem tylko na drugim zebraniu, tym późniejszym, na którym wybrano kandydatów Komitetu Obywatelskiego w wyborach i byłem zszokowany, tym co zobaczyłem. Byli członkowie Komitetu w tym rozszerzonym już składzie, był ksiądz Antoni Łassa, był Irek Niewiarowski jako Przewodniczący.

Powiedziano mi, że taki jest skład Komitetu, Niewiarowski przedstawił jakiś regulamin wyborów i dowiedziałem się, że przyjechał z Warszawy pan Arendarski, który będzie starał się o nominację na kandydata do sejmiku z województwa konińskiego. Wtedy stwierdziłem, że jest to złamanie uchwały TZR Solidarności w sprawie zasad powołania Komitetu i w tej sytuacji, jako wiceprzewodniczący Tymczasowego Zarządu Regionu rezygnuję z kandydowania w wyborach parlamentarnych i wyszedłem. Tyle pamiętam.

Wszystko odbyło się bardzo szybko. 15 kwietnia podjęto uchwałę TZR, 16. powołano Komitet Obywatelski, z dzisiejszej perspektywy bardzo sprytnie konsumując uchwały TZR w tej sprawie, zabierając nazwę „Solidarność”, przypisując sobie wyłączne kompetencje wyboru kandydatów do Parlamentu.

Pamiętam jeszcze, że po tej mojej jednorazowej obecności na zebraniu Komitetu, jak przyszedłem do domu, zadzwonił Jerzy Żurawiecki mówiąc, że został wybrany kandydatem do sejmiku.

LS. Ale dlaczego tak łatwo zrezygnowałeś. Sam fakt przedstawienia Arendarskiego, jak diabła z pudełka, był wystarczającym powodem, by ogłosić własną rezygnację i wyjść?

PK. Było widoczne, po tym co mi zaprezentowano, że układ sił jest taki: po rozszerzeniu składu Komitetu większość obecnych utożsamia się z linią Irka Niewiarowskiego. Moja obecność, polemika i porażka w głosowaniu tylko ten stan rzeczy usankcjonują.

LS. Jest takie pismo w rodzaju listu otwartego Wojtka Zaleskiego, nie ma daty, z treści wynika jednak, że musiało powstać po 25 maja. Powiadomienie KO w Warszawie o tym, co się wydarzyło w Koninie, o uchwale KO. Zaleski powołuje się na rozmowę (Ewy Zaleskiej) z p. Śleszyńskim z Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym Lechu Wałęsie. Stwierdził on, że Bożena Brzezińska (łącznik KO w Koninie z Warszawą) przekazała mu tak złą opinię o Pawle Kotlarskim, że może rzeczywiście należy znaleźć innego kandydata (pismo cytowane wybiórczo przez Piotra Gołdyna w „Samorządnej Rzeczpospolitej”, Konin 2011).

PK. W związku z moją rezygnacją pojawił się pomysł, by kandydował Wojtek Zaleski, jednak nie było w tej sprawie żadnej uchwały TZR.

Przewodniczący KO Ireneusz Niewiarowski, z mojej perspektywy, świadomie złamał zawarte pomiędzy dwoma Związkami ustalenia i uchwałę Zarządu Regionu, przedstawił też p. Arendarskiego jako członka listy krajowej, przy pełnym poparciu ich patrona – ks. Antoniego Łassy i niestety przy akceptacji części członków TZR delegowanych do Komitetu.

W tej sytuacji uznałem, że nie było sensu forsowania mojej kandydatury w wyborach zgodnie z uchwałą konińskiej Solidarności, która wskazała w uchwale TZR na swoich dwóch reprezentantów, obok mojej osoby także na Jerzego Żurawieckiego. Byliśmy wtedy jednym z lepiej zorganizowanych regionów. Mieliśmy około 2 tysięcy członków zorganizowanych w komisjach zakładowych we wszystkich największych zakładach pracy i kilku międzyzakładowych komisjach - najpoważniejszą strukturę opozycyjną wobec władzy komunistycznej. ...

Przedstawiciel Kościoła w osobie księdza proboszcza Łassy zadeklarował swoją pomoc w wyborach, oferując lokal i pomoc w zbieraniu podpisów przed kościołami. Ja stanąłem wobec takiej sytuacji: jest pewna konstrukcja ogólnopolska i nasza lokalna, czy zacząć od wielkiej awantury i wojny, która będzie wojną o moją osobę...? Uznałem, że należy mówić o zasadach a nie osobie, trzeba zrezygnować, tym bardziej, że jak rozmawiałem z osobami z innych regionów, ten model nie był odosobniony, np. w Poznaniu odsunięty został od kandydowania lider wielkopolskiej Solidarności -Janusz Pałubicki, uznałem więc, że powinienem odejść dla dobra sprawy...

LS. Tylko że w tym przypadku pogwałcone zostały właśnie podstawowe zasady...

PK. Pamiętaj, że miałem wtedy 28 lat, nikt z nas nie miał doświadczenia politycznego, a wzajemne relacje, zabrzmiało to teraz naiwnie, budowaliśmy często na przekonaniu o wzajemnej lojalności i uczciwości. Dla mnie sprawą nadrzędną było wtedy zorganizowanie i wyprowadzenie z podziemia „S”, która była wówczas jedyną legalną organizacją opozycyjną..., nie byłem gotów tym atutem grać, ryzykować.

LS. Tomasz Sędlak, ówczesnie sekret TZR, mówi, że z Ewą Zaleską pojechali do Lecha Kaczyńskiego. Gdyby pojechali kilka dni wcześniej, to sprawy były do odwrócenia...

PK. Nie pamiętam szczegółów w sprawie próby interwencji Związku... Okażało się, że o dzień, dwa było za późno... Kolega Andrzej Rybicki dostał 11 głosów na prawie 30 członków TZR i wszedł do Komitetu jako reprezentant Solidarności. To pokazuje, jak małą popularnością cieszył się wtenczas w TZR pomysł powołania Komitetów. Nie doceniano wagi tej decyzji. Jeśli chodzi o

kandydatury do parlamentu z ramienia konińskiej „S”, to chyba też oprócz mojej i Jerzego Żurawieckiego nie zostały inne zgłoszone. Ja w każdym razie nie pamiętam.

LS. Zostały zgłoszone dwie kandydatury z Koła... i coś nieprawdopodobnego – ludzie nie zostali nawet poinformowani o zebraniu KO, na którym miano dokonać wyboru kandydatów do Sejmu i Senatu (na pytanie W. Zaleskiego, czy kandydaci z Koła zostali poinformowani o zebraniu 17 kwietnia, Niewiarowski lekceważąco odpowiada: nie, nikt nie telefonował, i zgłasza wniosek o ich skreślenie. Za wnioskiem jest 18 osób, jedna przeciw, 1 wstrzymała się.

Na Boga, czy tym ludziom wtedy coś na głowę upadło...?

Jeszcze jeden ciekawy moment. W cytowanym piśmie Zaleskiego ks. Łassa przedstawia Arendarskiego jako członka listy krajowej KO przy Wąlesie. W godzinach dopołudniowych 19 kwietnia dzwoni p. Wujec, prosząc o wysunięcie innego kandydata. Arendarski nie może nim być, bowiem nie ma go na liście krajowej... W tej sprawie wieczorem zbiera się TZR, uchwała niezwłocznie dostarczona zostaje do siedziby KO przy kościele Kolbego i odczytana w obecności ks. Łassy. Ten stwierdza, że uchwała nic nie zmienia, nie ma potrzeby zgłaszania innego kandydata...

20 kwietnia, jak wynika z mojej rozmowy z Wojciechem Zaleskim, nad ranem, do Warszawy wyjechała Bożena Brzezińska, a po południu p. Arendarski już na liście krajowej był.

Mam jeszcze jedno ważne pytanie. Ponoć w lutym 1989 r. ks. Łassa zaprosił działaczy kilku Komisji Zakładowych do siebie i zaproponował powołanie konkurencyjnego Zarządu Regionu

PK. To było zebranie, na zaproszenie ks. Łassy, przedstawicieli większych Komisji Zakładowych, teza była taka: Ryszard Stachowiak leży chory, nie kieruje Związkiem, należy odsunąć Kotlarskiego, władza jest do wzięcia. Krzysztof Buszko, jako szef Solidarności w Kopalni, dostał propozycję objęcia funkcji przewodniczącego... odmówił... Obecni byli jednomyślni, Ryszard Stachowiak jest legalnie i prawnie wybranym przewodniczącym i nie ma o czym mówić. Zebranie zakończyło się więc niczym.

Nawiązując do napięć pomiędzy członkami Solidarności skupionymi wokół parafii św. Kolbego i parafii w Morzysławiu: została wydana książka opisująca gry operacyjne SB dezintegrujące podziemie. Jako modelowy przykład sukcesu podawany jest Konin, gdzie udało się zrealizować jednocześnie dwa ważne cele – uderzyć i podzielić Kościół i osłabić „Solidarność”.

A konsekwencją pęknięcia, związanego z niedotrzymaniem ustaleń w sprawie warunków powołania Komitetu Obywatelskiego ze strony Ireneusza Niewiarowskiego i jego współpracowników, była sytuacja z pierwszych wolnych wyborów do samorządów, gdy w niektórych miastach i gminach kon-

kurowały ze sobą dwa Komitety Obywatelskie, których działalność koordynowały dwie struktury regionalne.

Na poziomie ogólnopolskim „Solidarność”, która przetrwała w podziemiu 8 lat, represje, prześladowania, rozwinęła się w dużą, sprawnie działającą strukturę z tysiącami komisji zakładowych i milionami członków, nagle zrozumiała, że ktoś zawłaszcza jej nazwę i symbolikę, decyduje, że Związek powinien zajmować się zupkami i BHP, a od polityki będziemy „My”, więc również z tego powodu oczywiste było wówczas powstawanie Komitetów Obywatelskich związanych z Zarządem Regionu konińskiej Solidarności.

LS. W rozmowie pojawiło się wiele wątków wartych osobnego omówienia. Dla czystości przekazu, w redakcyjnym opracowaniu oraz z tak zwanej „ostrożności procesowej”, zostały jednak pominięte.

List

Dopisek ręczny Ryszarda Stachowiaka na maszynopisie:

Czuję się obrażony nieprawdziwymi sformułowaniami zawartymi w artykule Stefana Bratkowskiego pt. „Gdzie wtedy byliście?” zamieszczonym w waszej gazecie (Gazeta Wyborcza z 15 stycznia 1990 r.). Proszę więc o zamieszczenie niniejszego sprawozdania.

Ryszard Stachowiak

Przew. ZR NSZZ „S” w Koninie

Nazywam się Ryszard Stachowiak. Jestem przewodniczącym Zarządu Regionalnego NSZZ „Solidarność” nieprzerwanie od 1981 roku. Od lat ciężko choruję na nerki. Choroba ta jest przyczyną mojego wyłączenia się z bezpośredniego kierowania Związkiem.

Dzisiaj jednak nie mogę milczeć. Powodem jest obrzydliwy tekst Stefana Bratkowskiego pt. „Gdzie wtedy byliście?”. Zgadza się tylko z jednym stwierdzeniem tego artykułu, w którym autor mówi, że nie będzie obiektywny. I słowa solennie dotrzymuje. Stwierdza bowiem, że „symbolem oporu Solidarności był ten samotny, dzielny, nieugięty lekarz prześladowany na najrozmaitsze sposoby”. Mowa o obecnym senatorze Ziemi Konińskiej: Kazimierzu Brzezińskim. Artykuł pytając w tytule „Gdzieście wtedy byli sugeruje, że reszta nic nie robiła, a teraz występuje z pretensjami.

Otóż oświadczam, że jest to wstrętne kłamstwo. Wstrętne dlatego, że deprecjonuje wysiłek i cierpienie wielu ludzi, również tych, których w czasie przesłuchań rozbierano do naga i lżono, przystawiano do otwartego okna, bito do krwi, szantażowano zabiciem najbliższych, którym wbijano igły pod paznokcie i maltretowano na sto innych sposobów. Pomija również tych, którzy siedzieli w więzieniach z wieloletnimi wyrokami, zapelniali areszty, płacili ogromne grzywny lub byli wyrzucani z pracy. Pan Bratkowski pyta gdzie wtedy byliśmy? Otóż...

Działaliśmy w Regionalnej Komisji Koordynacyjnej.

Tworzyliśmy jawną Tymczasową Radę (drugą w Polsce).

Tworzyliśmy komitety organizacyjne „S” w zakładach pracy.

Tworzyliśmy niezależne organizacje takie jak Koniński Klub Polityczny „Ład i Wolność” czy działającą od 1985 roku, teraz już ogólnopolską, Polską Organizację Harcerską.

Wydawaliśmy w sumie osiem biuletynów związkowych.

Organizowaliśmy demonstracje, plakatowaliśmy i ulotkowaliśmy miasto, wieszaliśmy flagi Solidarności na liniach wysokiego napięcia.

Zakładaliśmy związkowe kasy samoobrony, zbieraliśmy składki i płaciliśmy zasiłki.

We wszystkich tych działaniach nie było samotnego, nieugiętego i dzielnego lekarza, „prześladowanego na najróżniejsze sposoby”. A jeśli czuł się samotny, to był to tylko jego osobisty wybór. Spotykaliśmy się często i mógł się włączyć w którąkolwiek z wymienionych wyżej inicjatyw. Gdyby tylko chciał. Gdzie był w takim razie dr Brzeziński? Działał w Duszpasterstwie Pracowniczym, a więc wyświetlał filmy, organizował pielgrzymki, robił wystawy, zapraszał redaktora Bratkowskiego. Kolportował również wydawnictwa drugiego obiegu. Prowadził więc działalność, ale żeby zaraz „samotny, dzielny, nieugięty i prześladowany na najrozmaitsze sposoby symbol”

Bratkowski oświadcza, że „najpierw trzeba robić Solidarność praktycznie by mieć prawo na nią się powoływać”. Czy nadal śmie też twierdzić, że ludzie robiący to, co wyżej wymienilem i za to cierpiący nie mają tytułu by się na nią powoływać, a tytuł taki ma tylko dr Brzeziński? A może tytuł taki daje mu fakt zabronienia zorganizowania otwartego zebrania TZR-u w parafii św. Maksymiliana? A może zwołanie za moimi plecami (gdy byłem w szpitalu) zebrania, które miało powołać konkurencyjną władzę związkową w regionie. A może proponowanie mi w tym samym czasie bym zrezygnował z funkcji przewodniczącego Zarządu regionalnego?

I jeszcze jedno sprostowanie. Otóż kłamstwem jest twierdzenie, że „wtedy parafia św. Maksymiliana była jedynym miejscem, gdzie prowadzono działalność społeczno – oświatowo - kulturalną oraz organizowano rolników indywidualnych. Natomiast cała działalność polityczna i organizacyjna Solidarności prowadzona była w parafii św. Wojciecha. W tej parafii powstała i spotykała się Regionalna Komisja Koordynacyjna.

Ukonstytuowała się i publicznie działała Tymczasowa Regionalna Rada „S”.

Funkcjonowała jedyna swoim rodzaju gazeta – tablica ogłoszeń, na której zamieszczano wiadomości o zatrzymaniach, rewizjach itp.

Spotykały się komisje zakładowe.

Święcono robotnicze sztandary.

Od 1982 roku odbywały się comiesięczne msze w intencji Ojczyzny.

Od 1985 roku działała Polska Organizacja Harcerska.

Nie twierdzę, że w konkurencyjnej parafii św. Maksymiliana nic się nie dzia-

ło, ale żeby zaraz twierdzić, że „...była jedynym miejscem, gdzie mówiło się językiem Solidarności i przygotowywało przyszłość, a ci którzy tam się schodzili byli szczęśliwi, że jest takie miejsce...” To już chyba przesada.

Rozumiem, że można robić komuś reklamę. Tylko czy trzeba przy tym rozmiąć się rażąco z faktami? Rozumiem również, że Stefanowi Bratkowskiemu tak dobrze było na parafii św. Maksymiliana, że jak sam stwierdził „nie miał okazji” spotkać się z innymi działaczami. Wiedział jednak o naszych poczynaniach, bo był o nich systematycznie przez nas informowany. Dostał również nasz raport o stanie Solidarności w regionie konińskim. Zawiodła więc pamięć, czy dziennikarska rzetelność.

Podsumowując twierdzę, że ogromna większość inicjatyw i działań związkowych miała miejsce poza parafią św. Maksymiliana i działającym tam dr Kazimierzem Brzezińskim. Ponad to spośród osób prześladowanych w Konińskim za działalność związkową tylko trzy pochodziły z kręgu dr Brzezińskiego. Tak więc teza o wyjątkowości nieugiętego lekarza i pustyni dookoła niego jest, delikatnie mówiąc, nieporozumieniem

Że nie określe tego – na razie – dosadniej.

Ryszard Stachowiak

Przewodniczący ZR NSZZ „S”

W Koninie

LIST OTWARTY**Do prof. Bronisława Geremka – Przewodniczącego
Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego**

W drugim numerze biuletynu „Sami o Sobie” firmowanym przez Komitet Obywatelski „Solidarność” w Koninie ukazał się prowokacyjny artykuł, który skłania mnie do opublikowania pełnej dokumentacji związanej z Komitetem Obywatelskim w Koninie.

Przyzwolenie Związku na samowolę Komitetu w okresie wyborów okazało się pasmem kłopotów, które w różnym czasie owocują w różnej formie. Pierwszym znaczącym sygnałem było stanowisko TKZ NSZZ „Solidarność” Huty Aluminium „Konin” /zał. 1/. Wprawdzie konflikt znalazł rozwiązanie, bo po wyborach zmienił się skład osobowy KZ i współpraca z TZR układała się prawidłowo, ale w pewnym stopniu odzwierciedlała dezinformację inspirowaną przez grupę ludzi związaną z w/w biuletynem. Postawione przez TKZ zarzuty zostały wykorzystane w masowo kolportowanych tuż przed wyborami fałszywych ulotkach.

Mimo moich zastrzeżeń co do sposobu wyłonienia kandydatów, całkowicie podporządkowałam się celom nadrzędnym i pełniąc funkcję członka Krajowej Komisji Interwencji i Praworządności gromadziłam i przekazywałam informacje o wszelkich działaniach przeciwko kandydatom. Moja informacja o fałszywych ulotkach /zał. Nr 2/ była jedyną, bo KO w tej sprawie nie wypowiedział się, chociaż należało to zrobić, bo treść ulotek oczerniała również Związek.

Od początku swego istnienia KO nie współpracował ze Związkiem, więcej, wszelkie działania tej grupy zmierzają do podkreślenia różnic celem zdrażnienia sytuacji w Regionie. Przykładem jest wykorzystanie listu Przewodniczącego TZR NSZZ „S” przebywającego na leczeniu w Gryficach /KO otrzymał go do wiadomości/ zestawiając treść tego listu z listem przewodniczącego KO „S” Ireneusza Niewiarowskiego. Opublikowanie tych listów w kolportowanym szeroko „Ekspresie Wyborczym nr 3” /zał. Nr 3/ w sposób nieuczciwy sugerowało „boje” wewnątrzwiązkowe. Być może intencją redakcji był apel o pomoc i włączenie się w kampanię, ale ten cel można było

osiągnąć tekstem wspólnie podpisanym przez przedstawicieli KO i Związku. Zestawienie treści jak w „EW nr 3” skupiło uwagę na insynuacjach wynikających z pomówień, bezpodstawnych podejrzeń i zbędnych ambicji. Szczególnie kłamliwe jest oskarżenie o antagonizmy między parafiami, w których w minionym okresie skupiały się niezależne działania.

Jak wygląda prawda wiedzą wszyscy, którzy w minionym okresie starali się być wierni „Solidarności” i walczyli o jej legalizację. Nie naszą jest winą, że dla tych ludzi nie było miejsca w parafii św. Maksymiliana Kolbe. Zarzut postawiony przez hutników w liście do Prezydium TZR, że wprowadzamy podział, choć „wszędzie jest ten sam Bóg” nie powinien być skierowany pod naszym adresem. Właśnie dlatego, że „wszędzie jest ten sam Bóg” uznaliśmy, że nieważne, w jakiej parafii będziemy się modlić. Wybraliśmy więc tę parafię, w której nie zarzucano nam nielegalnych działań.

Jako łaskę od Boga możemy uznać fakt, że w tym czasie proboszczem Parafii św. Wojciecha był kapłan otwarty dla każdego człowieka, dla każdej inicjatywy. Z jego pomocą mogliśmy odnaleźć się na nowo i przetrwać czas najtrudniejszy. Z jego pomocą gromadziliśmy symbole – sztandary, do których dziś przyznaje się autor artykułu /Z.O./ w broszurze „Sami o Sobie” zatytułowanego „Kolejna pielgrzymka” /str. 4/. Ten okres pamiętać jednak mogą ci, którzy w czasie Mszy w intencji Ojczyzny co miesiąc wołali do Boga o rzeczy po ludzku niemożliwe.

Znamiennym jest fakt, że w czasie tych spotkań nie było i nie ma z nami „naszych” parlamentarzystów. Od początku powstania Związku nie był on i nie jest podzielony. Przewodniczący wybrany na Zjeździe w 1981 roku mimo choroby nadal spełniał swoją funkcję. Szokujący dla nas był fakt, że tuż przed wydarzeniami powołania Komitetu Obywatelskiego ksiądz Proboszcz parafii św. Maksymiliana zwołał wybranych przedstawicieli Związku w Regionie proponując „przejęcie władzy w swoje ręce „. Wobec odmowy tego aktu misję tworzenia „nowego” przyjął na siebie obecny senator, lekarz, i udał się do leżącego w szpitalu Przewodniczącego TZR nakłaniając go do ustąpienia z funkcji.

Zdecydowana postawa kolegów, którzy z nim pracowali od lat, spowodowała, że nie ustąpił. Był przecież z nami przez wszystkie te lata. Wspólnie prowadziliśmy walkę nie zważając, czy metody są legalne. Ta walka, a także fakt, że Związek jest najsilniejszą niezależną grupą w Regionie, dawały nam moralne prawo do decydującego głosu w tworzącym się Komitecie Obywatelskim.

Stało się jednak inaczej, bo doszło do wymuszenia zmiany układu sił w składzie KO, Uważam, że cała akcja została z premedytacją zaplanowana, z całym przekonaniem czynię za to odpowiedzialnym przewodniczącego TWRR „Solidarność „ a zarazem przewodniczącego Komitetu Obywatelskiego, Ire-

neusza Niewiarowskiego /obecnie senatora /, który swą postawą umożliwił wszelkie działania eliminujące rolę naszego Związku w Komitecie Obywatelskim, realizował bowiem politykę gospodarza spotkania, proboszcza parafii św. Maksymiliana Kolbe wobec władz regionalnych Związku.

Doprowadziło to do tego, że większość członków w KO stanowili ludzie, którzy w minionych latach mieli nam za złe nielegalne działania, sztandary i wyciągnięte na „V” palce. Ci ludzie odcinali się w przeszłości od nas pod pretekstem naszych nielegalnych metod walki, Teraz nie przeszkadzało im jednak korzystanie z autorytetu i symbolu Związku. Równowagę sił zachwiało przystąpienie do prac w KO kilkusobowej reprezentacji Duszpasterstwa Pracowniczego, które nie tyle jest środowiskiem, co instytucją.

Styl pracy Duszpasterstwa spowodował, że przewinięto się przez nie wielu ludzi, którzy potem odchodzili pełni żalu i oburzenia, Nigdy nikogo nie uszanowano wymagając absolutnego posłuszeństwa. Spotkania, wykłady, filmy, imprezy kulturalne miały swoją cenę w myśl zasady, tylko to ma wartość, co kosztuje. Zapraszani goście nie znając rzeczywistości byli pod urokiem jednej strony. Efekty tego zaowocowały po latach, gdy zaprzyjaźnieni goście z Warszawy ponad wolę władzy związkowej postawili dążenia Księdza Prałata. Nigdy nie zwalczaaliśmy Duszpasterstwa Pracowniczego, bo pomijając metody pracy, głosili jednak społeczną naukę Kościoła. Niemożliwa była jednak współpraca, bo każdą próbę współpracy z naszej strony odrzucano.

Chcąc przełamać antagonizmy w lutym b.r. zwróciliśmy się z prośbą o zgodę na zorganizowanie otwartego zebrania TZR na terenie parafii św. Maksymiliana w Koninie, zwłaszcza że warunki tam istniejące były po temu odpowiednie. Zgody tej niestety nie otrzymaliśmy, wobec czego spotkanie odbyło się znów w parafii św. Wojciecha.

Wcześniej nie do przyjęcia były nawet wspólne pielgrzymki. Zawsze zaznaczano swoją odrębność, by nikt nie utożsamiał Duszpasterstwa z naszą „niebezpieczną” postawą. Ta odrębność miała zasadniczą korzyść - nie bciążała nas stylem pracy i życia w parafii św. Maksymiliana. Byliśmy wyłączeni z niewybrednych komentarzy, jakie padały pod adresem tej grupy.

Przyjęcie przez Komitet Obywatelski nazwy „Solidarność” spowodowało utożsamianie nas ze wszystkim, co nie przynosi chwały ani Kościołowi, ani nam. Tylko dlatego, by nie obciążano Związku zarzutami, które nas nie dotyczą, zaproponowałam na posiedzeniu TZR w dniu 30.04 b.r. treść oświadczenia, które załączam /zał. nr 4 /. W dyskusji sugerowano, że jest to atak na KO. W moim pojęciu nie był to atak, ale rzetelna informacja, do której jesteśmy zobowiązani przed członkami Związku. Emocje nie pozwoliły na trzeźwą ocenę proponowanej treści, wobec czego wniosek wycofałam. Efekt jest taki, że wszystkie pretensje i uwagi pod adresem osób z Komitetu Obywatelskiego kierowane są do Związku.

Wysunięte przez Komitet Obywatelski kandydatury były kontrowersyjne, Tłumaczenie nam, że nie liczą się osoby, bo do wyborów idziemy blokiem, jest w znacznym stopniu nieuczciwe. Start w bloku też zobowiązuje do przestrzegania najwyższych wartości moralnych. Zobowiązuje też do lojalności wobec Związku.

Tymczasem lekarz, przewodniczący Tymczasowej Komisji Zakładowej NSZZ „S”, członek TZR, nie zwrócił się o poparcie do tego grona, ale swą kandydaturę zgłosił jako rolnik. Lekceważenie Związku, który kandydatom uczcił swego symbolu sięgało dalej, bo na wiecu 3 maja tenże lekarz oświadczył, że kandydatów musiał zatwierdzić Kościół, a potem Warszawa, co wywołało oburzenie wielu uczestników wiecu. O ile się orientuję, nigdzie nie zdarzyła się ingerencja Kościoła w te sprawy.

Ksiądz Łassa to jeszcze nie Kościół. Fakt, że ksiądz Łassa bez wiedzy i woli Związku zaprosił do kandydowania w Koninie p. Arendarskiego nie oznacza, że była to wola Kościoła. /Istotne jest, że p. Arendarski w chwili wystawienia kandydatury nie był na liście krajowej./ Tymczasem Związkowi zarzucano stare praktyki /przywożenie w teczce / i lekceważenie wymogów moralnych względem kandydata.

Wielu z nas, świadomych nieprawidłowych działań Komitetu Obywatelskiego postawiono przed dylematem poparcia akcji wyborczej, bo względy etyczno-moralne skłaniały do negacji. Powstał dylemat, bo działanie zgodne z sumieniem mogło spowodować utratę miejsc w Sejmie i Senacie.

Świadomość, że te wybory musimy wygrać skłaniała do poparcia wbrew własnemu sumieniu, a nie ambicjom - jak nas posądzano. Każde rozwiązanie było złe. Jest to wynik nieodpowiedzialnych działań, tupetu, prymitywnych ambicji i wreszcie braku szacunku dla pracy wielu, często osamotnionych w walce o istnienie „Solidarności „ „Solidarności „, która swym symbolem i autorytetem zapewniała poparcie dla kandydatów nie zawsze z symbolem się utożsamiających.

Tragedią dla nas było to, że wszystko stało się pod patronatem i z pomocą kapłana, który reprezentuje Kościół, do którego i my należymy. Więcej, doprowadziło do absurdu, bo o ile walka z „czerwonym „ o prawo do prawdy przyjmowana jest pozytywnie, o tyle w przypadku, gdy stroną jest kapłan, rzuca podejrzenie o współpracę ze wspólnym wrogiem. Związek nasz jest i powinien pozostać niezależny, wszystkich członków Związek do niezależności zobowiązuje.

Nie należało godzić się na układy wynikające z takich czy innych wpływów, tworzenie faktów dokonanych, manipulacje itp. Wszystko to jest złem, bez względu na to, czy robi to czerwony, czy ktokolwiek inny. Kłamstwo pozo-

staje kłamstwem bez względu na to, czy jest małe, czy duże, czy kłamie swój, czy przeciwnik. Trzeba nam rozumieć, dla kogo „Solidarność” jest środkiem, a dla kogo celem. Wtedy pozostaniemy rzeczywiście niezależni.

Przed ostateczną decyzją Warszawa była skłonna zmienić kandydatury / telefoniczna rozmowa vice przewodniczącego TZR z p. Wielowieyskim /, ale ksiądz Prałat nie zgodził się na żadne zmiany. M i m o t o T Z R n i e p o d j ą ł d e c y z j i o b o j k o c i e.

W tym momencie przychodzi mi na myśl scena z „Kredowego koła „. Rzecz jednak w tym, że to nie spektakl, a samo życie. Naszym największym obowiązkiem jest zbudować silny, niezależny Związek, To, co robi grupa ludzi pozostała w Regionalnym Komitecie Obywatelskim w Koninie nie służy temu, a wręcz przeciwnie, zmierza do rozbicia.

Kłopoty z Regionalnym Komitetem Obywatelskim nie zakończyły się z chwilą zwycięstwa wyborczego. Trzech z pośród czterech parlamentarzystów nie współpracuje z nami, biuro poselsko-senatorskie dla nich znajduje się na terenie parafii św. M. Kolbe. Wydali o sobie gazetę. Rzeczywiście o sobie, bo chociaż nazw organizacji w tytule jest wiele, to na czele wszystkich stoją te same osoby. Piszą więc co chcą, robią co chcą, zgodnie, w grupie kilku osób podbudowując swój wątpliwy autorytet faktem działania przy parafii.

Znamiennym tego działania przykładem jest artykuł redakcyjny „Czy to Solidarność?”. Treść tego artykułu i załączone przeze mnie dokumenty mówią same za siebie. Pytam jednak, jak długo potrwa nadużywanie autorytetu Kościoła, Związku i ruchu Komitetów Obywatelskich ?

Do wiadomości otrzymują :

- JE Ksiądz Biskup Diecezji Włocławskiej
dr Henryk Muszyński
- Przewodniczący NSZZ „Solidarność”
Lech Wałęsa
- Redaktor Naczelny tygodnika „Solidarność”
Jarosław Kaczyński

Zaleska

**Tymczasowa Komisja Zakładowa
NSZZ „Solidarność”
Huty Aluminium „Konin”
w Koninie**

Tymczasowy Zarząd Regionalny
NSZZ „Solidarność”
w Koninie

Informujemy, że komunikat nr 7 TKA NSZZ „Solidarność” w Hucie Aluminium „Konin” tak „wnikliwie” analizowany na Waszym posiedzeniu w dniu 19 maja br. jest prawdziwy. Jest on jednak naszą wyłączną sprawą wewnętrzną i nie mamy zamiaru składać na ten temat szerszych wyjaśnień ani się usprawiedliwiać. Nie oznacza on jednak wcale poparcia dla dyrektora Huty w nadchodzących wyborach. Wynika to jednoznacznie z jego treści /tzn. komunikatu. Jest bowiem różnica i to zasadnicza między umożliwieniem komuś wzięcia udziału w zawodach, a kibicowaniem za nim.

TKZ NSZZ „S” w Hucie popiera kandydatów wystawionych przez Komitet Obywatelski „Solidarność” w Koninie, agituje i będzie agitować na ich rzecz. Do oceny treści i zasadności wydania tego komunikatu ma prawo każdy członek Związku a więc i Wy, regionalna władza tego Związku, każda krytyka powinna być jednak rzeczowa i mieścić się w ramach norm przyjętych przez cywilizowaną społeczność. A jak Wy postąpiliście? Do szczegółów nie będziemy się ustosunkowywać. Mogły zostać przejawione. Zwracamy wyłącznie uwagę na zasadnicze elementy tej sprawy. Jakim prawem wy nas ganiecie, pouczaacie a nawet opluwacie, skoro sami

- nadal toczycie wewnętrzne podjazdowe „boje” i prowadzicie działalność, która osłabia pozycję kandydatów wystawionych przez Komitet Obywatelski „Solidarność”

- w imię jakich partykularnych interesów i interesików wzniecacie antagonizmy między parafiami św. Wojciecha i św. Kolbego i dzielcie się na zwolenników tej i tamtej parafii. Nawet religia nie jest dla was żadną świętością. Czy w parafii św. Wojciecha jest inny Bóg niż w parafii św. Kolbego?

Sądzymy, że te wyliczanki wystarczą. Oczywiście, powyższe uwagi nie dotyczą całego składu osobowego TZR lecz tylko i wyłącznie tej rozhisteryzowanej grupki, która w imię swoich przyziemnych interesików prowadzi politykę poróżnienia i wewnętrznego rozkładu. Dla dobra NSZZ „Solidarność” ludzie

ci powinni jak najprędzej odejść sami lub zostać wyrzuceni z TZR. Dobrze byłoby sprawdzić, kogo reprezentują i kto im udzielił mandatu ?

Na posiedzeniu w dniu 24 maja 1989 Tymczasowa Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” w HAK postanowiła do czasu wyboru statutowych władz Związku w Regionie tj. do czasu ukonstytuowania się Zarządu Regionu:

- nie uczestniczyć w żadnej formie w pracach TZR oraz wycofać mandat udzielony przedstawicielowi naszej komisji
- uczestniczyć w pracach i udzielać wszelkiej możliwej pomocy Komitetowi Obywatelskiemu „Solidarność”

Ewentualne rozmowy możemy podjąć tylko z Przewodniczącym TZR Ryszardem Stachowiakiem. Dla przypomnienia, ku rozwadze pozwalamy sobie zacytować fragmenty jego listu z dn. 12 maja 1989: „ Tak więc wybory i tworzenie Związku są w chwili obecnej jednakowo ważne, Dlatego te dwa nurty muszą się wzajemnie wspierać. Realizacja naszych celów wymaga bowiem całkowitej jedności i współdziałania. Wymaga rezygnacji - w imię najwyższych celów - z urazów, ambicji, czy słuszych nawet pretensji ...

*Tymczasowa Komisja Zakładowa
NSZZ „Solidarność”*

Załącznik nr 2

KKliP NSZZ „Solidarność”

W nocy z 31.05/ 1.06 na terenie Konina rozlepiono mnóstwo ulotek sygnowanych fałszywie pieczęcią „Solidarność ...”. Wśród 7 rodzajów ulotek 5 było wykonanych techniką powielaczową, 2 drukowane. Ulotki w sposób kłamliwy informują o sytuacji w Regionie Konińskim, nawołują do bojkotu głosowania powołując się na rzekomo działającą grupę Andrzeja Gwiazdy /który nigdy nie był na terenie naszego Regionu /. Nie ma żadnego podziału w Regionie, jak to sugeruje treść ulotki, Komitet Obywatelski działa niezależnie na mocy absolutnego pełnomocnictwa udzielonego mu uchwałą TZR NSZZ „Solidarność”

**TYGODNIK REGIONALNEGO KOMITETU
OBYWATELSKIEGO „SOLIDARNOSC”****DODATEK NADZWYCZAJNY**

L I S T

**PRZEWODNICZĄCEGO TYMCZASOWEGO ZARZĄDU NSZZ SOLIDARNOŚĆ
REG, KONIŃSKIEGO RYSZARDA STACHOWIAKA DO CZŁONKÓW I SYMPA-
TYKÓW ZWIĄZKU’**

Stoimy przed kolejną szansą naprawy Rzeczypospolitej. Szansy tej nie wolno nam zmarnować, Nasza presja na jej rzecz musi być jednak poparta zorganizowaną siłą nacisku. Jest wiele nurtów dążących do realizacji oczekiwanych przez społeczeństwo przeobrażeń. Zdać sobie jednak musimy sprawę z tego, że bez silnej „Solidarności” nasze nadzieje mogą się okazać bez pokrycia. To nakłada szczególne obowiązki na członków naszego Ruchu.

Najważniejsze zadania, jakie stoją przed nami, to zachowanie jedności i właściwy wybór celów, Ruch nasz musi w najbliższym czasie zrobić dwie rzeczy: zorganizować Związek i w maksymalnym stopniu wygrać to, co w obecnych wyborach jest do wygrania.

Przegranie wyborów pozbawia nas bowiem realnego wpływu na proces odbudowy kraju składając go w ręce koalicji rządowej. Jakże to niesie za sobą zagrożenia nie muszę dodawać, Trzeba więc skupić się wokół programu i kandydatów „Solidarności”.

Dlatego uważam, że wszyscy /każdy według własnych możliwości/ musimy wziąć udział w kampanii wyborczej, a w wyborach głosować na naszych kandydatów. Nie widzę takiego argumentu, który zwalniałby członków „Solidarności” z takiego obowiązku.

Zbyt wielkie ofiary poniesiono w walce o wolną Polskę, żeby teraz – kiedy cel się przybliży - sprawę przegrać. Aby tak się stało, musimy jednocześnie realizować nasz drugi cel- organizowanie NSZZ „Solidarność”. Bez tego głos naszych posłów i senatorów nie będzie miał znaczenia, Każde bowiem reformatorskie działanie musi mieć społeczne wsparcie. To wsparcie o odpowiedniej sile może dać jedynie nasz Związek. Dlatego musi być liczny i dobrze zorganizowany. Wtedy z kolei jego interesy będą rzetelnie reprezentowane w Parlamencie. Tak więc wybory i tworzenie Związku są w chwili obecnej jednakowo ważne. Dlatego te dwa nurty muszą się wzajemnie wspierać. Nie chodzi tu o to by zastępowały się wzajemnie w swych działaniach, lecz o to

by udzielały sobie nawzajem maksymalnego poparcia, Realizacja naszych celów wymaga bowiem całkowitej jedności i współdziałania.

Wymaga rezygnacji - w imię najwyższych celów- z urazów, ambicji, czy słuszych nawet pretensji. Nadszedł czas, w którym możemy wiele wygrać, ale możemy też wiele przegrać, Historia daje nam wielką szansę, Jeśli ją stracimy, pretensje będziemy mogli mieć wyłącznie do siebie.

Gryfice, dnia 12 Maja 1989 roku

*Przewodniczący TZR NSZZ
Solidarność „Regionu Konińskiego
Ryszard Stachowiak*

Załącznik Nr 4

Projekt oświadczenia TZR NSZZ „Solidarność „

Ponieważ Związek bezpośrednio nie bierze udziału w wyborach, sprawę wyłonienia kandydatów do Sejmu i Senatu TZR NSZZ „Solidarność „ powierzył Komitetowi Wyborczemu w Koninie. W tym celu wspólnie z NSZZ RI „Solidarność „ wybrano grupę członków - założycieli z obu Związków i uchwałą TZR udzielił im pełnomocnictwa w celu przeprowadzenia kampanii wyborczej. Komitet Obywatelski na czas wyborów przyjął nazwę Komitet Wyborczy „Solidarność „ i rozszerzył skład osobowy o przedstawicieli Duszpasterstwa Pracowniczego - 4 osoby, Duszpasterstwa Pracowniczego Turek - 1 osoba, Klub Polityczny „Ład i Wolność” - 2 osoby, Stowarzyszenie KATYN - 1 osoba oraz POH - 1 osoba.

Niezgodnie z wcześniejszymi ustaleniami członków - założycieli działania w Komitecie Wyborczym sprawiły, że TZR NSZZ „Solidarność „ faktycznie nie miał wpływu na wyłonienie kandydatur, dlatego odpowiedzialność za skład osobowy kandydatów spoczywa na Komitecie Wyborczym „Solidarność „ w Koninie z siedzibą w parafii św. Maksymiliana Kolbe.

Ewa Zaleska
ul. Wyzwolenia 23/6
62-510 Konin

LIST OTWARTY

do prof. Bronisława Geremka - Przewodniczącego Obywatelskiego
Klubu Parlamentarnego

W drugim numerze biuletynu " Sami o Sobie " firmowanym przez Komitet Obywatelski " Solidarność " w Koninie ukazał się prowokacyjny artykuł, który skłania mnie do opublikowania pełnej dokumentacji związanej z Komitetem Obywatelskim w Koninie. Przyszłemu Związkowi na samowolę Komitetu w okresie wyborów okazało się pasmem kłopotów, które w różnym czasie owocują w różnej formie. Pierwszym znaczącym sygnałem było stanowisko TKZ NSZZ " Solidarność " Huty Aluminium " Konin " / zał. 1/. Wprawdzie konflikt znalazł rozwiązanie, bo po wyborach zmienił się skład osobowy KZ i współpraca z TZR układa się prawidłowo, ale w pewnym stopniu odzwierciedla dezinformację inspirowaną przez grupę ludzi związaną z w/w biuletynem. Postawione przez TKZ zarzuty zostały wykorzystane w masowo kolportowanych tuż przed wyborami fałszywych ulotkach.

Mimo moich zastrzeżeń co do sposobu wykonienia kandydatów, całkowicie podporządkowałam się celom nadrzędnym i pełniąc funkcję członka Krajowej Komisji Interwencji i Praworządności gromadziłam i przekazywałam informacje o wszelkich działaniach przeciwko kandydatom. Moja informacja o fałszywych ulotkach / zał. 2 / była jedyną bo KO w tej sprawie nie wypowiedział się, chociaż należało to zrobić, bo treść ulotek oczerniała również Związek.

Od początku swego istnienia KO nie współpracował ze Związkiem, więcej, wszelkie działania tej grupy zmierzają do podkreślenia różnic celem zadrążnienia sytuacji w Regionie. Przykładem jest wykorzystanie listu Przewodniczącego TZR NSZZ " S " przebywającego na leczeniu w Gryficach / KO otrzymał go do wiadomości / zestawiając treść tego listu z listem przewodniczącego KO " S " Ireneusza Niewiarowskiego. Opublikowanie tych listów w kolportowanym szeroko " Expressie Wyborczym nr 3 " / zał. nr 3 / w sposób nieuczciwy sugerowało " boje " wewnątrzwiązkowe. Być może intencją redakcji był apel o pomoc i włączenie się w kampanię, ale ten cel można było osiągnąć tekstem wspólnie podpisanym przez przedstawicieli KO i Związku. Zestawienie treści jak w "EW nr 3 " skupiło uwagę na insynuacjach wynikających z pomówień, bezpodstawnych podejrzeń i zbędnych ambicji. Szczególnie kłamliwe jest oskarżenie o antagonizmy między parafiami, w których w minionym okresie skupiały się niezależne działania.

- 2 -

Jak wygląda prawda wiedzą wszyscy, którzy w minionym okresie starali się być wierni "Solidarności" i walczyli o Jej legalizację. Nie naszą jest wina, że dla tych ludzi nie było miejsca w parafii św. Maksymiliana Kolbe. Zarzut postawiony przez hutników w liście do Prezydium TZR, że wprowadzamy podział, choć "wszędzie jest ten sam Bóg" nie powinien być skierowany pod naszym adresem. Właśnie dlatego, że "wszędzie jest ten sam Bóg" uznaliśmy, że nieważne, w jakiej parafii będziemy się modlić. Wybraliśmy więc tę parafię, w której nie zarzucano nam nielegalnych działań. Jako łaskę od Boga możemy uznać fakt, że w tym czasie Proboszczem Parafii św. Wojciecha był kapłan otwarty dla każdego człowieka, dla każdej inicjatywy. Z Jego pomocą mogliśmy odnaleźć się na nowo i przetrwać czas najtrudniejszy. Z Jego pomocą gromadziliśmy symbole - sztandary, do których dziś przynajmniej się autor artykułu / Z.O. / w breszurze "Sam o Sobie" zatytułowanego "Kolejna pielgrzymka" / str 4 /. Ten okres jednak pamiętać mogą ci, którzy w czasie Mszy w intencji Ojczyzny co miesiąc wołali do Boga o rzeczy po ludzku niemożliwe. Znamiennym jest fakt, że w czasie tych spotkań nie było i nie ma z nami "naszych" parlamentarzystów. Od początku powstania Związku nie był on i nie jest podzielony. Przewodniczący wybrany na Zjeździe w 1981 roku mimo choroby nadal spełniał swoją funkcję. Szokującą dla nas była fakt, że tuż przed wydarzeniami powołania Komitetu Obywatelskiego ksiądz Proboszcz parafii św. Maksymiliana zwołał wybranych przedstawicieli Związku w regionie proponując "przejęcie władzy w swoje ręce". Wobec odmowy tego aktu misję tworzenia "nowego" przyjął na siebie obecny senator, lekarz i udał się do leżącego w szpitalu Przewodniczącego TZR nakłaniając go do ustąpienia z funkcji. Zdecydowana postawa kolegów, którzy z nim pracowali od lat spowodowała, że nie ustąpił. Był przecież z nami przez wszystkie te lata. Wspólnie prowadziliśmy walkę nie zważając, czy metody są legalne. Ta walka, a także fakt, że Związek jest najsilniejszą niezależną grupą w Regionie dawały nam moralne prawo do decydującego głosu w tworzącym się Komitecie Obywatelskim. Stało się jednak inaczej, bo doszło do wymuszenia zmiany układu sił w składzie KO. Uważam, że cała akcja została z premedytacją zaplanowana. Z całym przekonaniem czynię za to odpowiedzialnym przewodniczącego TWRR "Solidarność" a zarazem przewodniczącego Komitetu Obywatelskiego Ireneusza Niewiarowskiego / obecnie senatora /, który swą postawą umożliwił wszelkie działania eliminujące rolę naszego Związku w Komitecie Obywatelskim, realizował bowiem politykę gospodarza spotkania, proboszcza parafii św. Maksymiliana Kolbe wobec władz regionalnych Związku. Doprowadziło to do tego, że większość członków w KO stanowili ludzie, którzy w minionych latach mieli nam za złe nielegalne działania, sztandary i wyciągnięte na "V" palce. Ci ludzie odcinali się w przeszłość-

ci od nas pod pretekstem naszych nielegalnych metod walki. Teraz nie przeszkadzało im jednak korzystanie z autorytetu i symbolu Związku. Równowagę sił zachwiała przystąpienie do prac w K O kilkusetosobowej reprezentacji Duszpasterstwa Pracowniczego, które nie tyle jest środowiskiem, co instytucją.

Styl pracy Duszpasterstwa spowodował, że przewinęło się przez nie wielu ludzi, którzy potem odchodzili pełni żalu i oburzenia. Nigdy nikogo nie uszanowano wymagając absolutnego posłuszeństwa. Spotkania, wykłady, filmy, imprezy kulturalne miały swoją cenę w myśl zasady, tylko to ma wartość, co kosztuje. Zapraszani goście nie znając rzeczywistości byli pod urokiem jednej strony. Efekty tego zaowocowały po latach, gdy zaprzyjaźnieni goście z Warszawy ponad wolę władzy związkowej postawili dążenia Księdza Prałata. Nigdy nie zwalczyliśmy Duszpasterstwa Pracowniczego, bo pomijając metody pracy, głosili jednak społeczną naukę Kościoła. Niemożliwa była jednak współpraca, bo każdą próbę współpracy z naszej strony odrzucano. Chcąc przełamać antagonizmy w lutym b.r. zwróciliśmy się z prośbą o zgodę na zorganizowanie otwartego zebrania TZR na terenie parafii św. Maksymiliana w Koninie, zwłaszcza że warunki tam istniejące były po temu odpowiednie. Zgody tej niestety nie otrzymaliśmy, wobec czego spotkanie odbyło się znów w parafii św. Wojciecha.

Wcześniej nie do przyjęcia były nawet wspólne pielgrzymki. Zawsze zaznaczano swoją odrębność, by nikt nie utożsamiał Duszpasterstwa z naszą "niebezpieczną" postawą. Ta odrębność miała zasadniczą korzyść - nie obciążała nas stylem pracy i życia w parafii św. Maksymiliana. Byliśmy wyłączeni z niewybrednych komentarzy, jakie padały pod adresem tej grupy.

Przyjęcie przez Komitet Obywatelski nazwy "Solidarność" spowodowało utożsamianie nas ze wszystkim, co nie przynosi chwały ani Kościołowi, ani nam. Tylko dlatego, by nie obciążano Związku zarzutami, które nas nie dotyczą, zaproponowałam na posiedzeniu TZR w dniu 30.04 b.r. treść oświadczenia, które załączam / zał. nr 4 /. W dyskusji sugerowano, że jest to atak na KO. W moim pojęciu nie był to atak, ale rzetelna informacja, do której jesteśmy zobowiązani przed członkami Związku. Emocje nie pozwoliły na trzeźwą ocenę proponowanej treści, wobec czego wniosek wycofałam. Efekt jest taki, że wszystkie pretensje i uwagi pod adresem osób z Komitetu Obywatelskiego kierowane są do Związku.

Wysunięte przez Komitet Obywatelski kandydatury były kontrowersyjne. Trumaczenie nam, że nie liczą się osoby, bo do wyborów idziemy blokiem jest w znacznym stopniu nieuczciwe. Start w bloku też zobowiązuje do przestrzegania najwyższych wartości moralnych. Zobowiązuje też do lojalności wobec Związku. Tymczasem lekarz, przewodniczący Tymczasowej

ci od nas pod pretekstem naszych nielegalnych metod walki. Teraz nie przeszkadzało im jednak korzystanie z autorytetu i symbolu Związku. Równowagę sił zachwiała przystąpienie do prac w K O kilkusetosobowej reprezentacji Duszpasterstwa Pracowniczego, które nie tyle jest środowiskiem, co instytucją.

Styl pracy Duszpasterstwa spowodował, że przewinięło się przez nie wielu ludzi, którzy potem odchodzili pełni żalu i oburzenia. Nigdy nikogo nie uszanowano wymagając absolutnego posłuszeństwa. Spotkania, wykłady, filmy, imprezy kulturalne miały swoją cenę w myśl zasady, tylko to ma wartość, co kosztuje. Zapraszani goście nie znając rzeczywistości byli pod urokiem jednej strony. Efekty tego zaowocowały po latach, gdy zaprzyjaźnieni goście z Warszawy ponad wolę władzy związkowej postawili dążenia Księdza Prałata. Nigdy nie zwalczyliśmy Duszpasterstwa Pracowniczego, bo pomijając metody pracy, głosili jednak społeczną naukę Kościoła. Niemożliwa była jednak współpraca, bo każdą próbę współpracy z naszej strony odrzucano. Chcąc przełamać antagonizmy w lutym b.r. zwróciliśmy się z prośbą o zgodę na zorganizowanie otwartego zebrania TZR na terenie parafii św. Maksymiliana w Koninie, zwłaszcza że warunki tam istniejące były po temu odpowiednie. Zgody tej niestety nie otrzymaliśmy, wobec czego spotkanie odbyło się znów w parafii św. Wojciecha.

Wcześniej nie do przyjęcia były nawet wspólne pielgrzymki. Zawsze zaznaczano swoją odrębność, by nikt nie utożsamiał Duszpasterstwa z naszą "niebezpieczną" postawą. Ta odrębność miała zasadniczą korzyść - nie obciążała nas stylem pracy i życia w parafii św. Maksymiliana. Byliśmy wyłączeni z niewybrednych komentarzy, jakie padały pod adresem tej grupy.

Przyjęcie przez Komitet Obywatelski nazwy "Solidarność" spowodowało utożsamianie nas ze wszystkim, co nie przynosi chwały ani Kościołowi, ani nam. Tylko dlatego, by nie obciążano Związku zarzutami, które nas nie dotyczą, zaproponowałam na posiedzeniu TZR w dniu 30.04 b.r. treść oświadczenia, które załączam / zał. nr 4 /. W dyskusji sugerowano, że jest to atak na KO. W moim pojęciu nie był to atak, ale rzetelna informacja, do której jesteśmy zobowiązani przed członkami Związku. Emocje nie pozwoliły na trzeźwą ocenę proponowanej treści, wobec czego wniosek wycofałam. Efekt jest taki, że wszystkie pretensje i uwagi pod adresem osób z Komitetu Obywatelskiego kierowane są do Związku.

Wysunięte przez Komitet Obywatelski kandydatury były kontrowersyjne. Tłumaczenie nam, że nie liczą się osoby, bo do wyborów idziemy blokiem jest w znacznym stopniu nieuczciwe. Start w bloku też zobowiązuje do przestrzegania najwyższych wartości moralnych. Zobowiązuje też do lojalności wobec Związku. Tymczasem lekarz, przewodniczący Tymczasowej

- 5 -

grupa ludzi pozostała w Regionalnym Komitecie Obywatelskim w Kenine nie służy temu, a wręcz przeciwnie, zmierza do rozbicia.

Kłopoty z Regionalnym Komitecie Obywatelskim nie zakończyły się z chwilą zwycięstwa wyborczego. Trzech z pięciu czterech parlamentarzyistów nie współpracuje z nami, biuro poselsko-senatorskie dla nich znajduje się na terenie parafii św. Max. Kelbe. Wydali o sobie gazetę. Rzeczywiście o sobie, bo chociaż nazw organizacji w tytule jest wiele to na czele wszystkich stoją te same osoby. Piszą więc co chcą, robią co chcą, zgodnie, w grupie kilku osób podbudowując swój wątpliwy autorytet faktem działania przy parafii. Znamiennym tego działania przykładem jest artykuł redakcyjny "Czy to Solidarność?": Treść tego artykułu i załączone przeze mnie dokumenty mówią same za siebie. Pytam jednak, jak długo potrwa nadużywanie autorytetu Kościoła, Związku i ruchu Komitetów Obywatelskich?

Do wiadomości otrzymują :

- JE Ksiądz Biskup Diecezji Włocławskiej
dr Henryk Muszyński
- Przewodniczący NSZZ "Solidarność"
Lech Wałęsa
- Redaktor Naczelny tygodnika "Solidarność"
Jacek Kaczyński

Zaleska

REDAKCJA „GAZETY WYBORCZEJ**„CZY TYLKO W JEDNYM KOŚCIELE BŁY DZWONY”**

Artykuł Anny Bikont wzbudził we mnie i wśród wielu mieszkańców Konina niesmak i mieszane uczucia. Nie przyniósł on autorce dobrej opinii w Koninie. Zamiast zrobić wszystko, by konflikt pokazać obiektywnie i wskazać prawdziwe przyczyny oraz szukać rozładowania emocji, odepchnęła od siebie obie strony. Ocenę wydarzeń widzianych z Warszawy w Koninie, przeżyliśmy, każda ze stron pracowała na swój rachunek. Wielu z nas zastanawiało się, jak z takiej sytuacji wybrnąć, nie urażając żadnej ze stron. Prawdą jest, że zdecydowana większość społeczeństwa ma tego dość. Sceną konfliktu jest miasto Konin. Społeczeństwo w regionie nie jest zorientowane, jak również mało zainteresowane konińskimi przepychankami. Łatwo jest zatem grać na emocjach ludzi, którzy nie znają prawdziwych przyczyn konfliktu.

Przykładem tego jest nerwowa reakcja red Stefana Bratkowskiego, która ukazała się w sobotnim, warszawskim wydaniu „Gazety Wyborczej” nr 11 pod bardzo prowokacyjnym tytułem „Gdzieście wtedy byli”.

Panie redaktorze! Z przyjemnością słuchaliśmy w Koninie Pańskich kaset magnetofonowych. Sam trudniłem się w latach 1983-1986 przegrywaniem i kolportowaniem. Myślę, że kilka tysięcy ludzi w Koninie miało przyjemność słuchać celnych uwag w wykonaniu mówiącego do siebie, odważnego redaktora. Niestety, muszę Pana rozczarować, robiłem to bez wiedzy i wskazówek ośrodka ks. Łassy i pracujących tam symboli oporu.

Do dnia dzisiejszego nigdzie szerzej nie dzieliłem się swoimi smutkami i radościami w walce z systemem. Pan nazywa to uporem w utrzymaniu „S”, ja różnię się tutaj: dla mnie walka o pluralizm, demokrację, o Polskę niepodległą była i jest celem. Pan sprowokował mnie i wielu uczciwych ludzi działających w Koninie do oceny, która w odróżnieniu od Pana, jak ją Pan nazwał „nieobiektywną”, jest umiarkowanie obiektywna.

Ja i my wszyscy, w odróżnieniu od Pana przeżywaliśmy tutaj lata 1980 - 1989 codziennie. Opinie nasze nie są tylko opiniami ks. Łassy, senatora i kilku osób, które poza ośrodkiem przy parafii nic więcej widzieć nie chciały.

Byłoby nieporozumieniem, gdybyśmy nie doceniali osiągnięć ośrodka kie-

rowanego przez ks. Łasę. Są one widoczne i doceniane przez wszystkich. Lecz Pan, Panie redaktorze, albo był niewłaściwie informowany albo świadomie przeoczył, co w Koninie robili inni. A było tego wiele i większość jest zasługą setek a może i tysięcy zwykłych obywateli, którzy mieli dosyć komunistycznego ustroju i systemu.

Trudno mi jest pisać o sobie, ale gdy widzę ten tytuł: „Gdzieście wtedy byli” – milczeć nie sposób.

Dwa wyroki sądu: jeden w 1982 – sąd wojskowy skazuje mnie na trzy lata więzienia za kolportaż, działalność związkową, zbiórkę na rzecz rodzin internowanych. Aresztowano mnie 2 stycznia 82 r., zwolniono na mocy amnestii w grudniu 1982. (W tym czasie dr. Brzeziński cały rok był internowany).

Drugi wyrok w roku 1985. Sąd skazuje mnie za redagowanie nielegalnych czasopism, kolportaż na terenie regionu książek, czasopism, zorganizowanie na terenie szpitala kasy samopomocy, organizowanie działalności tzw. niezależnej przy kościele św. Wojciecha – na dwa lata, tym razem już jako recydywistę. Cała działalność była prowadzona niezależnie od wiedzy „nieugiętego lekarza”.

Ów dzielny lekarz w swoim zakładzie pracy, Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym, nie wiedział, co się w nim dzieje. Byliśmy na terenie szpitala jedyną zorganizowaną grupą, która prowadziła widoczną, praktyczną działalność związkową. Było nas kilkudziesięciu. Działaliśmy nieprzerwanie od 1983 do 1985 r., czyli do mojego aresztowania.

Wielu ludzi do dzisiaj wspomina w szpitalu akcje ulotkowe, zbieranie składek dla różnych ludzi, kolportaż prasy i książek, wyjazdy do Częstochowy, Warszawy, poświęcenie sztandaru i msze św. za Ojczyznę z udziałem pracowników szpitala ze swoim sztandarem. Nigdy z nami nie było „dzielnego” lekarza. Robiliśmy wszystko przy udziale wielu anonimowych ludzi.

Od pierwszych dni wprowadzenia stanu wojennego do roku 1989, z różnymi skutkami działały w konspiracji, w mieście Koninie i regionie, grupy związkowe „S”, a także nielegalne organizacje niepodległościowe. Np. w Kopalni „Konin” przez cały okres działały władze i grupy związkowe. W różnych okresach działały organizacje „S” w wielu innych, dużych zakładach pracy. W tym też czasie ukazywało się w naszym regionie kilka pism i biuletynów. Wiele ludzi było za to represjonowanych, wielu trafiło do więzienia. Jak widać nie tylko w jednym kościele biły dzwony.

Dalej – można było w Warszawie, tego o czym wyżej pisałem, nie dostrzegać, zależy też, kto Pana Redaktora informował. Ale nie można przemilczać faktów, które u nas, w Koninie, są zakodowane w pamięci bardzo wielu obywateli, byłbym zakłamanym, gdybym tych faktów nie nazwał historycznymi.

Jest w Koninie, w drugim końcu miasta, działająca do dzisiaj, może w mniejszej skali, Konfraternia im. ks. J. Popiełuszki. W latach 1984-1989 było o niej

głośno w całym kraju. Sam gen. Kiszczak przyjechał w 1985 do Konina na naradę SB, by zorientować się, jakich środków potrzeba do likwidacji tej twierdzy konińskiej opozycji.

Wiele mówiono o niej w rozgłoszeniach zachodnich, wiele pisano w nielegalnych wydawnictwach. Cała Polska oglądała z podziwem delegację Konfraterni z Konina na pogrzebie ks. J. Popiełuszki, na pielgrzymkach robotniczych w Częstochowie. 11 pocztów sztandarowych konińskich zakładów pracy budziło podziw i niedowierzanie. Działo się to w największym nasileniu walki SB z opozycją w Koninie.

W tym czasie kilkunastu członków Konfraterni, krócej lub dłużej przebywało w aresztach, odbyło się kilka procesów zakończonych surowymi wyrokami. Sam tego doświadczyłem, o czym wspomniałem wyżej. Potem okazało się, że narada z Kiszczakiem w 1985 okazała się być dla SB owocna. Nie ustrześliśmy się przed prowokatorem. Na szczęście nie wszędzie zdołał przeniknąć.

Straty okazały się jednak bardzo dotkliwe. Aresztowanie mnie, pośrednio próba wytoczenia procesu działalności Konfraterni – na szczęście nieskuteczna, przyhamowała na jakiś czas żywiołowo rozwijający się opozycyjny ośrodek.

W okresie późniejszym, z bazy Konfraterni powstała Polska Organizacja Harcerska, Katolicki Klub Dziennikarzy, Klub Polityczny „Ład i Wolność”.

Wielu znaczących działaczy kontynuowało działalność społeczną i związkową, wielu uczyło się tej działalności właśnie tutaj, w Konfraterni. Wielu działało w zakładach pracy, w konspiracji w podziemiu. Dzięki nim mamy w kraju, w naszym mieście inną rzeczywistość.

Z tych wielu bezimiennych bohaterów, którzy niczym nie byli związani z ośrodkiem ks. Łassy i dr. Brzezińskiego, rekrutowali się wspaniali organizatorzy kampanii wyborczej. Kampanii, którą osobiście organizując, lub jak ktoś woli – współorganizując – (w czasie wyborów jako członek Regionalnego Komitetu Wyborczego, byłem odpowiedzialny za sprawy organizacyjne) mogłem dostrzegać autentyczny i bezinteresowny zapał i chęć działania.

Ludzie ci wyrosli w atmosferze bez skandali, bez dyktatu, bez dobierania „towarzystwa” i pomimo urazów zrobili dużo, by dr Brzeziński mógł zostać senatorem.

Dla mnie, wyjątkowo w latach 1981-1986 represjonowanego, trudno czymś zaskoczyć. Lecz to, co się publikuje w „Gazecie Wyborczej” wokół sprawy dr Brzezińskiego nie daje podstaw do nadziei na rychłe wygaśnięcie konfliktu.

Szkoda, że ludzie oddaleni o setki kilometrów od Konina, będący kilka razy gośćmi naszego miasta i którzy zapisali się w pamięci jako walczący o prawdę i demokrację, tracą w oczach to wszystko.

Panie Redaktorze, Pan jako wyjątkowo zasłużony dziennikarz, dał się ponieść fantazji i wpłatał w skandal. Trzeba słuchać obydwoma uszami, by poznać choć trochę prawdy. Zapewniam Pana, że każda ze stron ma swoje racje, lecz nie można być tak niesprawiedliwym i tak jednostronnym.

Zapraszam Pana do Konina, tym razem nie do ośrodka ks. Łassy, na spotkanie z całą opozycją.

*Andrzej Krzyżański
Konin, dnia 15.01.1990 r.*

Lech Stefaniak

Oświadczenie

W Regionie Konińskim istniała pełna możliwość przeprowadzenia akcji wyborczej do Sejmu i Senatu zachowując podstawowe wymogi demokracji, o którą nasz Związek walczył bez mała 10 lat. Możliwości te zostały zaprzepaszczone, co gorsze na różnych szczeblach Związku dochodzi do działań manipulacyjnych i absolutnie sprzecznych z demokracją.

Jako członek „Solidarności” od września 1980 roku, aktywny w okresie jej jawnej działalności, represjonowany w czasie stanu wojennego, następnie działający przez siedem lat w jej strukturach podziemnych, nie mogę z przekonaniem włączyć się jako dziennikarz w kampanię wyborczą w Regionie. W związku z tym składam na ręce Komitetu Wyborczego swoją legitymację prasową nr 352 wydaną przez Komitet Obywatelski „Solidarność” w Warszawie.

*Konin 21. IV 1989
Lech Stefaniak*

Oswia drena

10 Regionie Konniikom istnata petna moil'noic' prepravdenie akcii vybornoj olo Sejm: Senatu i spicib' cackownje političeske vybegi' demokracii, o kštraj' nase Złwienek walajt for mata 10 let.

Możliwość te zostaty zaprzeczane, to gorzej
na innych sensach. Lubię obchodzić obywateli
manipulacyjnych i absolutnie gwałtownych z dżokrajja.

Jako utwór „Solidarność” od września 1980 roku,
aktywny w okresie pełnej działalności, represjono-
wany w czasie stanu wojennego, następnie chłosta-
ny przez sześć lat w psychologicznych podciśnieniach,
nie mogąc z przekonaniem utrzymać się jako dzien-
nikarz w kampanii wyborczej w Regionie. W związku
z tym składam na ręce Komitetu Wyborczego
swoje legitymujące dziennikarskie prawo.

nr. 352 wyplanął przez Rówień Obywatelski, Salsko-
nie do Krasnowa.

Kenia 24. IV 1989

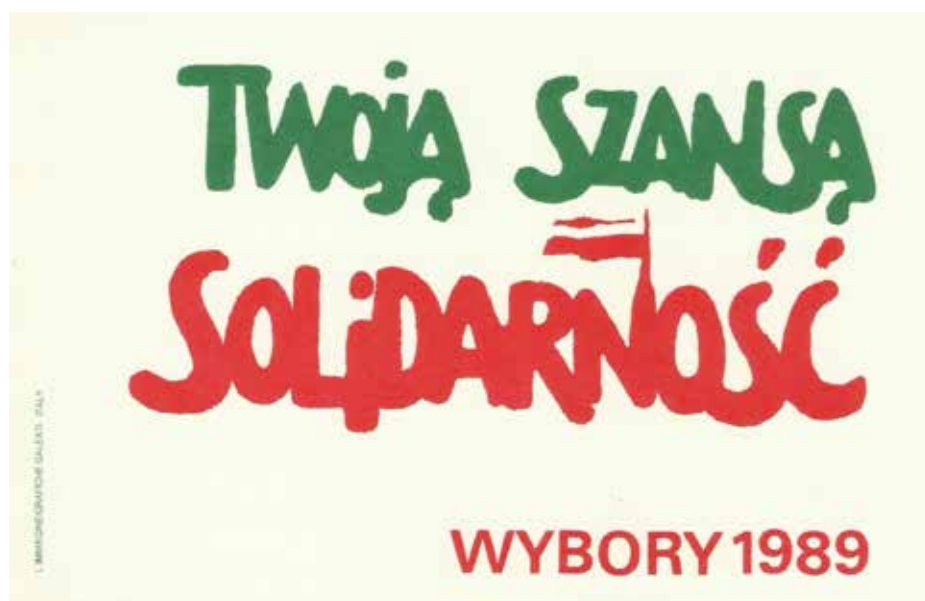
John Stepanek

Wybory 4 czerwca 1989 – Komitet Obywatelski „Solidarność” w Koninie

Kalendarium

1. 25 października 1988 przedstawiciele Komitetów Założycielskich NSZZ „Solidarność” Regionu Konińskiego powołują Regionalny Komitet Organizacyjny NSZZ „Solidarność” w Koninie. W jego skład wchodzi przedstawiciele działających w Regionie Komitetów Założycielskich:
 - Kopalni Węgla Brunatnego „Konin”
 - Zespołu Elektrowni „Pątnów – Adamów – Konin”
 - Huty Aluminium „Konin”
 - Kopalni Soli w Kłodawie
 - Zespołu Opieki Zdrowotnej w Turku

Tego samego dnia 30 rolników – reprezentantów gmin woj. konińskiego – postanawia w miejsce Tymczasowej Rady Rolników NSZZ „Solidarność” powołać jawną Tymczasową Wojewódzką Radę Rolników „Solidarność” w Koninie.
2. 11 listopada 1988 zostaje zarejestrowany działający już od pewnego czasu Koniński Klub Polityczny „Ład i Wolność”. 11 lutego 1989 zarządy Klubów z Poznania, Gorzowa Wlkp. i Konina powołują Komitet Porozumiewawczy Klubów „Ład i Wolność”
3. 18 grudnia 1988 działacze związkowi, ludzie kultury i nauki, po raz piąty spotykający się w Warszawie na zaproszenie Lecha Wałęsy, tworzą Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność”.
4. 18 grudnia 1988 r. Grupa Robocza Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” żąda od Lecha Wałęsy zwołania Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” w składzie demokratycznie wybranym przed 13 grudnia 1981.
5. 28 stycznia 1989 r. odbyło się przy kościele św. Maksymiliana Kolbe zebranie założycielskie Stowarzyszenia Rodzin Ofiar Katynia „Katyń”.
6. Na dzień 11 lutego 1989 r. w Regionie działa 11 jawnych Komisji Zakładowych oraz 3 komisje środowiskowe: Regionalna Komisja Koordynacyjna Oświaty i Wychowania, Komisja Pracowników Służby Zdrowia w Turku oraz Środowiskowa Komisja Oświaty i Kultury w Turku. W sumie deklaracje podpisało ponad 5 tys. osób.
7. Uchwała RKK NSZZ „Solidarność” z 3. 02. 1989
 /.../ RKK uznaje, że należy jak najszybciej przejść do jawnej działalności. Ponieważ w obecnej sytuacji w regionie możliwe są spory kompetencyjne, RKK postanawia:



- Rozwiązać się z dn. 4.02.1989
- Odpowiedzialnym za powołanie regionalnej władzy związkowej uczynić Przewodniczącego „Solidarność” Ryszarda Stachowiaka.
- Wszystkie swoje kompetencje przekazuje nowo powołanym władzom związkowym

8. Uchwała RKO NSZZ „Solidarność” z 4.02.1989

W związku z rozwiązaniem RKK i innych regionalnych ciał związkowych, Regionalny Komitet Organizacyjny NSZZ „Solidarność” w Koninie postanawia:

- Powołać Tymczasowy Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność”, w skład którego wchodzi przedstawiciele wszystkich związkowych Komisji Zakładowych
- Wyłonić Prezydium TZR w składzie:
 Ryszard Stachowiak – przewodniczący
 Paweł Kotlarski – wiceprzewodniczący
 Jan Demski – ZE PAK
 Leszek Miller – KWB „Konin”
 Zbigniew Rycerz – Huta Aluminium
 Jerzy Żurawiecki – ZOZ Turek
 Tadeusz Kubiak – KWB „Adamów”
 Czesław Gajewski – Kop. Soli „Kłodawa”

- Przekazać Prezydium TZR kompetencje regionalnej władzy związkowej z zadaniem zorganizowania Związku i doprowadzenia do wyborów w Regionie.
 - Upoważnić Prezydium do reprezentowania Regionu na zewnątrz.
 - Rozwiązać się z dn. 4.02.1989
9. 24 lutego 1989 w Klubie „U Lecha” powołano w miejsce działającego niejawnie Konińskiego Klubu Ekologicznego Koło Terenowe Polskiego Klubu Ekologicznego.
 10. Uchwała TZR NSZZ „Solidarność” w sprawie wyborów do Sejmu i Senatu z 1.04.1989 stwierdzała, że w celu przeprowadzenia wyborów należy powołać w Regionie komitet wyborczy wraz z NSZZ RI „Solidarność”, otwarty na przedstawicieli innych ruchów niezależnych. Tymczasowy Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność” informował jednocześnie w Uchwale, że jako kandydaci do parlamentu reprezentować Związek będą Paweł Kotlarski i Jerzy Żurawiecki.
 11. 5. 04 1989 kończą się trwające od 6.02 obrady „okrągłego stołu”. Ich efektem były m.in. częściowo wolne wybory – 35% miejsc w sejmie dla opozycji i całkowicie wolne wybory do powstać mającego senatu.
 12. 8 kwietnia 1989 określa swoje stanowisko Prezydium Tymczasowej Wojewódzkiej Rady Rolników NSZZ „Solidarność” w Koninie. Czytamy tam m.in.: ...NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność” /.../ nie zgłosi bezpośrednio kandydatów. /.../ Uważamy za bezwzględny warunek możliwie szybkie powołanie Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego. /.../ Tryb powołania i skład WKO określą TZR NSZZ „Solidarność” i TWRR „S”.
 13. Na obradach TZR 8 kwietnia zostaje zawieszony p.5 Uchwały z 1 kwietnia, mówiący o udzieleniu poparcia przez Związek w Regionie kandydatom do parlamentu: Pawłowi Kotlarskiemu i Jerzemu Żurawieckiemu. Zmiana decyzji następuje pod naciskiem członka TZR – Kazimierza Brzezińskiego (TZR powinien ograniczyć się do zgłoszenia kandydatów; wybór kandydatów i udzielenie poparcia to kompetencje Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”).
 14. 15 kwietnia TZR wybiera swoich 6 przedstawicieli do Komitetu Obywatelskiego, są to: Wojciech Zaleski, Kazimierz Brzeziński, Zbigniew Okoński, Roman Rybacki, Jan Demski, Stefan Piotrowski. Kolejnych 6 członków wyznaczy Tymczasowa Wojewódzka Rada Rolników. /.../ Komitet Obywatelski może poszerzyć swój skład o przedstawicieli innych organizacji i osób niezależnych i opozycyjnych z naszego Regionu /.../ liczbę przedstawicieli w Komitecie określają członkowie – założyciele.

/.../ TZR zaproponował harmonogram działań Komitetu Obywatelskiego.

15. 16. kwietnia 1989 odbyło się pierwsze posiedzenie Komitetu Obywatelskiego w Koninie, w którym udział, oprócz delegowanych przez oba Prezydium Związków, wzięli przedstawiciele wybranych organizacji niezależnych. (Zabrakło np. Konfraterni im. Jerzego Popiełuszki, Klubu Literackiego im. Adama Mickiewicza, Klubu Ekologicznego, Konfederacji Polski Niepodległej, Solidarności Walczącej...)

Po jednogłośnym przyjęciu nazwy „Komitet Obywatelski „Solidarność” reprezentant TZR odczytał protokół z zebrania TZR 15.04 i Uchwałę w sprawie zasad działania Komitetu Obywatelskiego.

Ignorując świeżo przedstawione stanowisko TZR zebrani na wniosek Ireneusza Niewiarowskiego zaprosili na salę ks. Antoniego Łasę i zaaprobowali jego wniosek o poszerzenie składu Komitetu o ludzi z Duszpasterstwa Pracowniczego przy kościele św. Maksymiliana Kolbe i przedstawiciela stowarzyszenia „Katyń”. Na wniosek przedstawiciela TZR do Komitetu Obywatelskiego dokooptowano też przedstawiciela Polskiej Organizacji Harcerskiej i Klubu „Ład i Wolność”.

Podkreślić należy, że za tym jawnym złamaniem wytycznych Tymczasowego Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” głosowała też większość obecnych przedstawicieli TZR w Komitecie.

W rezultacie przedstawiciele robotniczej „Solidarności” znaleźli się w mniejszości, a przy oczywistej nielojalności ich części – w przytłaczającej mniejszości.

Przegłosowano zmianę nazwy Komitetu na czas wyborów na Komitet Wyborczy „Solidarność” Regionu Konińskiego.

16. 17. kwietnia 1989 Komitet Obywatelski na wieczornym spotkaniu zajmuje się zatwierdzeniem listy kandydatów na posłów i senatorów. Zgłoszono 8 kandydatów, w tym 2 z Koła, nieobecnych. Na pytanie przedstawiciela TZR, czy powiadomiono ich o spotkaniu wyjaśniło się, że nikt nawet do nich nie telefonował. Tym niemniej na wniosek Ireneusza Niewiarowskiego skreślono ich z listy przy jednym głosie przeciw.

Rozpoczęto od przesłuchania kandydatów do Senatu (Wojciech Zaleski, Kazimierz Brzeziński, Zbigniew Okoński). (W telefonicznej rozmowie z Komitetem Obywatelskim w Warszawie wyszło na jaw, że Bożena Brzezińska, łącznik KO „S” w Koninie z Warszawą, przekazała tak złą opinię o Pawle Kotlarskim, że dla dobra sprawy, na sugestię p. Śleszyńskiego, zrezygnował on z kandydowania)

Po przerwie, z rekomendacji ks. Łassy i na wniosek Ireneusza Niewiarowskiego przegłosowano wpisanie na listę kandydatów do sejmu Andrzeja Arendarskiego z Warszawy, przedstawiając go jako członka listy krajowej (19.04 przed południem, po tel. Henryka Wujca, okazało się to kłamstwem) – 16 głosów za, 1 przeciw, 2 wstrzymujące się.

Po przesłuchaniach kandydatów, wbrew przyjętej zasadzie konsensusu, przechodzi wniosek Niewiarowskiego, by głosować na listę sejmową i senacką (13 za, 4 przeciw, 3 wstrzymujące się). Po kolejnych głosowaniach wybrano kandydatów:

- do Sejmu: A. Arendarski, J. Żurawiecki
- do Senatu: K. Brzeziński, I. Niewiarowski

17. 21 kwietnia na znak protestu swój mandat przedstawiciela TZR w Komitecie Wyborczym „S” w Koninie złożył Wojciech Zaleski, a legitymację prasową wydaną przez KO „S” w Warszawie – Lech Stefaniak.

18. 22 kwietnia 1989 Przewodniczący TZR uznając, że Związek w konińskim Komitecie Wyborczym nie ma praktycznie głosu, a najważniejsze ustalenia założycieli zostały złamane, postanawia wyłączyć tematykę wyborczą z obrad TZR i, w trosce o całość Związku, nie kwestionować dokonanych wyborów kandydatów do Parlamentu.

19. SOLIDARNI KONIN, NR 37, MAJ 1989, nr zamknięto 6 maja 1989. „Kłopoty z tożsamością” Hipolit

/.../ w oszałamiającym tempie przybywa różnego autoramentu i orientacji politycznej postaci, które w wystąpieniach publicznych powołują się na symbolikę i autorytet NSZZ „Solidarność”. Są to często „zwolennicy”, którzy przez ostatnie lata ze względów taktycznych nie popierali idei reaktywowania Związku. Bywa, że nawet pomysł ten czynnie zwalczali. /.../

...jak grzyby po deszczu powstają kolejne stowarzyszenia, partie, wywodzące swój rodowód z sierpniowego protestu, podpierające się legendą i autorytetem Związku. /.../ Osobną sprawą, będącą konsekwencją kontraktu politycznego zawartego przy „okrągłym stole”, jest działalność Komitetów Obywatelskich funkcjonujących pod nazwą „S”. /.../ ... wypadałoby życzyć nam wszystkim, żeby partia, instytucje czy stowarzyszenia uzyskiwały poparcie „S” na drodze akceptacji ich programów przez szeregowych członków, a nie przez instytucjonalne czy personalne powiązania z naszym Związkiem.

20. 12 maja leżący w szpitalu w Gryficach Przewodniczący TZR NSZZ „Solidarność” Regionu Konińskiego – Ryszard Stachowiak – wystosowuje do członków i sympatyków Związku list, który bez wątpienia wpłynął na stanowisko władz Związku w Regionie wobec konfliktów, mających się

wkrótce pojawić, związanych z wyborami 4 czerwca 1989 r. M.in. pisał w nim: Najważniejsze zadania, jakie stoją przed nami, to zachowanie jedności i właściwy wybór celów. Ruch nasz musi w najbliższym czasie zrobić dwie rzeczy: zorganizować Związek i w maksymalnym stopniu wygrać to, co w obecnych wyborach jest do wygrania. /.../ Realizacja naszych celów wymaga /.../ całkowitej jedności i współdziałania. Wymaga rezygnacji – w imię najwyższych celów – z urazów, ambicji, czy słusznych nawet pretensji.

Wybrał i zredagował

LECH STEFANIAK

**PROTEST
I PACYFIKACJA
INTERNOWANYCH
W KWIDZYNIU**

Relacja

Z pacyfikacji więzienia w Kwidzynie, w którym trzymany jest około 150 internowanych, przeprowadzonej w sobotę dnia 14 sierpnia 1982 r.

Wieżenie w Kwidzynie składa się z czterech parterowych pawilonów połączonych ze sobą, lecz oddzielonych wewnątrz wieloma otwieranymi kratami. W każdym pawilonie jest 9-11 cel. W każdej celi przebywało po kilka osób. Internowani zajmowali trzy pawilony, a czwarty zajmowali więźniowie. Oprócz pawilonów mieszkalnych są zabudowania gospodarcze i administracyjne. Całość otoczona jest podwójnym płotem o wysokości 8 około 4 m. Płot zewnętrzny jest betonowy a wewnętrzny z siatki drucianej i drutu kolczastego.

1. Tło zajść

Na początku sierpnia 1982 r. ustalone zostało z naczelnikiem więzienia, że rodziny internowanych przybywające na widzenia będą wpuszczane celem odbycia widzenia i nie będą czekały przed bramą więzienia. Widzenia będą się odbywały w soboty i niedziele, a w razie potrzeby także w innych dniach tygodnia, przy czym ani czas trwania widzeń ani częstotliwość widzeń nie będą ograniczane. W celu umożliwienia jednoczesnego widzenia większej grupie rodzin, w sobotę i niedzielę widzenia miały się odbywać w salce „widzeń” oraz na wolnym powietrzu na przestrzeni pomiędzy oboma płotami. Stoły i krzesła mieli przynieść od siebie internowani, a następnie cofnąć się kilkadziesiąt metrów od wewnętrznego płotu z siatki drucianej.

W taki sposób widzenia po raz pierwszy zostały przeprowadzone w sobotę 7 sierpnia. W niedzielę oświadczone nam, że w sobotę uciekł jeden z internowanych, wobec czego widzeń na wolnym powietrzu nie będzie. Uważaliśmy, że pilnowanie internowanych należy do straży więziennej a nie do internowanych, i że stosowanie zbiorowej odpowiedzialności nie jest dopuszczalne. W celu odzyskania poprzednich uprawnień zebraliśmy się rano przed bramą i zorganizowaliśmy siedzącą demonstrację polegającą na robieniu hałasu i śpiewaniu pieśni. Hałas robiliśmy uderzając miskami blaszanymi i łyżkami. Po jakimś czasie (około 2 godzin) przybył naczelnik więzienia i po przeprowadzonych rozmowach zgodził się przywrócić poprzednio uzgodnione

warunki widzeń. Być może wpływ na tę decyzję miało również to, że naszej determinacji przysłuchiwał się stojący za bramą biskup lubelski Cuperek. Demonstracja została zakończona i widzenia odbywały się tak jak w sobotę, a biskup wszedł do więzienia i odprawił mszę św. dla internowanych.

W piątek 13 sierpnia zmieniony został naczelnik więzienia. Nowym naczelnikiem został kpt. Juliusz Pobłocki.

W sobotę 14 sierpnia o godz. 9.00 wezwano 7 internowanych na widzenie z rodzinami. Oświadczono, że widzenie będzie trwało jedną godzinę. Równocześnie szeregu rodzinom odmówiono wi8dzenia, uzasadniając to tym, że w sierpniu już miały widzenie. Ja byłem wśród tych, którzy otrzymali widzenie. Przed bramą więzienną stał tłum złożony z około trzydziestu rodzin, w tym wielu rodzin z małymi dziećmi. Rodziny te przyjechały z całej Polski. Niektóre miały za sobą po kilkanaście godzin podróży. Podczas gdy przed bramą zewnętrzną stały rodziny, przed bramą wewnętrzną zebrali się internowani, którzy powtarzali demonstrację z poprzedniego tygodnia uzupełnioną chóralnymi okrzykami: „wpuścić rodziny!”. Od rodzin otrzymaliśmy wiadomość, że przed więzienie przybył oddział szturmowy zaopatrzony w pałki, tarcze i hełmy, oraz samochód straży pożarnej.

Kilku internowanych zaniepokojonych o los rodzin weszło na dach, następnie przeszło przez płot druciany i zaczęło rozmawiać z rodzinami przez bramę zewnętrzną. Na teren więzienia wprowadzono oddział szturmowy, a internowani rozpletli siatkę i część z nich przeszła na drugą stronę płotu wewnętrznego i stanęła względnie usiadła przed płotem naprzeciw oddziału szturmowego.

Nikt nie próbował uciekać. Jest to na tyle ważne, że później czynniki rządowe próbowały usprawiedliwić pacyfikację rzekomą próbą ucieczki internowanych.

Internowani stojący przed i za płotem wewnętrznym widzieli, jak ppor. Zimnicki poprzez otwory w dolnej części stalowej bramy zewnętrznej bił pałką po nogach rodziny stojące za bramą, w tym małe dzieci.

Oddział szturmowy zainstalował motopompę i rozpoczął oblewać internowanych wodą z dwóch sikawek.

2. Działania na dworze

Internowani oblewani wodą z sikawek odśpiewali „Boże coś Polskę” i próbowali zasłaniać się przed wodą taboretami. Było to jednak bezskuteczne i stojący przed płotem zostali wodą zmuszeni do wycofania się za płot, gdzie chowali się również za blatami stołów przygotowanych dla widzeń z rodzinami.

Po krótkim czasie oddział szturmowy wraz z sikawkami wdarł się przez dziury w płocie do wewnątrz i rozpoczął wodą i pałami spychać internowanych, którzy nie stawiając czynnego oporu wycofywali się do pawilonów. Po drodze ciężko pobito pałami leżącego na ławce chorego na serce internowanego, który doznał zapaści i nie mógł się wycofać do pawilonu. Został następnie odwieziony do szpitala.

Widząc co się dzieje razem z innymi wycofałem się do pawilonu. Szedłem szybko, lecz zastałem drzwi celi zamknięte na zasuwę (kto i dlaczego to zrobił?). Po otwarciu drzwi, w progu celi, zostałem uderzony pałką w plecy przez szarżującego wzdłuż korytarza strażnika w hełmie i z tarczą.

Widziałem jak internowanego, który nie zdążył wcześniej zejść z dachu, po zejściu goniło i biło kilku pałkarze. Zdołał się od nich oderwać, gdyż był szybszy. Nie zdołał on jednak uciec, gdyż inna grupa odcięła mu drogę. Bito go stojącego, a gdy upadł leżącego tak długo, aż stracił przytomność. Został następnie wyniesiony na noszach i odwieziony do szpitala.

Gdy przesuвано się z sikawkami wzdłuż pawilonu, lano przez okna wodę do cel.

Uciekający internowani próbowali zabarykadować się przy wejściu do dwóch pawilonów, lecz ciśnienie wody nie pozwalało na ich utrzymanie.

W ten sposób zakończyło się działanie oddziału szturmowego na wolnym powietrzu. Internowani zostali zapędzeni do cel, jednak nie każdy był w swojej celi.

3. Działania w budynkach

Gdy wszyscy internowani znaleźli się w celach, grupa szturmowa wraz z miejscowymi strażnikami przystąpiła do właściwej pacyfikacji.

Kilkunastoosobowe zespoły wchodziły do każdej celi, zrywały dekoracje, urządzenia elektryczne, przeprowadzały rewizje i biły znajdujących się w celach. Jednych bito więcej, innych mniej. Nad jednymi się pastwiono, innych pobito lekko, a kilka osób w ogóle nie zostało pobitych. Miejscowi strażnicy bili sami bądź pokazywali, których mają bić pałkarze z oddziału szturmowego. A oto przykłady:

Bito tak długo, dopóki bity na polecenie oprawców nie zaczął ich całować po butach.

Bito i potem kazano jeść bitemu plakaty, np. z wizerunkiem Wałęsy.

Kazano zdrapywać ze ściany malowidła, np. napis „Solidarność”. Jednego bito tak długo, aż inni zdrapali napis. Nie pozwolono przy tym zdrapywać łyżką. Kazano czynić to różańcem lub zegarkiem.

Bito za posiadanie różnych odznak, m.in. odznaki legionowej.

Bito odmawiających w celi na klęczkach różaniec.

Po przejściu przez wszystkie cele wracano do nich a miejscowi strażnicy pokazywali, kogo bić. Wskazywanych wyciągano z celi i pędzono bijąc korytarzem do świetlicy. Na korytarzu oprawcy stali po obu stronach i bili pędzonych. Jest to tak zwana ścieżka zdrowia.

Wielu internowanych była boso. Oprawcy rozbili na korytarzu butelkę z pół-płynną pastą do podłóg. Pędzenie korytarzem internowani kaleczyli sobie nogi, ślizgali się i padali. Cały czas byli bici, więc zrywali się, żeby jak najszybciej uciec spod pałek, znów ślizgali się, przewracali się i byli bici.

Niektórych wywlekano na korytarz, tam bito do nieprzytomności a następnie jak worki wrzucano do cel.

Po celach chodzono kilkakrotnie szukając tych, którzy strażnikom w jakiś sposób podpadli. W tych poszukiwaniach wyróżniał się por. Edmund Młotkowski, który zajmował stanowisko wychowawcy.

Gdy pod wieczór umożliwiono pobitym skorzystanie z pomocy lekarskiej, to bito również wracających od lekarza. Widziałem jak na progu celi był bity pałką wracający od lekarza i staniający się na nogach Zbigniew Pietrzyk z Kutna.

W nocy przeprowadzono we wszystkich celach gruntowne rewizje. Czyniono to w ten sposób, że wszystko wyrzucano na podłogę na kupę, a po tym chodzili strażnicy niszcząc co się dało. Zrywano krzyże, rozrywano pudełka, otwierano puszkę, rozrzucono lekarstwa i niszczone wszystko, co się dało. Rewizja prowadzona była tak, żeby jak najwięcej zniszczyć.

Czego nie zniszczono, to konfiskowano: listy, obrazki Matki Boskiej, zbiory pieśni, żarówki, grzałki i wszystko, co się spodobało strażnikom.

Po rewizji cele wyglądały jak śmietnik. Wszystko było dokładnie przemieszczone. W niektórych celach takie rewizje robiono kilkakrotnie w odstępach 1-2 godzin.

Podczas bicia używano również kastetu, którego uderzenie powodowało wgniecenia w ciele.

4. Pomoc lekarska

Rezultatem przeprowadzonej pacyfikacji było skatowanie co najmniej kilkunastu internowanych i ciężkie pobicie kilkudziesięciu dalszych. Prawie wszyscy pozostali zostali również mniej lub bardziej pobici. Poza dwoma internowanymi, którzy zostali skatowani na dworze, wszyscy pozostali zostali pobici w celach i to wówczas, gdy porządek został w więzieniu już dawno przywrócony.

W dniu pacyfikacji, to znaczy w sobotę 14 sierpnia, do szpitala zostało odwiezionych tylko czterech skatowanych, z czego przynajmniej dwóch w stanie nieprzytomnym. Pozostałym udzielono powierzchownej pomocy lekarskiej i pozostawiono w więzieniu. Badanie lekarskie najciężej pobitych, których

przynoszono do lekarza więziennego na noszach, było przeprowadzane brutalnie.

W sobotę do lekarza więziennego zgłosiło się 60 pobitych, przy czym niektórzy, w tym również ciężko pobici, nie zgłosili się do lekarza w obawie przed dalszymi represjami i biciem, gdyż wracający od lekarza byli również bici pałkami.

W ciągu całego następnego tygodnia pogotowie dowoziło do szpitala tych, których stan nie pozwalał na dalszy pobyt w więzieniu. Często pogotowie wzywano dopiero po chóralnym wzywaniu pomocy lekarskiej przez wszystkie cele, często w nocy. Znany jest przypadek, gdy kilka cel wzywało lekarza w nocy do wskazanej celi z potrzebującym pomocy, a zamiast lekarza przyszło 18 strażników z pałkami.

Kilku najciężej pobitych zamiast przewieźć do szpitala, umieszczono w izbie chorych w więzieniu, gdzie w nocy pozostawali bez jakiejkolwiek pomocy, „zamknięci” na klucz. Z reguły później i tak byli przewożeni do szpitala. Przytoczę jeden przykład: w sobotę został zmasakrowany 18 letni uczeń Liceum Ogólnokształcącego w Zamościu, Radosław Sarnicki. Pomimo że w tym samym dniu zgłosił się do lekarza, do więziennej izby chorych został przyjęty dopiero w środę, gdy stan jego był już bardzo ciężki. Otrzymał bowiem kilkadziesiąt uderzeń pałką po głowie i całym ciele. Gdy prowadzono go do izby chorych stracił przytomność. Ponieważ był drobnej budowy i niskiego wzrostu (miał sylwetkę dziecięcą) jeden z kolegów wziął go na ręce i jak dziecko zaniósł do łóżka. Tej samej nocy ze środy na czwartek był nadal nieprzytomny i dopiero na natarczywe wołanie ze wszystkich cel, w stanie krytycznym został przewieziony do szpitala. W czwartek, nadal nieprzytomny – został przewieziony do kliniki Akademii Medycznej w Gdańsku, gdzie przez kilka dni nie odzyskał przytomności.

Na znak protestu przeciwko takiemu traktowaniu internowanych, z żądaniem ukarania zbrodniarzy, około 80-90 internowanych podjęło strajk głodowy.

5. Nazwiska

Oto nazwiska najciężej pobitych internowanych:

Radosław Sarnicki – Zamość

Ryszard Piekart – Siedlce

Zygmunt Goławski – Siedlce

Andrzej Goławski – Siedlce

Andrzej Bereśniewicz – Suwałki

Wojciech Wasilewski – Suwałki

Władysław Kałudziński – Olsztyn

Adam Kozaczyński – Zamość

Andrzej Bober – Olsztyn
 Piotr Byczyk – Olsztyn
 Mirosław Duszek – Elbląg
 Michał Zybormirski – Elbląg
 Stanisław Romański – Elbląg
 Jerzy Gaj – Poznań
 Włodzimierz Przybyłko – Zielona Góra
 Witold Cieślukowski – Poznań
 Roman Ramuszkiewicz – Łódź
 Krzysztof Woźniak – Łódź
 Andrzej Priebc – Piła
 Marek Chwalewski – Łódź

Nazwiska najbardziej aktywnych oprawców

plut. Kegel
 Jan Makowski
 Karaś
 por. Edmund Młotkowski
 por. Jurkiewicz
 por. Jabłoński
 Inne nazwiska nie są znane.

6. Uwagi końcowe

W środę, 16 sierpnia, powrócił z przepustki internowany Janusz Auguściak z Włocławka i powiedział, że gdy w piątek 13 sierpnia wychodził na przepustkę, to odprawiający go porucznik powiedział do niego, że dobre czasy dla internowanych się skończyły i teraz służba więzienna się z nimi rozprawi. Widział również, jak do więzienia przybył cywil, którego tytułowano pułkownikiem i przed którym postawiono na baczność całą straż więzienną.

Podczas wykonywania ścieżki zdrowia na pawilonie pierwszym, na korytarzu było obecnych i przypatrywało się kilka osób. Były wśród nich 2-3 osoby cywilne, jeden milicjant i jeden oficer służby ruchu MO w białej czapce.

Z powyższego wynika, że pacyfikacja była zaplanowana, a zajścia z dnia 14 sierpnia były sprowokowane dla uzasadnienia pacyfikacji.

Powyższe zostało spisane 21 i 22 sierpnia 1982 r. przez Zbigniewa Okońskiego, internowanego w pawilonie trzecim, cela nr 3

Zbigniew Okoński

KONSPIRACYJNY ZAKŁAD REGIONU WSZYSTKICH "SOLIDARNOŚĆ" "ZIEMIA KŁOSI" NR 11
6.03.1982r.

SERWIS INFORMACYJNY, SERWIS INFORMACYJNY, SERWIS INFORMACYJNY, .

Częstochwa - 25.08.82

"Od ponad pół roku, wbrew oczekiwaniom społeczeństwa polskiego trwa nadal w Polsce wprowadzony 13.12.81 stan wojenny, przetrzymywani są nadal internowani, więzieni są ludzie za poglądy polityczne i działalność związkową zawieszona jest działalność związków "Solidarność". Nasilają się represje organów władzy wobec obywateli PRL (zwolnienia z pracy, tłumienie akcji pokojowych demonstracji itp.).

W tej sytuacji, nie zwracając uwagi na przygniatającą siłę władzy podejmujemy 25.08.82 w kościele Św. Barbary w Częstochowie bezterminowy protest głodowy. Miejsce i czas protestu nie są przypadkowe. Od początku stanu wojennego kościół w Polsce czynił i czyni nadal starania o zwolnienie wszystkich internowanych i skazanych na podstawie Dekretu o Stanie Wojennym. Kościół wraz z ogólną częścią społeczeństwa oczekiwał obecności Ojca Św. w czasie obchodów 600-lecia chrystości Obrazu Matki Bożej na Jasnej Górze.

Władze uniemożliwiły również realizację tych oczekiwań społecznych. Podjęliśmy protest głodowy w intencji:

- uwolnienia wszystkich internowanych,
- uwolnienia skazanych na podst. Dekretu z 13.12.81r,
- przywrócenia działalności związków "Solidarność" i innych organizacji społecznych
- przywrócenia demokratycznych form życia społecznego.

Poza tym głodówka jest wyrazem solidarności ze wszystkimi walczącymi obecnie po stronie prawdy i praworządności, szczególnie doświadczającymi internowanymi w Żalezu, Kwidzynie i innych obozach. Widzimy głęboki sens takiego działania. Przez to nie chcielibyśmy wykazać, że - mimo pozorniej beznadziejności - nie jesteśmy w sytuacji bez wyjścia. Sprzeciw w chronię prawdy jest możliwy jeśli tylko chcemy go podjąć. Walka z przeciwnikiem nie koniecznie musi mieć podstawę w nienawiści i zadawanu innym cierpienia, może natomiast polegać na zasadach zakomunikowanych w Ewangelii. Protest nasz jest świadectwem, że - mimo zewnętrznego zniewolenia

- człowiek, który potrafi powiedzieć "nie" złu w każdej okoliczności - jest w swojej istocie człowiekiem wolnym. Protest ten w nawiązaniu do powyższych zasad traktujemy jak jedną z form działania przyczyniającą się do moralnego odradzania się narodu, a pomimo także do zarzucenia mylnego przekonania, że "nie tu się nie da zrobić".

Uczestnicy głośówki w Kościele Św. Barbary w Cześć w dniu 29.08.82 - 7.82.

1. Tomaszewska Ewa - Warszawa Region Mazowsze - internowana
2. Mulicki Dorota - Warszawa Region Mazowsze - internowana
3. Hugel Bożena - KPN - Kraków - internowana
4. Mari Anna Gorniewicz - studentka (NSZZ) Głanek - internowana
5. Walentynowicz Janusz - Zarząd Portu Gdansk
6. Majdzik Mieczysław - rencista - Skawina - internowany
7. Niechlarz Jacek - Region Pomorze Zach. - Szczecin (aresztowany)
8. Arzanowski Wojciech - GZSO - Gdansk
9. Kus Ryszard - WZR Kraków - internowany
10. Karut Andrzej - Garzów Wlkp. - nauczyciel
11. Michałowski Kazimierz - ZR Śl. Dąbrowskiego Katowice - internowany
12. Pziomok Urszula - NSZZRI "Solidarność" Reg. Białostocki

KONIN - LICHEN 29.08.1982

w dniu 29.8.82 r. w rocznicę poświęcenia sztandaru NSZZ "Solidarność" przed Cudownym Obrazem Bolesnej Królowej Polski odprawiona została Msza Św. w intencji Ojczyzny. W czasie ofiarowania przekazano wotum błagalne - krzyż wykonany w obiekcie dla internowanych kobiet w Gołdapi i odczytana została modlitwa następującej treści:

- "Najdroższa, Umiłowana Pani. Od wieków jesteś z naszym narodem w jego najtrudniejszych chwilach. Przed Obliczem Twoim gromadził się lud, czerpiąc nadzieję i siłę w czasach niewoli. Od wieków chronisz nas przed białego Orda i bolejesz razem z ludem nad losem swojego królestwa. Ale jest wiec przypadkiem obrane dla Ciebie imię - Bolesnej Królowej Polski nie oszczędź. O! Pani cierpien nawet w roku jubileuszowym. Brak zgody na przybycie umiłowanego sługi Papieża Jana Pawła II, stan w jenny w Polsce i cierpienia naszych siostr i braci nie pozwalają na pełną radość z obchodów Twojego Jubileuszu. Fakt ten potwierdza prawdę, że jesteś i cierpisz razem z nami. Nie puszczaj nas tak jak nie puszczas Swego Syna w drodze na Golgotę. Przybłyśmy więc do Ciebie z ufnością i modłąc się o zakazanie stanu wojennego w Polsce. Przyjmij o Pani od nas wotum błagalne - krzyż wykonany w obiekcie dla internowanych kobiet w Gołdapi.

wraz z Krzyżem ślariujemy Ci nasze i naszych rodzin cierpienia, żal i udręczenie. Niech ta ofiara wyjedna u Boga Ojca i Słusznego sądu, zastawieniem Twoim Pani - pokój w naszej Ojczyźnie, która jest Twoim Królestwem. Błagamy Cię Pani o kres cierpien naszych internowanych i aresztowanych siostr i braci. Błagamy o zwycięstwo Prawdy i Miłości, o zjednoczenie pod znakiem Krzyża, o tym znaku - znaku Krzyża - zwyciężymy!

Konin - Łichen 28.08.82

Po Mszy Św. wierni udali się na plac przed Gólgotą i tam uroczysto byli w Drobie Krzyżowej. Podczas rozważań stacji recytowali poezje patriotyczne, modlitwy, oprócz mieszkańców regionu konińskiego, wzięły udział kobiety - były internowane w obozie w Gołdapi.

Konin - 31.08.1982r.

Bojówki partyjne w akcji.

Marsz protestacyjny społeczeństwa Konina w dniu 31.08. przeraził nie tylko konińska ubość. Alarm ogłoszono również wśród aktywistów partyjnych.

W gmachu KW PZPR zebrano ponad 200 aktywistów partyjnych, których zadaniem była akcja rozbiłacka. W momencie zbliżania się protestujących do gmachu KW działacze partyjni wyszli im na spotkanie.

Czym zakazoby się ich działanie, gdyby tłum protestujących był mniejszy? nie chcemy nic sugerować. Warto jednak nadmienić, że na widok zbliżającej się kilkutysięcznej grupy ludzi Bojówki partyjne poprostu uciekły w odwrotną stronę do budynku Komitetu. Budynek został zaciemniony, a do akcji przeciwko manifestantom ruszyło ZOMO. Poszły w ruch pałki.

Obserwować można było bicie pałkami 12-14 letnich chłopców, którzy nie mieszkając w Koninie przyjeżdżali na wydarzenie. Tak było w pobliżu Zespołu Szkół Górniczych i przy wieżowcu z przekaznikiem II programu TV.

W ten sposób stało się znów okazało się że na ulicach Konina manifestowały "chuligańskie grupy młodzieży". Władze nie potrafiły dostrzec tego, co widzieliśmy wszyscy. Alejami I-Maja i ul. XX-lecia szły całe rodziny z dziećmi, w tłumie widzieliśmy robotników i inteligencję.

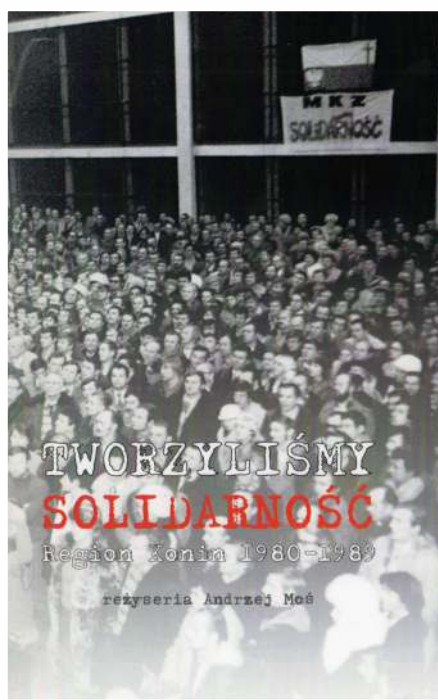
I Nie jest prawdą, że przeważała młodzież szkolna. Ulicami szli ludzie solidarni.

KWIDZYN

W ZKW Kwidzynie przebywa 155 internowanych z 24 regionów, w tym 16 internowanych z regionu konińskiego. 14.08. doszło tam do masowego, przerażającego w skutkach pobicia dużej grupy internowanych.

W godzinach przedpołudniowych do internowanych zjeżdżały rodziny na widzenia, ale tylko nieliczna grupa otrzymała je.

sytuacji zaczęli protestować wzywając do akcji religijnej i politycznej. W Kwidzynie zjawili się pluton operacyjny ZOMO ze Szumu. Solagnieto również woz strażacki z armatką wodną z Kwidzyna. Strażacy odmówili udziału w akcji przeciw internowanym. Czas internowanych przebywał w tym czasie na spacerze. Przeciw nim ZOMO skierowała pierwsze uderzenie. Armatka wodna operowana przez milicję i somowskie pałki zapędziły internowanych do cel. Cele pozamykano. Ta pierwsza akcja przyniosła wiele urazów, ale nie one miały najtragiczniejszych skutków. Najgorsze miało się dopiero zacząć. Grupa zomowska licząca około 15 uzbrojonych w pałki, tarozę, kłoty z maskami zaczęła otwierać cele, wyciągać internowanych i masakrować ich. Ta część akcji trwała kilka godzin i zakończyła się około 19⁰⁰. Jednocześnie trwały przeszukiwania cel, niszczenie rzeczy osobistych internowanych, wywłaszczenie pochoźszości z darów Episkopatu. Wszystkie zomowskie klucze oznaczone "ścieżka zdrowia" - na betonowej podłodze rozlano mydło w płynie i popędzono ofiary przez szpaler pałkujących zomowców. Na szczególną uwagę zasługuje okrucieństwo przedstawicieli władzy. ZOMO najprawdopodobniej pod wpływem nakrętek masakrało internowanych bijąc i kopiąc do nieprzytomności, a nieprzytomnych sucho i bito od początku. Efekty akcji w Kwidzynie są przerażające. Około 60 internowanych ciężko pobitych, 12 w szpitalach z ciężkimi urazami ciała, 1 internowany w klinice w Głusku z urazami mózgu (stan bardzo ciężki). W czasie akcji pobitych zostało także 3 internowanych z Konina: Ryszard Stachowiak, Adam Dziuch, Wiesław Wysocki. Szczególnie dotkliwych urazów doznał przewodniczący Reg. ASZZ "Solidarność" R. Stachowicz, który został ponownie pierwszy zwolniony z ośrodka internowania 24.12.82 ze względu na poważną chorobę nerak i internowany ponownie 12.05.82 mimo że stan zdrowia nie poprawił się. Powinno być pobity (m.in. w łeb po nerkach) został przebadany przez lekarzy i okazało się że nerki zostały uszkodzone, a internowany musi znaleźć się w szpitalu. Od 16.08. w Kwidzynie trwa głodówka protestacyjna. Głodówka podjęło 85 internowanych protestujących żądają wszczęcia śledztwa przeciwko naczelnikowi Z.K. Kwidzyn odwiedziła delegacja M.Cz.K., która przez kilka dni rozmawiała z internowanymi, lekarze M.Cz.K. badali kodowanych. Przebywała w Kwidzynie delegacja Episkopatu z biskupem olsztynskim dr. J. Oleksem, ale nie dopuszczono jej do internowanych. Zezwolono jedynie na spotkanie z jednym przedstawicielem pobitych. Nie wpuszczono również Kapelana, który w niedzielę przyjechał do Kwidzyna celem odprawienia Mszy Św. w Kwidzynie zjawili się także Józef Rządowski, który rozmawiała jedynie ze sztućką więzienną. Oto prawdziwa deklaracja Porozumienia Narodowego!!!



Tworzyliśmy Solidarność. Region Konin 1980-1989

film dokumentalny – 50`00``

Scenariusz, zdjęcia, reżyseria Andrzej Moś

Dofinansowano ze środków Muzeum Historii Polski w ramach Programu „Patriotyzm Jutra 2016” oraz z budżetu miasta Konina

Film ukazuje historię powstania w dawnym województwie konińskim NSZZ „Solidarność”, który, podobnie jak w całej Polsce, daleko wykroczył poza czysto związkową działalność i w sytuacji braku niezależnych podmiotów politycznych stał się masowym ruchem, wyrażającym także polityczne dążenia społeczeństwa.

Realizację filmu poprzedziła szeroka kwerenda wśród członków Stowarzyszenia Represjonowanych w Stanie Wojennym, w archiwach Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” i w Muzeum Okręgowym (Archiwum Solidarności i ruchów niezależnych). Wynikiem było pozyskania nieznanych do tej pory zdjęć oraz amatorskich materiałów filmowych (8 mm.).



Harcerzem zawsze

film dokumentalny – 38`20``

produkcja: Muzeum Okręgowe w Koninie

Scenariusz, zdjęcia, reżyseria: Andrzej Moś;

Dofinansowano ze środków Muzeum Historii Polski w ramach Programu „Patriotyzm Jutra 2015”

Film opowiada historię Polskiej Organizacji Harcerskiej, powstałej w Koninie w 1985 roku. Niezależna inicjatywa działaczy podziemnej „Solidarności”, przełamujących monopol ZHP na działalność harcerską w PRL, w ciągu kilku lat nabrała ogólnopolskiego znaczenia. POH i indywidualne postawy harcerzy pokazują znaczenie patriotycznego i obywatelskiego wychowania, jako budowania „łańcucha pokoleń” dla przyszłej, lepszej Polski.



ISBN 978-0-5564-9104-1

